

PELLUCIDAR II

Edgar Rice Burroughs

KRAINA GROZY



EDGAR RICE BURROUGHS

KRAINA GROZY

Pellucidar (tom 6)

(Land of Terror)

Przełożyła: Lucyna Targosz



2019

Spis treści

Karta tytułowa

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 1

Kiedy Jason Gridley ostatnio skontaktował się ze mną przez radio i powiedział mi, że na zewnętrznej skorupie mamy rok pański tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty, to ledwie mogłem mu uwierzyć, bo wydaje się, że dopiero co przewierciliśmy się z Abnerem Perrym przez ziemską skorupę do wewnętrznego świata w wielkim żelaznym krecie, wymyślonym przez Perry'ego do poszukiwań minerałów tuż pod powierzchnią Ziemi. Zatkąło mnie, kiedy sobie uświadomiłem, że byliśmy w Pelluciarze trzydzieści trzy lata!

Bo w świecie, gdzie nie ma gwiazd i księżyca, a słońce bez przerwy stoi w zenicie, nie ma jak mierzyć czasu; no i dlatego nie ma tu czegoś takiego jak czas. Zacząłem wierzyć, że naprawdę tak jest, bo obaj z Perrym nie mieliśmy żadnych fizycznych oznak upływu czasu. Kiedy żelazny kret przebił się przez skorupę do Pellucidaru miałem dwadzieścia lat – a teraz ani nie wyglądam ani się nie czuję dużo starszy.

Kiedy uświadomiłem Perry'emu, że ma sto jeden lat, omal nie wpadł w szał. Powiedział, że to kompletna bzdura i że Jason Gridley na pewno robił sobie jaja; potem się rozpromienił i pouczył mnie, że mam pięćdziesiąt sześć lat. Pięćdziesiąt sześć! Cóż, pewnie miałbym tyle, gdybym został w Connecticut; ale tu na dole wciąż jestem po dwudziestce.

Kiedy pomyślę o tym wszystkim, co się nam przydarzyło we wnętrzu Ziemi, to zdaję sobie sprawę, że musiało upłynąć dużo więcej czasu, niż nam się wydawało. Tak wiele zobaczyliśmy. Tak wiele dokonaliśmy. A ile przeżyliśmy! Połowy tego nie wcisnęlibyśmy w całe życie na zewnętrznej skorupie. Razem z Perrym żyliśmy w Epoce Kamienia – dwaj mężczyźni z dwudziestego wieku – i daliśmy tym ludziom z epoki kamienia trochę dwudziestowiecznych udogodnień. Zanim się tu zjawiliśmy, zabijali się kamiennymi toporami i dzidami o kamiennych grotach i tylko parę plemion znało łuki i strzały; ale nauczyliśmy ich jak robić proch i strzelby i działa – i zaczynają sobie uświadamiać zalety cywilizacji.

Jednak nigdy nie zapomnę pierwszych eksperymentów Perry'ego z prochem. Kiedy go udoskonalił, był taki dumny, że nie panował nad sobą.

– Spójrz! – wołał, pokazując mi próbkę. – Dotknij. Powąchaj. Posmakuj. To najwspanialszy dzień w moim życiu, Davidzie. Pierwszy i to wielki krok ku cywilizacji.

Cóż, z pewnością miało to wszystkie cechy prochu, ale z pewnością musiało temu brakować ducha prawdziwego prochu, bo nie chciało się palić. Poza tym był to całkiem niezły proch. Perry był załamany; ale dalej eksperymentował i po jakimś czasie uzyskał produkt, który mógł uśmiercić każdego.

A potem był początek wojennej floty. Razem z Perrym zbudowaliśmy na wybrzeżu niemającego nazwy morza pierwszy okręt. Było to płaskodenne ustrojstwo, niepokojąco podobne do olbrzymiej trumny. Perry

jest naukowcem. Nigdy nie budował okrętów i nie miał pojęcia o ich projektowaniu; ale twierdził, że skoro jest naukowcem – i co za tym idzie bardzo inteligentnym człowiekiem – to sobie z tym poradzi, wykorzystując naukowe przesłanki. Budowaliśmy okręt na rolkach i kiedy był gotowy, zaczęliśmy go przetaczać plażą ku wodzie. Majestatycznie przepłynął paręset stóp, a potem się wywrócił do góry dnem. Perry znowu się załamał; ale tak się uparł, że na koniec zbudowaliśmy flotę pływających okrętów, dzięki której zapanowaliśmy na morzach naszego zakątka tego wielkiego, tajemniczego wewnętrznego świata i mogliśmy szerzyć cywilizację i nagłą śmierć w stopniu zadziwiającym tubylców.

Kiedy wyruszyłem z Sari na wyprawę, o której zaraz opowiem, Perry starał się udoskonalić trujący gaz. Twierdził, że to jeszcze bardziej się przyczyni do obdarzenia epoki kamienia cywilizacją.

ROZDZIAŁ 2

Tubylcy Pellucidaru mają instynkt naprowadzający – i wiercie mi, jest on im niezbędny, bo bez niego nikt nie odnalazłby żadnej drogi, gdyby go przeniesiono poza znajome tereny; i jest to całkiem zrozumiałe w świecie z nieruchomym, stale wiszącym w zenicie słońcem, świecie gdzie nie ma księżyca i gwiazd, wedle których mógłby się orientować wędrowiec – w świecie, gdzie z tych powodów nie ma ani północy, ani południa, ni wschodu czy zachodu. To instynkt naprowadzający moich towarzyszy wciągnął mnie w przygodę, o której chcę opowiedzieć.

Kiedy wyruszyliśmy z Sari, żeby szukać von Horsta, kierowaliśmy się niejasnymi wskazówkami, prowadzącymi nas tu i tam, z jednej krainy do drugiej, aż wreszcie dotarliśmy do Lo-har i znaleźliśmy zaginionego. Lecz do Sari nie musieliśmy wracać tą samą okreśną drogą. Szliśmy po linii tak prostej jak to tylko możliwe, zbaczając z niej tylko wtedy, kiedy nie dało się pokonać naturalnych przeszkód.

Dla nas wszystkich był to nowy świat i – jak zwykle – byłem ogromnie podekscytowany widząc po raz pierwszy te dziewicze krajobrazy, których zapewne żadne ludzkie oko przede mną nie oglądało. To była najwspanialsza przygoda. Owładnął mną duch pioniera i odkrywcy.

W niczym nie przypominało to moich pierwszych doświadczeń w Pellucidarze, kiedy to z Perrym błakaliśmy się bez celu i osamotnieni w tym dzikim świecie olbrzymich bestii, ohydnych gadów i dzikich ludzi. Teraz towarzyszyła mi grupa moich Sarian, uzbrojonych w strzelby wyprodukowane pod kierunkiem Perry'ego w zbrojowni, jaką zbudował w Sari w pobliżu wybrzeża Lural Az. Nawet potężny ryth, monstrualny niedźwiedź jaskiniowy (który w prehistorycznych czasach chodził po powierzchni ziemi) nie był nam straszny; największy z dinozaurów nie był odporny na nasze kule.

Po opuszczeniu Lo-har szliśmy długimi etapami, śpiąc sporo razy (to jedyny znany mi sposób miary czasu) i nie spotykając żadnego człowieka. Kraina, przez którą szliśmy, była rajem zamieszkałym wyłącznie przez dzikie zwierzęta. Wielkie stada antylop, jeleni i potężnych bawołów przemieszczały się po żyznych równinach lub leżały w chłodnym cieniu przypominających parki lasów. Widzieliśmy potężne mamuty i wielkie Mai, czyli mastodonty; no i oczywiście tam, gdzie było tyle mięsa, były i drapieżniki – taragi (mocarne tygrysy szablozębe), wielkie jaskiniowe lwy i rozmaite gatunki mięsożernych dinozaurów. To był raj dla myśliwego; lecz tutaj tylko zwierzęta polowały na inne zwierzęta. Człowiek jeszcze nie zakłócił tej idylli.

Te zwierzęta zupełnie się nas nie bały; ale były niezmiernie ciekawskie i czasami otaczały nas tak gromadnie, że zagrażało to naszemu bezpieczeństwu. Były to, ma się rozumieć, roślinożercy. Mięsożercy unikali nas, kiedy mieli pełne brzuchy; lecz zawsze byli niebezpieczni.

Przecieliśmy tę rozległą równinę i weszliśmy w las, daleko za którym widzieliśmy górski łańcuch. W lesie spaliśmy dwa razy, a potem znaleźliśmy się w dolinie, którą płynęła szeroka rzeka, mająca swój początek u stóp gór, które widzieliśmy.

Wielka rzeka płynęła leniwie ku jakiemuś nieznanemu morzu; ponieważ należało ją przebyć, kazałem moim ludziom zbudować tratwy.

Bardzo niebezpiecznie jest się przeprowiać przez pellucidariańskie rzeki, zwłaszcza te szerokie o powolnym nurcie, bo zwykle żyją w nich paskudne mięsożerne gady, które dawno temu zniknęły z zewnętrznego świata. Sporo z nich ma takie rozmiary, że z łatwością mogłyby rozbić naszą tratwę; dlatego bacznie obserwowaliśmy powierzchnię wody, przepychając naszą tratwę drągiem ku przeciwnemu brzegowi.

Ponieważ ta obserwacja pochłaniała całą naszą uwagę, nie zauważyliśmy zbliżających się ku nam od pogórza kilku kanu, pełnych wojowników; jeden z moich ludzi dostrzegł ich – i wszczął alarm – dopiero wtedy, kiedy byli paręset jardów od nas.

Liczyłem, że okażą się przyjaźni, bo nie miałem ochoty ich zabijać – z taką prymitywną bronią nie miałoby szans przy naszych strzelbach – toteż zrobiłem znak pokoju, mając nadzieję, że odpowiedzą tym samym. Ale nie zareagowali.

Byli coraz bliżej i wreszcie wyraźnie ich zobaczyłem. Byli mocno zbudowanymi, krzepkimi wojownikami o bujnych brodach – dość niezwykły widok w Pellucidarze, gdzie większość czystej krwi białych tubylców nie miała bród.

Kiedy dzieliło ich od nas jakieś sto stóp – ich kanu w jednej linii – kilku wojowników w każdej łodzi stanęło na dziobie i otworzyło do nas ogień.

Z przyzwyczajenia napisałem „otworzyło ogień”. Bo zasypali nas strzałkowatymi pociskami z ciężkich proc. Paru moich ludzi padło i

natychmiast kazałem strzelać.

Widziałem, jak zdumiały brodatych wojowników huk i skutki salwy ze strzelb. Powiedziałbym, że byli ogromnie odważni, bo choć odgłos i dym mogły przerażać, to ani przez chwilę się nie zawahali i zbliżali się ku nam jeszcze szybciej. Potem zrobili coś, z czym się jeszcze nigdy nie spotkałem w wewnętrznym świecie. Zapalili pochodnie (później się dowiedziałem, że robiono je z żywicznych trzciny) i rzucili nimi w nas.

Te pochodnie wydzielały kłęby gryzącego, czarnego dymu, który nas oślepił i dławił. Po tym, jak podzielał na mnie, wiedziałem, jak musiał zadziałać na moich ludzi; ale mogę mówić tylko o sobie, bo oślepiony i duszący się byłem bezradny. Nie widziałem wrogów, więc nie mogłem do nich strzelać w samoobronie. Chciałem skoczyć do rzeki i uciec od dymu, ale wiedziałem, że wtedy natychmiast by mnie pożarły groźne stwory, czające się pod powierzchnią.

Poczułem, że tracę przytomność, a potem pochwyciły mnie czyjeś ręce i czułem, że gdzieś mnie wloką; odpłynąłem.

Kiedy się ocknąłem, przekonałem się, że leżę związany na dnie kanu wśród włochatych nóg wojowników, którzy mnie porwali. Nade mną – po obu stronach i dość blisko – widziałem skalne klify, toteż wiedziałem, że wiosłujemy przez wąski wąwóz. Starłem się usiąść, ale jeden z wojowników kopnął mnie w twarz obutą w sandał stopą i powalił.

Omawiali potyczkę głośnymi, burkliwymi głosami, przekrzykując się przez całą długość łodzi, kiedy któryś chciał przemówić i wyrazić swoje zdanie o tej dziwnej broni, plującej dymem i ogniem i siejącej śmierć na dużą odległość. Nie miałem trudności ze zrozumieniem ich, bo mówili językiem wspólnym dla wszystkich Pellucidarczyków. Jak dotąd nie słyszałem żadnego innego, nie mam pojęcia, dlaczego wszystkie rasy i

plemiona, choćby nie wiem jaka przestrzeń je dzieliła, mówią tym samym językiem. Tak dla mnie jak i dla Perry'ego zawsze było to tajemnicą.

Perry podejrzewał, że to może być podstawowy prymitywny język, w sposób naturalny powstający wśród ludzi żyjących w tym samym środowisku, z identycznymi problemami i otoczeniem i pozwalający im wyrazić swoje myśli. Może i ma rację – nie wiem; ale to równie dobre wyjaśnienie jak każde inne.

Wciąż się sprzeczali o broń, nie dochodząc do żadnych wniosków, aż wreszcie wojownik, który mnie kopnął w twarz, powiedział:

– Więzień się ocknął. Może powiedziec, jak zrobiono te patyki, że plują ogniem i dymem i zabijają z daleka wojowników.

– Możemy go zmusić, żeby nam wyjawiał ten sekret – dodał inny. – I wtedy będziemy mogli zabić wszystkich wojowników Gefa i Juloka i zabrać sobie ich wszystkich mężczyzn.

Trochę mnie zdziwiły jego słowa, bo wydawało mi się, że gdyby zabili wszystkich wojowników, to nie zostałyby ani jeden mężczyzna; ale przyjrzałem się dokładniej moim brodatym, kudłatym porywaczom i nagle pojąłem zdumiewającą prawdę. Ci wojownicy nie byli mężczyznami – to były kobiety.

– Kto chce więcej mężczyzn? – odezwał się kolejny głos. – Bo nie ja. Mam dość kłopotów ze swoimi: plotkują, dokuczają i nigdy porządnie nie wykonują roboty. Kiedy wracam do domu po ciężkim dniu polowania albo walki muszę ich sprać, co mnie zupełnie wykańcza.

– Cały kłopot z tobą, Rhump, że jesteś za łagodna dla swoich facetów – odezwała się trzecia. – Pozwalasz im wchodzić sobie na głowę.

Rhump to ta dama, która mnie kopnęła w twarz; może i była istotą o miękkim sercu, ale moja krótka znajomość z nią wcale na to nie

wskazywała. Miała nogi jak futbolowy obrońca i uszy jak kanonier. Nie mogłem sobie wyobrazić, żeby z dobrego serca puściła coś komuś płazem.

– Cóż – odparła – mogę tylko powiedzieć, Fooge, że gdybym miała takich podłych słabeuszy jak twoi, to pewnie nie miałabym z nimi aż tyle kłopotów; ale podoba mi się trochę ikry w moich.

– Nie wygaduj na moich facetów! – wrzasnęła Fooge i chciała walnąć Rhump wiosłem w głowę.

Rhump się uchyliła i usiadła w łodzi, sięgając po swoją procę, aż stentorowy głos z dziobu łodzi zawołał:

– Siadać i zamknąć się!

Spojrzałem w tamtą stronę i zobaczyłem ogromną istotę z krzaczastą czarną brodą i blisko osadzonymi oczami. Jedno spojrzenie na nią wyjaśniło, dlaczego burda natychmiast się skończyła i Rhump oraz Fooge usiadły na swoich ławkach. To była Gluck, szefowa; i nie miałem wątpliwości, że zdobyła tę pozycję dzięki swoim zaletom.

Gluck utkwiała we mnie przekrwione oczy.

– Jak się nazywasz?! – ryknęła.

– David.

– Skąd jesteś?

– Z krainy Sari.

– Jak robicie patyki, zabijające dymem i głośnym hałasem?

Z tego, co usłyszałem z ich wcześniejszej rozmowy, domyślałem się, że o to zapyta; i miałem gotową odpowiedź, bo wiedziałem, że nigdy nie pojmą tego, co dotyczy strzelb i prochu.

– Dzięki magii znanej wyłącznie ludziom z Sari – brzmiała moja odpowiedź.

– Podaj mu swoje wiosło, Rhump – rozkazała Gluck.

Wziąłem wiosło, sądząc, że każe mi pomóc w „napędzaniu” kanu, ale zupełnie nie to miała na myśli.

– A teraz podziałaj swoją magią i spraw, żeby z tego patyka wydobył się dym i głośny hałas, ale uważaj, żeby nikogo nie zabić – nakazała.

– To nieodpowiedni patyk – powiedziałem. – Nie nadaje się – i oddałem go Rhump.

– No to jaki patyk jest potrzebny? – zapytała Gluck.

– Bardzo mocna trzcina, rosnąca wyłącznie w Sari – odparłem.

– Myślę, że mnie okłamujesz. Kiedy dotrzemy do Oog lepiej znajdź trochę tych patyków, jeśli wiesz, które ci się nadadzą.

Wiosłując przez wąski wąwóz zaczęły rozmawiać o mnie. Powiedziałbym, że się nie krępowaly. Uznały, że jestem zbyt kobiecy jak na ich ideał mężczyzny.

– Spójrzcie tylko na jego ramiona i nogi – powiedziała Fooge. – Ma mięśnie jak kobieta.

– Żadnego seksapilu – orzekła Rhump.

– Każemy mu pracować z innymi niewolnikami – stwierdziła Gluck. – Mógłby też pomagać w walce, gdyby napadnięto na wioskę.

Fooge skinęła głową.

– To chyba wszystko, do czego się nada – powiedziała.

Wyłynęliśmy z wąwozu do rozległej doliny, gdzie zobaczyłem łąki i lasy i wioskę na wysokim brzegu rzeki. To była wioska Oog, nasz cel; wioska, której wodzem była Gluck.

ROZDZIAŁ 3

Oog była prymitywną wioską. Ściany chat były z podobnych do bambusa trzcin, wbitych pionowo w ziemię i przeplecionych długą, twardą trawą. Dachy ułożono z wielu warstw dużych liści. W centrum wioski stała chata Gluck, większa od tych, które ją otaczały nieco zwichrowanym kręgiem. Nie było żadnej palisady, czy innych środków obrony. Ci ludzie – tak jak ich wioska – byli niezwykle prymitywni, na bardzo niskim poziomie rozwoju. Wytwarzali gliniane naczynia, bez żadnych dekoracji i wyplatali bardzo toporne koszyki. Najlepiej im wychodziła budowa kanu, ale nawet i one były bardzo prymitywne. Proce były najprostszego typu. Mieli trochę kamiennych toporów i noży, uważanych za skarby; będąc wśród nich nigdy nie widziałem, żeby je wytwarzali, toteż uważam, że zabrali je więźniom z krain spoza doliny. Dymiące patyki były najwyraźniej ich własnym wynalazkiem, bo nigdy ich wcześniej nie widziałem; ciekaw jestem, o ile lepiej bym sobie poradził mając te same środki co oni.

Często rozmawialiśmy z Perrym o tym jak bezradny jest człowiek z dwudziestego wieku zdany na własne możliwości. Naciskamy włącznik i mamy światło i w ogóle się nad tym nie zastanawiamy. Lecz ilu z nas potrafiłoby zbudować generator, żeby wytworzyć to światło? Jak gdyby nigdy nic jeździmy pociągami; lecz ilu z nas mogłoby zbudować maszynę parową? Ilu z nas potrafiłoby wyprodukować papier, atrament, czy tysiąc i jedną banalną rzecz, z których codziennie korzystamy? Potrafilibyście przetopić rudę, o ile byście ją rozpoznali, gdybyście się na nią natknęli? Potrafilibyście zrobić kamienny nóż, mając tylko te narzędzia, co ludzie z epoki kamiennej – czyli własne ręce i inne kamienie?

Jeśli uważacie, że pierwsza maszyna parowa była cudem pomysłowości, to ileż więcej inwencji było trzeba, żeby wymyślić i zrobić pierwszy kamienny nóż.

Nie patrzcie lekceważąco na ludzi z epoki kamienia, bo ich kultura – w porównaniu z tym, co było wcześniej – była wyższa od naszej. Pomyślcie tylko, dla przykładu, jakim wspaniałym wynalazczym geniuszem musiał być ten, który najpierw wpadł na pomysł, a potem pomyślnie rozpałił ogień? Ta bezimienna istota z zapomnianych czasów przewyższała Edisona.

Kiedy nasze kanu zbliżyły się do brzegu rzeki naprzeciwko wioski, rozwiązano mnie. A kiedy przybiliśmy, brutalnie wywleczono mnie na brzeg. Reszta kanu poszła w nasze ślady; wyciągnięto je na brzeg. Sporo wojowniczek zeszło na dół, żeby nas powitać. Za nimi tłoczyli się mężczyźni i dzieci, najwyraźniej nieco zastraszeni przez energiczne wojowniczeki.

Wzbudziłem niewielką ciekawość. Kobiety, które mnie przedtem nie widziały, patrzyły na mnie z pogardą.

– Kto to? – zapytała jedna. – Marna zdobycz jak na całodzienną wyprawę.

– Jest mój – oznajmiła Gluck. – Wiem, że umie walczyć, bo to widziałam i z pewnością potrafi pracować równie dobrze jak kobieta; jest całkiem krzepki.

– Możesz go sobie wziąć – powiedziała tamta. – Nie chciałabym go w mojej chacie.

Gluck spojrzała ku mężczyznom.

– Glula! – zawołała. – Chodź po niego. Nazywa się David. Będzie pracować w polu. Dopilnuj, żeby dostawał jeść i żeby pracował.

Zbliżył się bezwłosy, zniewieściały niski mężczyzna.

– Tak, Gluck – powiedział ciekim głosem. – Dopilnuję, żeby pracował.

Poszedłem za Glulą ku wiosce. Kiedy przechodziliśmy wśród reszty mężczyzn i dzieci, ruszyli za nami trzej faceci i troje dzieci, przyglądając mi się wzgardliwie.

– To Rumla, Foola i Geela – wyjaśnił Glula. – I dzieci Gluck.

– Nie za bardzo przypominasz mężczyznę – stwierdził Rumla – podobnie jak wszyscy inni, których schwytaliśmy poza doliną. Tam musi być bardzo dziwny świat, gdzie mężczyźni wyglądają jak kobiety, a kobiety jak mężczyźni. Ale to musi być wspaniale być wyższym i silniejszym od swoich kobiet.

– Tak – powiedział Geela. – Gdybym był wyższy i silniejszy od Gluck, to lałbym ją kijem ilekroć bym ją zobaczył.

– Ja też – zawtórował mu Glula. – Chętnie bym zabił tę wielką babę.

– Niezbyt lubicie Gluck – zauważyłem.

– A widziałeś kiedyś faceta, który by lubił kobietę? – zapytał Foola. – Nienawidzimy wrednych bab.

– No to czemu czegoś z tym nie zrobicie? – zapytałem.

– A co możemy zrobić? – odpowiedział pytaniem. – Jak my, biedni faceci, moglibyśmy sobie z nimi poradzić? Tłuką nas, jak tylko odpyskniemy.

Zaprowadzili mnie do chaty Gluck i Glula wskazał miejsce tuż za drzwiami.

– Tutaj możesz sobie zrobić posłanie – oznajmił.

Wyglądało na to, że najlepsze miejsca były w głębi chaty, daleko od drzwi; później się dowiedziałem, że mężczyźni bali się spać przy wejściu, lękając się napastników, którzy mogliby najechać wioskę i porwać ich. Znali plusy i minusy swojego życia w Oog; ale nie mieli pojęcia czy nie byłoby im gorzej w Gef czy Julok, dwóch innych wioskach w dolinie, bez przerwy ze sobą wojujących, porywających jedna drugiej mężczyzn i niewolników.

Legowiska w chacie były zwykłymi stertami trawy. Glula poszedł ze mną i pomógł mi jej narwać na moje leże. Potem zabrał mnie tuż za wioskę i pokazał mi poletko Gluck. Pracował na nim kolejny mężczyzna. Był to wysoki i silny gość, najwyraźniej więzień spoza doliny. Kopał ziemię zaostrzonym kijem. Glula wręczył mi podobne prymitywne narzędzie i kazał pracować z tamtym niewolnikiem. Potem wrócił do wioski.

Kiedy odszedł, mój towarzysz popatrzył na mnie.

– Nazywam się Zor.

– A ja David. Jestem z Sari.

– Sari; słyszałem o tej krainie. Leży przy Loral Az. Ja jestem z Zoramu.

– Wiele słyszałem o Zoramie – ja na to. – Leży w Górach Thipdarsu.

– Od kogo słyszałeś o Zoramie?

– Od Jany, Czerwonego Kwiatu Zoramu i od Thoara, jej brata.

– Thoar jest moim dobrym przyjacielem – powiedział Zor. – Jana odeszła ze swoim mężczyzną do innego świata.

– Spałeś wiele razy? – zapytałem.

– Wiele razy.

– I nie da się stąd uciec?

– Bardzo nas pilnują. Wokół wioski zawsze są rozstawione warty, bo spodziewają się napaści. A przy okazji nas pilnują.

– Warty nie warty, nie mam zamiaru tkwić tu przez resztę życia. Kiedyś musi się nadarzyć sposobność ucieczki.

Wzruszył ramionami.

– Może i tak – powiedział – ale w to wątpię. Gdyby jednak tak się stało, to możesz na mnie liczyć.

– Dobrze. Obaj wypatrujemy takiej okazji. Powinniśmy się trzymać razem, na ile się da; spać w tym samym czasie, żeby w tym samym czasie być na nogach. Do której kobiety należysz?

– Do Rump. Jest samicą jaloka, o ile taka istnieje. A ty?

– Do Gluck.

– Jest gorsza. Jeśli jest w chacie, to trzymaj się z daleka, o ile będziesz mógł. Śpij, kiedy jest na polowaniu albo na wypadzie. Najwyraźniej uważa, że niewolnicy w ogóle nie potrzebują snu. Jeżeli kiedykolwiek przyłapie cię na spaniu, to cię skopie i pobije niemal na śmierć.

– Słodziutki charakterek – skomentowałem.

– One wszystkie są do niej podobne – odparł Zor. – Zupełnie im brak kobiecej wrażliwości; mają cechy najprymitywniejszych i najbrutalniejszych mężczyzn.

– A ich faceci? – zapytałem.

– O, to porządni goście, ale boją się o życie. Jak trochę tu pobędziesz, to zrozumiesz, że mają po temu powody.

Rozmawialiśmy nie przerywając pracy, bo wartowniczkę nie spuszczały nas z oka. Warty rozstawiono wokół wioski, tak, żeby z żadnej strony nie była narażona na niespodziewany atak. No i w ten sposób pracujący na poletkach niewolnicy byli stale pod obserwacją. Trzymające wartę wojowniczkę były bardzo wymagającymi nadzorczykami, nie pozwalały na odpoczynek od męczącego kopania i pielienia. Jeśli niewolnik chciał pójść do chaty właścicielki i przespać się, to najpierw któraś z wartowniczek musiała mu na to pozwolić – i najczęściej odmawiała.

Nie wiem, jak długo pracowałem w ogródku Gluck Szeferowej. Nie pozwalano mi się porządnie wyspać i dlatego zawsze byłem półżywy ze zmęczenia. Jedzenie było liche i niewolnikom wydzielano je skąpo.

Na poły zagłodzony, podniosłem kiedyś bulwę, którą wykopałem; odwróciłem się plecami do wartowniczkę i zacząłem jeść. Lecz na nic były moje próby ukrycia tego; baba mnie wypatrzyła i ociężałe ku mnie ruszyła. Wyrwała mi bulwę i wepchnęła w swoją wielką gębę, a potem wymierzyła mi taki cios, że wyliczono by mnie, gdybym dostał – ale się uchyliłem. To ją rozwścieczyło i znowu się na mnie zamierzyła. I znowu się uchyliłem; tym razem zsiniała z wściekłości i wyjąc jak Apacz obrzuciła mnie wszystkimi pellucidariańskimi wyzwiskami. Robiła tyle hałasu, że przyciągnęła uwagę innych wartowniczek i kobiet w wiosce. Nagle dobyła kamiennego noża i ruszyła na mnie z żądzą mordy w oczach. Do tej pory po prostu starałem się unikać jej ciosów, bo Zor mi powiedział, że zaatakowanie którejś z tych kobiet zapewne równałoby się śmierci; lecz teraz to już było co innego. Najwyraźniej zamierzała mnie zabić i musiałem jakoś zareagować.

Jak większość z nich, wartowniczkę była niezdarna, muskularna i powolna; mową ciała zapowiadała każdy ruch, który zamierzała zrobić, więc bez problemów unikałem ciosów, jakie chciała mi zadać. Lecz tym

razem nie zamierzałem na tym poprzestać. Z całej siły wymierzyłem jej prawą ręką cios w szczękę i padła jak strucla.

– Lepiej uciekaj – szepnął mi Zor. – Jasne, że się nie uda, ale przynajmniej możesz spróbować. Jeśli tu zostaniesz, to na pewno cię zabiją.

Szybko się rozejrzałem, chcąc ocenić szanse ucieczki. Żadnych nie miałem. Kobiety biegnące z wioski były tuż tuż. Mogłyby mnie ustrzelić z proc zanim bym się znalazł poza zasięgiem. Stałem więc i czekałem, aż się przykolebią; a kiedy zobaczyłem, że na czele jest Gluck, dotarło do mnie, że nie czeka mnie nic dobrego.

Kobieta, którą powaliłem, odzyskała właśnie przytomność i wstawała, wciąż jeszcze trochę otumaniona. Gluck zatrzymała się przed nami i zażądała wyjaśnień.

– Jadłem bulwę, kiedy przyszła ta kobieta i mi ją odebrała i próbowała mnie pobić. Kiedy uchylałem się przed jej ciosami wściekła się i chciała mnie zabić.

Gluck popatrzyła na kobietę, którą powaliłem.

– Chciałaś pobić jednego z moich mężczyzn? – zapytała.

– Ukradł strawę z ogrodu – wyjaśniła tamta.

– Nie ma znaczenia, co zrobił – warknęła Gluck. – Nikomu nie ujdzie na sucho bicie któregoś z moich facetów. Jeśli uznam, że należy im się bicie, to sama ich spiorę. Może to cię nauczy zostawiania moich facetów w spokoju – zamachnęła się i powaliła tamtą na ziemię; potem podeszła bliżej i kopnęła ją w brzuch i w twarz.

Leżąca kobieta (miała na imię Gung) chwyciła Gluck za stopę i wywróciła. Potem wywiązała się jedna z najbrutalniejszych walk jakie w życiu widziałem. Tłukły się, kopały, szarpały, drapały i gryzły jak dwie furie. Jeżeli wyzwolenie kobiet z poddaństwa i próby zrównania ich statusu z mężczyznami dało w efekcie takie niewiasty jak te tutaj, to uważam, że i

dla nich i dla świata byłoby lepiej, gdyby znowu były niewolnicami. Jedna z płci musi władać; a mężczyzna chyba się lepiej do tego nadaje niż kobieta. Rozumie się, że jeśli całkowita władza nad mężczyzną doprowadziła do takiego zdeprawowania i zbrutalizowania kobiet, to powinniśmy pilnować, żeby zawsze były podporządkowane mężczyznom, których prymat najczęściej jest łagodzony uprzejmością i współczuciem.

Walka trwała jakiś czas; raz jedna była górą, raz druga. Gung od początku wiedziała, że albo ona przeżyje, albo Gluck, toteż walczyła jak zapędzone w róg zwierzę. Nie będę szczegółowo opisywał tego wstrętnego widowiska. Starczy powiedzieć, że Gung nie miała najmniejszej szansy w walce z brutalną, silną Gluck – i w końcu padła martwa.

Gluck, upewniwszy się, że przeciwniczka nie żyje, wstała i popatrzyła na mnie.

– To twoja wina. Gung była dobrą wojowniczką i świetną łowczynią, a teraz nie żyje. Żaden mężczyzna nie jest tego wart. Powinnaś być pozwolić, żeby cię zabiła, ale naprawię ten błąd. – Rozkazała Zorowi: – Przynieś mi kije, niewolniku.

– Co zamierzasz? – zapytałem.

– Pobić cię na śmierć.

– Jesteś głupia, Gluck – powiedziałem. – Gdybyś miała choć trochę rozumu, to byś wiedziała, że to ty jesteś wszystkiemu winna. Nie pozwalasz się porządnie wyspać swoim niewolnikom, każesz im pracować ponad siły i głodzisz ich; a potem uważasz, że powinno się ich bić i zabić, bo kradną pokarm albo próbują się bronić. Pozwalaj im się wysypiać i dobrze karm, a będą lepiej i więcej pracować.

– To, co sobie myślisz, nie będzie miało większego znaczenia, jak z tobą skończę – warknęła Gluck.

Zor wrócił z wiązką kijów; Gluck wybrała spośród nich najcięższy kij i ruszyła na mnie. Nie jestem Samsonem, ale i nie jestem słabeuszem; i mogę powiedzieć, nie chwając się, że nikt by nie przeżył przez trzydzieści sześć lat niebezpieczeństw i zmiennych kolei losu w epoce kamienia, o ile by nie potrafił cały czas troszczyć się o siebie. Moje tutejsze ciężkie życie dało mi kondycję, całkiem solidną już wtedy, kiedy opuszczałem zewnętrzny świat; poza tym znałem parę sztuczek, o których mężczyźni z epoki kamienia nigdy nie słyszeli (kobiety zresztą też). Toteż kiedy Gluck ruszyła na mnie, uchyliłem się przed jej pierwszym ciosem, a potem oburącz chwyciłem jej nadgarstek, szybko przekręciłem i przerzuciłem sobie nad głowę. Upadła ciężko na jeden bark, ale się niemal natychmiast podniosła i znowu zaatakowała. Była taka wściekła, że niemal toczyła pianę z ust.

Kiedy nią rzuciłem wypuściła kij, którym zamierzała pobić mnie na śmierć. Pochyliłem się i podniosłem go i zanim mnie dopadła wymierzyłem straszliwy cios – dokładnie z czubek głowy. Upadła bez przytomności.

Inne wojowniczkę przez chwilę gapiły się na to ze zdumieniem, a potem jedna ruszyła na mnie; parę innych zaraz do niej dołączyło. Nie musiałem znać epitetów z epoki kamienia, którymi mnie obrzucały, żeby wiedzieć, iż były porządnie wkurzone. Uświadomiłem też sobie, że mam bardzo niewielkie szanse; po prawdzie to w tej sytuacji równały się zeru. Musiałem natychmiast coś wymyślić.

– Chwila – powiedziałem, cofając się – właśnie widziałyście, co Gluck robi kobietom maltretującym jej mężczyzn. Jeśli wiecie, co dla was dobre, to poczekacie, aż się ocknie.

To je powstrzymało; zostawiły mnie i zainteresowały Gluck. Leżała tak nieruchomo, że nie wiedziałem, czy aby jej nie zabiłem – ale w końcu zaczęła się ruszać i wreszcie usiadła. Przez parę chwil się rozglądała, oszołomiona, a potem jej oczy spoczęły na mnie. Mój widok przypomniał

jej, co się właśnie stało. Powoli się podniosła i stanęła przede mną. Stałem w gotowości, wciąż trzymając w dłoni kij. Wszyscy się na nas gapili, ale nikt się nie odezwał ani nie poruszył. Na koniec przemówiła Gluck.

– Powinieneś być kobietą – oznajmiła, a potem się odwróciła i ruszyła ku wiosce.

– Nie zbijesz go? – zapytała Fooge.

– Właśnie zabiłam jedną dobrą wojowniczkę; nie mam zamiaru zabijać lepszej – warknęła Gluck. – Jak się trafi walka, będzie się bić razem z kobietami.

Kiedy wszyscy odeszli, wróciliśmy z Zorem do pracy w ogrodzie. Zjawili się mężczyźni Gung i zawlekli ciało ku rzece, wrzucili do wody. W Oog pochówek odbywa się bez ceregieli, rytuały pogrzebowe nie istnieją. Przedsiębiorcy pogrzebowi i floryści umarliby tutaj z głodu.

Wszystko było bardzo zwyczajne. Ojcowie jej dzieci po prostu wlekli ją za owłosione nogi, śmiejąc się i żartując, opowiadając sprośne kawały.

– To z pewnością najniższy i najsmutniejszy poziom, do jakiego może upaść ludzka istota – powiedziałem do Zora. – Nie być opłakiwanym, kiedy składają cię do grobu.

– Sam wkrótce pójdziesz do rzeki – rzekł Zor na to. – Ale przyrzekam, że będziesz miał choć jednego żałobnika.

– Dlaczego uważasz, że tak szybko trafię do rzeki?

– Gluck cię dopadnie.

– Nie sądzę. To jak przyjęła pobicie świadczy, że umie przegrywać.

– Też coś – prychnął. – Zabiłaby cię jak tylko się ocknęła, gdyby się ciebie nie wystraszyła. Jest tyranką i jak wszyscy tyrani to tchórz. Kiedyś, jak będziesz spać, podkradnie się do ciebie i rozwali ci głowę.

– Miłe bajeczki opowiadasz na dobranoc, Zor.

ROZDZIAŁ 4

Ma się rozumieć, głównym tematem moich rozmów z Zorem była przez jakiś czas moja bójka z Gluck i przepowiednie Zora, że właściwie byłem już martwy – po prostu chodzący trup. Lecz kiedy dwa razy spałem i nic złego mnie nie spotkało, przeszliśmy do innych tematów i Zor mi opowiedział, jak znalazł się tak daleko od Zoramu i jak to się stało, że wojowniczkę go porwały.

Bardzo kochał jedną z zoramskich dziewcząt, która pewnego dnia zapędziła się za daleko od wioski i porwała ją grupa napastników z innej krainy. Zor natychmiast ruszył śladem porywaczy, który wiódł przez wiele dziwnych krain; oceniał, że w tym czasie spał ze sto razy. Nie można było, rzecz jasna, ocenić, jak daleko zawędrował, ale musiał pokonać ogromny dystans – może ze dwa, trzy tysiące mil. Nie udało mu się dogonić porywaczy dziewczyny, a na koniec pojmało go plemię, żyjące w otoczonej palisadą wiosce, w samym środku wielkiego lasu.

– Byłem tam przez wiele pór spania – opowiadał. – Moje życie stale było zagrożone, bo bez przerwy zapowiadali, że mnie zabiją, żeby ułagodzić kogoś, kogo nazywali „Ogar”. Potem bez żadnego wyraźnego powodu nagle przestałem być więźniem, a stałem się poważanym gościem. Nigdy nie usłyszałem żadnego wyjaśnienia. Mogłem chodzić gdzie chciałem; i ma się rozumieć przy pierwszej okazji uciekłem. Ponieważ w lesie było kilka wiosek tych Jukanów, nie chciałem iść w tamte strony, bo się bałem, że złapią mnie mieszkańcy którejś z nich; wyszedłem więc z doliny, zamierzając ją obejść szerokim łukiem. Lecz kiedy zszedłem z gór do tej doliny, znowu mnie pojmano.

– Gdzie leży Dolina Jukanów? – zapytałem.

– Tam – powiedział, wskazując w kierunku ośnieżonych górskich szczytów, zamykających jedną ze stron doliny.

– Myślę, że właśnie w tamtą stronę powinienem pójść, żeby dotrzeć do Sari.

– Myślisz? – zdziwił się. – Nie wiesz?

Potrząsnąłem głową.

– Nie mam tego szczególnego instynktu, który mają wszyscy Pellucidarianie i który pewnie prowadzi ich do domu.

– To dziwne. Nie umiem sobie wyobrazić, że ktoś nie potrafi iść prosto ku domowi, bez względu na to, gdzie akurat jest.

– Bo ja nie jestem Pellucidarianinem i dlatego nie mam tego instynktu.

– Nie jesteś Pellucidarianinem? Przecież tutaj wszyscy nimi są.

– Są jeszcze inne światy oprócz Pellucidaru, Zorze, chociaż mogłeś nigdy o nich nie słyszeć. I ja jestem z jednego z tych innych światów. Znajduje się bezpośrednio pod naszymi stopami, pewnie w odległości dwudziestu snów.

Potrząsnął głową.

– Nie jesteś przypadkiem Jukanem? Oni też mają mnóstwo dziwnych pomysłów.

Roześmiałem się.

– Nie, nie jestem Jukanem – zapewniłem go.

A potem próbowałem mu opowiedzieć o tym innym świecie na zewnętrznej skorupie; ale nie był w stanie tego zrozumieć.

– Zawsze myślałem, że jesteś z Sari.

– Bo teraz jestem. To moja przybrana ojczyzna.

– Wśród Jukanów była dziewczyna z Sari. Nie była więziona w wiosce, w której byłem, ale w pobliskiej. Słyszałem, jak o niej rozmawiali. Ktoś powiedział, że ją zabijają, żeby ułagodzić Ogara. Stale robili coś, co miało ułagodzić tego Ogara, którego się okropnie bali. A potem usłyszałem, że zrobią z niej królową. W kółko tak zmieniali zdanie.

– Jak się nazywała ta dziewczyna?

– Nigdy nie słyszałem jej imienia, ale mówili, że jest bardzo piękna. Pewnie już nie żyje, biedactwo. Ale z Jukanami nigdy nic nie wiadomo. Mogli byli uczynić ją królową, albo ją zabić, albo pozwolić jej uciec.

– A tak przy okazji, w którym kierunku leży Sari? Bo ja tylko zgadywałem.

– Miałeś rację. Gdybyś miał kiedyś uciec to powinieneś przekroczyć tamte góry i wtedy byś się znalazł w Dolinie Jukanów, no i dalej byłbyś w takich opałach jak teraz. Gdybym kiedykolwiek uciekł, to musiałbym pójść tą samą drogą, żeby podjąć trop ludzi, co porwali Ranę.

– No to pójdziemy razem.

Zor się zaśmiał.

– Jak już coś postanowisz, to nigdy nie odpuszczasz, co?

– Z pewnością nie zrezygnuję z ucieczki.

– Cóż, miło to słyszeć. Ale najpierw musielibyśmy sobie poradzić z tymi wąsatymi jaloczkami, co bez przerwy mają nas na oku.

– Musi się nadarzyć jakaś okazja.

– Tylko popatrz, co się zbliża! – wykrzyknął, wskazując w górę doliny.

Popatrzyłem w tamtą stronę i ujrzałem coś dziwnego. Nawet z tak daleka rozpoznałem wielkie ptaki, których dosiadali ludzie.

– To Julocy – wyjaśnił Zor.

Zawołał do wartowniczkę i wskazał w ich kierunku. Natychmiast podniesiono alarm i z wioski zaczęły nadciągać wojowniczkę. Miały noże i proce i trzciny, które podpaliły, żeby zrobić tę swoją zasłonę dymną. Mniej więcej co dziesiąta niosła pochodnię, od której pozostałe mogły zapalić swoje trzciny.

Kiedy od wioski nadciągnęła Gluck, rzuciła nam obu po nożu i procy, podała dymiące trzciny i kazała nam dołączyć do kobiet i bronić wioski.

Ruszyliśmy ławą na wroga, teraz znajdującego się na tyle blisko, że wyraźnie ich widziałem. To były wojowniczkę, brodate i grubo ciosane, jak te z wioski Oog. Ich wierzchowcami były Dyalsy, wielkie ptaki, bardzo podobne do fororaków, patagońskich olbrzymów z miocenu (ich szczątki znaleziono w zewnętrznym świecie). Mierzyły siedem do ośmiu stóp wysokości; głowy miały większe niż konie, a szyje niemal tak grube jak one. Długie i krzepkie nogi były zakończone trójpalczastymi stopami; jednym kopnięciem mogły powalić wołu; dzięki dużym i silnym dziobom były godnymi przeciwnikami dla straszliwych mięsożernych ssaków i dinozaurów wewnętrznego świata. Nie mogły latać, bo miały szczątkowe skrzydła; lecz długie nogi pozwalały im biegać z zadziwiającą prędkością.

Julockich wojowniczek było tylko ze dwadzieścia. Początkowo zbliżały się do nas powoli; a potem, z odległości jakichś stu jardów, zaszarżowały. Nasze kobiety natychmiast zapaliły pochodnie i rzuciły je w stronę

napastniczek; zaraz potem ostrzelały je z proc strzałkowatymi pociskami. Nie wszystkie pochodnie rzucono od razu, wiele pozostało w rezerwie, kiedy nieprzyjaciel zbliżał się do oślepiającego dymu. Widziałem nasze kobiety walczące jak furie – mężnie i bez lęku. Przyskakiwały blisko, starając się dźgnąć dyalsy, albo ściągnąć wojowniczkę z ich grzbietów.

Dym, co oczywiście, szkodził na równi przeciwniczkom jak i nam. Kaszląc i dusząc się, byłem niemal bezradny. Zor walczył u mego boku. Ale nie było z nas wielkiego pożytku, bo żaden nie był biegły w strzelaniu z procy.

Z dławiącego dymu wyłonił się Dyal bez jeźdźca; rzemień, służący za uzdę, wlokł się po ziemi. Natychmiast mnie olśniło i chwyciłem uzdę wielkiego ptaka.

– Szybko! – zawołałem do Zora. – Oto okazja, na którą czekaliśmy. Dosiądź go!

Ani przez moment się nie zawahał i z moją pomocą wdrapał się na grzbiet wielkiego ptaka, otumanionego dymem, którego się nawdychał.

Nie mieliśmy pojęcia, jak nim kierować, ale odwróciliśmy jego głowę w stronę, w którą chcieliśmy się udać i kopnęliśmy go w boki stopami obutymi w sandały. Ruszył – najpierw powoli, wyszukując drogę w kłębach dymu, ale na koniec, kiedy znaleźliśmy się tam, gdzie powietrze było czystsze, wyczuł okazję ucieczki od gryzącego dymu i popędził jak spłoszony królik. Zor i ja z trudem się utrzymywaliśmy na jego grzbiecie.

Gnaliśmy wprost ku górcom, za którymi leżała kraina Jukanów; niezbyt się baliśmy, że zauważą naszą ucieczkę zanim potyczka się skończy i dym się rozwieje.

Ależ to była jazda! Dopędzić nas mógłby jedynie drugi Dyal albo ekspres. Ptaszysko było przerażone i gnało ile sił w nogach. Mimo to mogliśmy je prowadzić w tę stronę, w którą chcieliśmy się udać. Kiedy

dotarliśmy do pogórza, było już zmęczone i musiało zwolnić i dostojnym krokiem ruszyliśmy ku wyższym partiom gór. Ależ były wysokie! Ośnieżone szczyty wypiętrzały się nad nami – niezwykle widok w Pellucidarze.

– To świetny sposób pokonywania odległości – powiedziałem do Zora.
– Jeszcze nigdy nie przemieszczałem się w Pellucidarze z taką szybkością. Mamy szczęście, że złapaliśmy tego dyala i mam nadzieję, że znajdziemy mu coś do jedzenia.

– W razie czego dyal sam rozwiąże ten problem – odparł Zor.

– Co masz na myśli?

– Zje nas.

No cóż, nie zjadł nas i już długo z nami nie pobył, bo jak tylko dotarliśmy do śniegu absolutnie nie chciał dalej iść. Musieliśmy go puścić, jako że zrobił się bardzo agresywny.

ROZDZIAŁ 5

W Pellucidarze niemal stale panuje wieczna wiosna i dlatego mieszkańcy wewnętrznego świata skąpo się ubierają – najczęściej mają tylko przepaskę biodrową i sandały. Atmosfera w pobliżu powierzchni jest nieco gęściejsza niż na zewnętrznej skorupie, z powodu ruchu odśrodkowego; lecz z tego samego powodu jest o wiele płytsza niż na powierzchni globu – toteż na szczytach wysokich gór jest przeraźliwie zimno. Możecie więc sobie wyobrazić, że obaj z Zorem nie mogliśmy długo pozostawać w śniegach górnych partii gór.

Kiedy Zor wy dostał się z Doliny Jukanów, przeszedł przez góry tą samą przełęczą, więc nie musieliśmy szukać przejścia.

Słońce prażyło nas z bezchmurnego nieba, ale i tak było bardzo zimno, a ponieważ byliśmy niemal nadzy, to długo byśmy tu nie pożyli. Zapewniam was, że z ogromną ulgą minęliśmy szczyt przełomu i zaczęliśmy schodzić drugim stokiem. Zanim dotarliśmy w cieplejsze okolice byliśmy sztywni z zimna.

Szliśmy szlakiem wydeptanym przez zwierzynę, wędrującą z jednej doliny do drugiej i mieliśmy szczęście, że się nie natknęliśmy na żadnego mięsożercę, póki byliśmy powyżej granicy lasu. Potem już mogliśmy przed nimi uciec pomiędzy drzewa. Nasza broń na nic by się nie przydała; bo kamienny nóż nie zagrozi jaskiniowemu niedźwiedziowi, potężnemu rythowi wewnętrznego świata, szerokiemu w barach na osiem stóp i wysokiemu na dwanaście (bez wątpienia idealna replika *ursus spelaeus*, w zewnętrznym świecie współczesnego ludziom z paleolitu). Nasze proce też by nam w niczym nie pomogły, bo nie umieliśmy się nimi sprawnie posługiwać.

Może potraficie sobie wyobrazić, jak bezbronny może się czuć tym barbarzyńskim świecie ktoś prawie nagi i praktycznie bezbronny. Często się dziwiłem, że człowiek w ogóle przetrwał – czy tutaj, czy w zewnętrznym świecie – tak skąpo przez naturę wyposażony zarówno w środki zaczepne jak i obronne. Uważa się, że środowisko miało wielki wpływ na powstawanie gatunków. I – o ile to prawda – zawsze wydawało mi się dziwne, że człowiek nie jest tak rączy jak antylopa, bo w środowisku, w którym żył przez wieki musiał poświęcać wiele godzin na uciekanie przed czymś – na przykład przed wielkimi zwierzętami, które z całą pewnością spotykał i musiał pokonać gołymi rękami, czy też maczugą lub nożem. Ja tam uważam, że ludzka rasa musiała powstać w lesistej krainie, gdzie zawsze było w pobliżu jakieś drzewo, dające możliwość ucieczki przed stworami nieustannie polującymi na praludzi.

Wreszcie znaleźliśmy się niżej, gdzie było cieplej i gdzie rosło mnóstwo drzew – szczęśliwie dla nas, bo pierwszym stworzeniem, jakie napotkaliśmy po przebyciu przełęczy, był tarag, olbrzymi pasiasty kot, odpowiednik naszego szablastozębego tygrysa, który już dawno wyginął w zewnętrznym świecie. Jak na duże zwierzęta taragi są zadziwiająco szybkie

i kiedy dostrzegą zdobycz, to działają tak błyskawicznie, że o ile ich potencjalna ofiara nie może natychmiast uciec lub nie jest odpowiednio uzbrojona, to skutek jest z góry przesądzony – tarag się pożywia. Podobnie jak inni drapieżcy Pellucidaru, taragi są wiecznie głodne; ich wielkie cielsko domaga się olbrzymich ilości pokarmu, żeby zregenerować tkanki nadwątlone nieustanną aktywnością. Ma się wrażenie, że wciąż się wałęsają. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widział wylegującego się taraga.

Tak się złożyło, że Zor i ja jednocześnie zobaczyliśmy tego drapieżnika – i to w tej samej chwili, kiedy on nas zobaczył. Natychmiast z niewiarygodną szybkością zaatakował. Obaj wydaliśmy ostrzegawczy okrzyk i skoczyliśmy ku drzewu. Znajdowałem się dokładnie na linii ataku bestii. Niemal mnie dopadł – zdarł mi pazurami jeden sandał, kiedy skoczył za mną wysoko w powietrze. Zor był na sąsiednim drzewie; popatrzył na mnie i uśmiechnął się.

- O włos – powiedział. – Musimy się baczniej rozglądać.
- Musimy mieć jakąś broń – odparłem. – To ważniejsze.
- Chciałbym wiedzieć, jak ją zdobędziesz.
- Zrobię.
- Jaką broń?
- Na początek parę łuków i strzały, oraz dwie krótkie ciężkie dzidy.
- Co to łuki i strzały? – zaciekawiał się.

Wyjaśniłem mu to najlepiej jak umiałem, ale potrząsnął głową.

– Sam zrobię dzidę – oznajmił. – Mężczyźni z Zoramu dzidą zabijają nawet rytha i thipdara. Dzida i nóż to jedyna broń, jakiej potrzebuję.

Tarag po jakimś czasie odszedł. Zeszliśmy na ziemię i chwilę później znaleźliśmy się w pobliżu małego strumyka, dobrego miejsca na obóz. Mieliśmy szczęście, że nie musieliśmy długo szukać takiego zakątka, bo w

Pellucidarze powinien on zapewniać ochronę przed drapieżnikami – co zwykle oznacza jaskinię, której wejście można zabarykadować.

To ogromny, kipiący życiem świat. I człowiek się w końcu przyzwyczaja, że na niego polują. Początkowo stale miałem nerwy napięte jak postronki, ale po jakimś czasie traktowałem to tak zwyczajnie, jak wy w zewnętrznym świecie patrzycie na zakłócenia w ruchu kołowym, łobuzów z bronią i inne pospolite zagrożenia życia, tak liczne w cywilizacji.

Znaleźliśmy jaskinię parę stóp nad linią wysokiej wody, w ścianie klifu obmywanej przez ten górski potok – czysty, chłodny potok, w którym, jak wiedzieliśmy, nie będzie żadnych niebezpiecznych gadów (było to dla nas bardzo ważne, bo musieliśmy brodzić w wodzie, żeby dotrzeć do naszej jaskini). Idealne miejsce. A ponieważ żaden z nas porządnie się nie wysypiał od porwania przez wojowniczeki z Oog, cieszyliśmy się na bezpieczny wypoczynek.

Sprawdziliśmy jaskinię i przekonaliśmy się, że nie miała żadnych mieszkańców, była sucha i na tyle duża, żeby było nam wygodnie. Nanieśliśmy liści i suchej trawy na posłania i wkrótce zasnęliśmy.

Nie wiem, jak długo spałem. Może godzinę lub tydzień waszego czasu. Najważniejsze, że kiedy się obudziłem, byłem wypoczęty. I straszliwie głodny.

ROZDZIAŁ 6

Rzadko się docenia wygody codziennego życia, póki się nie trzeba bez nich obchodzić. Pewnie masz scyzoryk, a gdzieś w domu lub w garażu dłuto i piłę, a może nawet hebel, siekierę i topór. Całkiem możliwe, że jako cywilizowany człowiek, mający te wszystkie ostre narzędzia, masz również mnóstwo czasu, żeby zrobić porządny łuk i strzały; no i masz dostęp do składu drzewnego, gdzie możesz wybrać odpowiedni materiał, przycięty plus minus do właściwych wymiarów. Masz też mnóstwo jedzenia w spiżarni i w lodówce; no i nie czyhają na ciebie żadne mięsożerne bestie. Warunki byłyby idealne i miałbyś tyle czasu, ile byś potrzebował. Ale i tak czekałoby cię mnóstwo roboty. Tylko pomyśl, co by było, gdybyś miał wyłącznie kamienny nóż, gołe ręce i zasoby w stanie – by tak rzec – surowym. No i byłbyś głodny, a napełnienie brzucha wielce by zależało od posiadania łuku i strzał, nie mówiąc już o ujściu z życiem niezliczonym dzikim stworom, spragnionym twojego mięsa. W takiej to sytuacji się znalazłem, kiedy się obudziłem z długiego snu; ale tak naprawdę niezbyt

się tym przejąłem, bo wtedy już byłem uodporniony na zmienne koleje losu w epoce kamienia.

Zor obudził się zaraz po mnie i poszliśmy szukać materiałów na naszą broń. Dokładnie wiedzieliśmy, czego nam trzeba i wkrótce znaleźliśmy to wśród bujnej roślinności Pellucidaru, chociaż twarde drewno jest dość rzadkie.

Rośliny z rodziny cisowatych występują w całym Pellucidarze i przekonałem się, że to z ich drewna robi się najlepsze łuki. Na strzały wykorzystuję prostą, pustą trzcinę, bardzo twardą po wysuszeniu. Groty, jakie osadzam na czubku trzciny są z drewna, utwardzonego ogniem.

Współczesny łucznik z cywilizowanego zewnętrznego świata na pewno by się uśmieł z prymitywnego łuku, jaki wtedy zrobiłem na skraju Doliny Jukonów. Jeśli używa łuku z cisowego drewna, to sezonowano je przez trzy lata zanim zrobiono łuk, który potem leżał nieużywany przez dwa kolejne lata. No ale nie mogłem czekać pięć lat, żeby coś zjeść. Toteż kamiennym nożem odciąłem z drzewa wybraną gałąź, okorowałem ją i mocno wyklepałem (od środka w obie strony). Wolę łuk sześciostopowy, o naciągu osiemdziesięciu funtów i trzystopowe strzały – ze względu na ogromne rozmiary i dzikość bestii, które się tu spotyka; ale ma się rozumieć mój łuk nie od razu uzyskał swoją moc. Trochę bardziej go podsuszałem ilekroć mieliśmy ogień i stopniowo osiągnął swoją skuteczność. Ciężkiwy robię z pewnych roślin o długich włóknach; lecz nawet najlepsze długo nie przetrwają i stale muszę je wymieniać.

Kiedy ja robiłem łuk i strzały, Zor wykonał parę krótkich ciężkich dzid (takich, jakie używają wojownicy z Zoramu). To znakomita broń, ale skuteczna jedynie w zasięgu stu stóp, a i to wtedy, kiedy rzuca nią bardzo silny mężczyzna; natomiast moje strzały mogą przebić serce największych bestii ze stu jardów albo i większej odległości.

Kiedy pracowaliśmy nad naszym orężem, poprzestawaliśmy na orzechach i owocach; ale jak tylko broń była gotowa, rozejrzeliśmy się za mięsem. To nas zaprowadziło w głąb doliny, na sporym obszarze porośniętej gęstym lasem. Stwierdziliśmy, że zwierzyna jest dość płochliwa, co świadczyło, że na nią polowano – a to wskazywało na obecność człowieka. Wreszcie oddałem kiepski strzał i tylko zraniłem antylopę, która uciekła w las, unosząc ze sobą moją strzałę. Poszliśmy jej tropem, ponieważ byłem przekonany, że rana na koniec okaże się śmiertelna i ponieważ nigdy nie lubiłem zostawiać rannych zwierząt i pozwalać im cierpieć.

Trop był wyraźny, bo wyznaczony krwią rannej antylopy. W końcu ją dogoniliśmy i dobiłem ją strzałą prosto w serce.

Sądzę, że staliśmy się trochę mniej czujni, odcinając zadnią ćwiartkę i inne smakowite części naszego łupu. Ja na pewno nie miałem pojęcia, że nie jesteśmy sami, póki nie usłyszałem ludzkiego głosu.

– Witajcie – powiedział głos.

Rozejrzałem się i zobaczyłem dwudziestu wojowników, którzy wyszli spośród drzew za nami.

– Jukanie – szepnął Zor.

Wyglądali dość dziwnie. Włosy – wytrymowane na cal lub więcej – sterczały prosto. Lecz uważam, że to oczy – bardziej niż inne cechy – nadawały im ten osobliwy wygląd. Tęczówka była mała, okolona białkiem. Wargi mieli wiotkie i obwisłe; przez co wielu z nich stale miało otwarte usta.

– Czemu polujecie w naszym lesie? – zapytał ten, co się pierwszy odezwał.

– Bo jesteśmy głodni – odpowiedziałem.

– No to się was nakarmi – powiedział. – Chodźcie z nami do wioski. Będziecie mile widzianymi gośćmi w wiosce Meeza, naszego króla.

Pamiętałem, co Zor mi o nich opowiadał, więc nie miałem specjalnych oporów przed pójściem do jednej z ich wiosek. Mieliśmy co prawda zamiar okrążyć las, w którym są ich wioski i uniknąć spotkania z nimi – a teraz wyglądało na to, że nic z tego.

– Najwyraźniej nic innego nam nie pozostaje, jak odwiedzić waszą wioskę – powiedziałem. – Ale bardzo się spieszymy i idziemy w przeciwną stronę.

– Idziecie do naszej wioski – oznajmił chrypliwie szef podniesionym głosem, nagle podekscytowany; zrozumiałem, że nawet ten sprzeciw go rozgniewał.

– Tak, idziecie do wioski – powtórzyło za nim kilku innych (i oni wyglądali, jakby lada chwila miały im puścić nerwy).

– Ależ oczywiście – powiedziałem – jeśli chcecie, żebyśmy poszli, to z ochotą pójdziemy. Ale nie chcielibyśmy wam sprawiać kłopotu.

– Tak już lepiej – oznajmił szef. – Teraz wszyscy pójdziemy do wioski, posilimy się i będziemy zadowoleni.

– Chyba jesteśmy w kłopotach – szepnął Zor, kiedy wojownicy nas otoczyli i poprowadzili w głąb lasu. – Może nadal będą przyjaźni, ale nigdy nie wiadomo, kiedy im się odmieni. Mogę tylko podpowiedzieć, żebyśmy stale ich wprawiali w dobry nastrój, bo sam widziałeś jak na nich działa nawet najmniejszy sprzeciw.

– No to nie będziemy się im sprzeciwiać – powiedziałem.

Po niezbyt długim marszu dotarliśmy do otoczonej prymitywnym ostrokołem wioski, znajdującej się na niewielkiej polanie. Wojownicy przy bramie rozpoznali naszą eskortę i od razu nas wpuścili.

Wioska w obrębie ostrokołu wyglądała dziwacznie. Nie było wątpliwości, że zbudowano ją bez żadnego planu; domy rozmieszczono wedle kaprysu tego, do kogo należały. Efekt był dość chaotyczny – nie było ulic w naszym rozumieniu, bo nie można było tak nazwać luk pomiędzy domami. Czasem miały ledwo parę stóp szerokości, a innym razem dwadzieścia stóp i rzadko biegły prosto na odcinku dłuższym niż para chat. Wygląd domów był równie kapryśny jak ich rozmieszczenie; najwyraźniej każdy budowano według innego planu. Jedne zbudowano z małych bali; inne z plecionki obrzuconej gliną; jeszcze inne z kory; a wiele miało po prostu lekki szkielet obrzucony trawą. Były okrągłe, kwadratowe, stożkowate lub podłużne. Szczególnie rzucił mi się w oczy jeden – wieża wysokości dwudziestu stóp; sąsiadowała z nim chata upleciona z trawy, wysoka na jakieś trzy stopy. Miała tylko jeden otwór – na tyle szeroki, żeby mieszkańcy mogli na czworakach wchodzić i wychodzić.

W wąskich przejściach pomiędzy chatami bawiły się dzieci o błędnych oczach, kobiety gotowały, a mężczyźni się objali – toteż nasza eskorta z trudem przebijała się ku centrum wioski. Bez przerwy omijaliśmy mężczyzn, kobiety i dzieci lub przechodziliśmy ponad nimi; większość nie zwracała na nas uwagi, a niektórzy wpadali w straszny gniew, kiedy ich dotknęliśmy.

Podczas tego krótkiego marszu przez wioskę widzieliśmy sporo dziwów. Pewien mężczyzna, siedzący przed wejściem do swojej chaty, mocno walnął się w głowę kamieniem. „Przestań! – wrzasnął. – Bo cię zabiję!”. „Czyżby? Czyżby?” – odpowiedział sam sobie. I znowu się uderzył. Potem odrzucił kamień i zaczął się dusić.

Nie wiem, jak się skończyła ta jego kłótnia z samym sobą, bo skręciliśmy za róg jego chaty i straciliśmy go z oczu.

Trochę dalej natrafiliśmy na kobietę, przytrzymującą wrzeszczące dziecko i próbującą mu poderznąć gardło kamiennym nożem. Tego już nie mogłem zdzierżyć i chociaż wiedziałem, na co się narażam, złapałem ją za rękę i odsunąłem nóż od szyi dziecka.

– Czemu to robisz? – zapytałem.

– To dziecko nigdy nie chorowało – odparła. – To coś w tym musi być. Uwalniam je od nieszczęścia.

Potem nagle skoczyła ku mnie z pałającymi oczami i chciała mnie dźgnąć nożem. Uchyliłem się przed ciosem, a jeden z mojej eskorty w tym samym czasie powalił kobietę uderzeniem drzewcem włóczni; zaś drugi pchnął mnie brutalnie ku wąskiemu przejściu.

– Pilnuj swojego nosa! – wrzasnął. – Bo się doigrasz!

– Chyba nie pozwolicie, żeby zabiła dziecko? – zapytałem.

– A czemu mielibyśmy się wtrącać? Pewnego dnia i ja mogę zechcieć poderznąć komuś gardło i nie chciałbym, żeby ktoś mi w tym przeszkodził. Może zachce mi się poderznąć gardło tobie.

– Niezły pomysł – odezwał się inny wojownik.

Skręciliśmy za róg chaty i chwilę później znowu usłyszałem wrzask dziecka, ale nie mogłem nic zrobić, no i musiałem się teraz martwić o własne gardło.

Wyszliśmy na dużą otwartą przestrzeń okalającą niską, pełną zakamarków, dziwaczną budowlę. Był to pałac Meezy, króla. Pośrodku placu przed pałacem, tkwiła wielka, groteskowa, obsceniczna figura, wyobrażająca istotę, będącą w części mężczyzną, a w części zwierzęciem. Otaczało ją sporo mężczyzn, robiących gwiazdę. Nikt nie zwracał na nich uwagi, chociaż na placu było dość dużo ludzi.

Kiedy mijaliśmy posąg każdy członek naszej eskorty powiedział „Witaj, Ogarze!” i szedł ku pałacowi. Mnie i Zorowi też kazali tak pozdrowić to

paskudztwo.

– To jest Ogar – oznajmił jeden z naszej eskorty. – Zawsze musicie go pozdrawiać, kiedy przechodzicie obok. Wszystko mu zawdzięczamy. Uczynił nas tym, czym jesteśmy. Dał nam naszą wielką inteligencję. Uczynił nas najpiękniejszym, najbogatszym i najpotężniejszym ludem Pellucidaru.

– Kim są ci co hasają wokół niego? – zapytałem.

– To kapłani Ogara – odparł wojownik.

– A co robią? – zaciekawilem się.

– Odprawiają modły za całą wioskę – odrzekł. – Oszczędzają nam modlenia się. Gdyby się za nas nie modlili, to sami musielibyśmy to robić. A modły są bardzo wyczerpujące i męczące.

– Faktycznie, mogą takie być – zgodziłem się z nim.

Wpuszczono nas do pałacu; tak dziwacznej i zwariowanej budowli jeszcze nigdy nie widziałem. Szef naszej eskorty przekazał nas innemu Jukanowi, pałacowemu funkcjonariuszowi.

– Oto bardzo dobrzy przyjaciele, którzy przyszli w odwiedziny do Meezy i przynieśli mu dary – powiedział. – Nie podetnij im aby gardeł i nie pozwól, by ktoś inny to zrobił, bo trudno by im było porozmawiać z Meezą, który, jak wiem, pragnie z nimi porozmawiać.

Kiedy weszliśmy, pałacowy funkcjonariusz siedział na podłodze i ani nie wstał, ani nie przerwał swojego zajęcia. Odesłał naszą eskortę i poprosił Zora i mnie, żebyśmy do niego dołączyli.

Czubkiem noża wydłubał dziurę w ubitej podłodze; wlał do niej trochę wody, którą mieszał z wydłubaną ziemią póki zawartość dziury nie nabrała konsystencji miękkiej gliny. Wtedy nabrał trochę tej paćki w dłoń i wyrobił z niej kulkę, rozpląszczył ją i ostrożnie położył obok siebie na podłodze.

Pochylił ku nam głowę i zapraszająco skinął dłonią ku dziurze.

– Przyłączcie się do mnie, proszę. Przekonacie się, że to nie tylko wspaniała zabawa, ale i wysoce pouczające oraz wzmacniające charakter.

Razem z Zorem przyłączyliśmy się do pałacowego funkcjonariusza i robiliśmy gliniaste placuszki.

ROZDZIAŁ 7

Gofo – pałacowy funkcjonariusz, któremu nas przekazano – wydawał się zadowolony i z nas, i z naszej pracy. Powiedział nam, że to jego zajęcie jest bardzo ważne i wiąże się z techniczną innowacją, która zrewolucjonizuje Pellucidar. A kiedy skończył nam to wszystko opowiadać, wepchnął całe to błoto z powrotem do dziury, wyrównał i uklepywał dłońmi, póki powierzchnia nie stała się gładka jak reszta podłogi.

– No, no – powiedział. – To był pyszny posiłek. Mam nadzieję, że wam smakował.

– Jaki posiłek? – palnąłem, bo niemal umierałem z głodu; nie jadłem od kiedy ostatni raz spałem.

Zmarszczył brwi, jakby próbował coś sobie przypomnieć.

– Co robiliśmy? – zapytał.

– Błotne placuszki – odpowiedziałem.

– Tsss, tss – powiedział. – Masz fatalną pamięć, ale od razu to naprawimy.

Tu klasnął dłońmi i wykrzyknął coś, czego nie zrozumiałem. Z sąsiedniego pomieszczenia wyszły trzy dziewczyny.

– Natychmiast przynieście strawę – nakazał Gofo.

Chwilę później dziewczyny wróciły z półmiskami jedzenia. Było tam mięso, warzywa i owoce. Wyglądały bardzo apetycznie. Ślinka mi ciekła.

– Postawcie to – powiedział Gofo i dziewczyny położyły półmiski na podłodze. – A teraz jedzcie – nakazał, a one posłusznie rzuciły się na strawę.

Przysunąłem się bliżej ku nim i sięgnąłem po kawałek mięsa; Gofo odtrącił moją rękę, wołając:

– Nie! Nie!

Uważnie obserwował jedzące dziewczyny.

– Zjedzcie wszystko – powiedział. – Każdą odrobinę.

Zrobiły, co nakazał, a ja ponuro obserwowałem, jak znika mój posiłek.

Kiedy skończyły jeść, odesłał je. Potem spojrział na mnie i szelmowsko mrugnął.

– Jestem dla nich za cwany – oznajmił.

– Bez wątpienia – przyznałem. – Ale nadal nie rozumiem, czemu kazałeś dziewczynom zjeść nasz posiłek.

– W tym rzecz. Chciałem się przekonać, czy jest zatruty. I teraz wiem, że nie był.

– Ale dalej jestem głodny – powiedziałem.

– Wkrótce temu zaradzimy – oznajmił Gofo i znowu klasnął dłońmi i coś zawołał.

Tym razem przyszła tylko jedna dziewczyna. Była ładna, wyglądała na inteligentną. Ale była bardzo smutna.

– Moi przyjaciele będą spać – oznajmił Gofo. – Zaprowadź ich do ich sypialni.

Chciałem coś powiedzieć, ale Zor dotknął mojej ręki.

– Nie upieraj się dłużej przy jedzeniu – powiedział, zgadując co miałem na końcu języka. – Nie trzeba dużo, żeby tych ludzi zdenerwować, a nigdy nie wiadomo, co wtedy zrobią. I tak mamy wielkie szczęście, że ten Gofo jest przyjazny.

– O czym tak szepczecie? – zainteresował się Gofo.

– Mój przyjaciel się zastanawiał, czy po spaniu będziemy znowu mieć przyjemność cię spotkać – wyjaśniłem.

Najwyraźniej sprawiło mu to przyjemność.

– Tak – powiedział. – Ale muszę was ostrzec. Pamiętajcie, że w wiosce jest bardzo wielu dziwaków i że musicie bardzo uważać na to, co mówicie i robicie. Prawdopodobnie jestem tutaj jedyną zdrową na umyśle osobą.

– Rad jestem, że nam to powiedziałaś – odparłem.

Potem wyszliśmy z izby za dziewczyną. W sąsiednim pomieszczeniu dwie dziewczyny szykowały jedzenie – widok i zapach omal nie doprowadził mnie do szaleństwa.

– Bardzo długo nie jedliśmy – powiedziałem do towarzyszącej nam dziewczyny. – Padamy z głodu.

Skinęła głową.

– Częstujcie się – zachęciła.

– Nie będziesz miała kłopotów? – zapytałem.

– Nie. Gofo już pewnie zapomniał, że posłał was spać. Jeśli wejdzie i zobaczy, że jecie, to pomyśli, że sam to zaproponował. A te dziewczyny zapomną jak tylko wyjdziecie, że tu byliście i jedliście. To imbecylki. Właściwie to wszyscy w wiosce są szaleni, oprócz mnie.

Zrobiło mi się żal biedaczki, bo wiedziałem, że sądzi, iż zrobiła na nas wrażenie tym co powiedziała. Przyznaję, że nie wyglądała na wariatkę; ale jednym z objawów pomylenia zmysłów jest wiara, że wszyscy poza tobą są szaleni.

– Jak się nazywasz? – zapytałem, kiedy usiedliśmy na podłodze i zaczęliśmy jeść.

– Kleeto. A wy?

– David, a mój przyjaciel Zor.

– Czy i wy jesteście szaleni?

Potrząsnąłem głową i uśmiechnąłem się.

– Ależ skąd.

– Wszyscy tak mówią – stwierdziła i nagle się ugryzła w język, jakby powiedziała coś czego nie powinna była powiedzieć i szybko dodała: – Pewnie, że wiem, że nie jesteście szaleni, bo zerkałam przez drzwi i widziałam, jak pracowaliście w błocie z Gofo.

Zastanawiałem się, czy się trochę ze mnie nie nabija, a potem sobie uświadomiłem, że dla jej zaburzonego rozumu to, co robiliśmy mogło się było wydawać zupełnie naturalne i racjonalne. Westchnąłem i dalej się posilałem, smucąc się, że taki biedny wypaczony umysł steruje taką uroczą dziewczyną.

Obaj z Zorem byliśmy wygłodniali i Kleeto była zdumiona ilościami jedzenia jakie pochłanialiśmy. Dwie pozostałe dziewczyny nie zwracały na nas uwagi, tylko dalej szykowały strawę. W końcu już nie mogliśmy więcej zjeść. Kleeto zaprowadziła nas do zaciemnionej izby i zostawiła tam, żebyśmy się przespali.

Nie wiem, jak długo byliśmy w pałacu Meezy. Wiem tylko, że wiele razy spaliśmy i opływaliśmy w dostatki. Kleeto o to dbała; wszystko wskazywało na to, że nas polubiła. Chyba nikt nie wiedział, co robimy w

pałacu; ale kiedy się przyzwyczaili, że tam jesteśmy, to już nie zwracali na nas uwagi; tyle że nie mogliśmy opuszczać pałacu – co, rozumie się, oznaczało, że nie mogliśmy uciec. Ale czekaliśmy na właściwy moment, mając nadzieję, że któregoś dnia wydarzy się coś, co da nam sposobność, której tak wypatrywaliśmy.

Gofo, majordomus pałacu, nigdy nie mógł sobie przypomnieć, czemu tu jesteśmy. Widywałem go, siedzącego ze zdumioną miną i bacznie w nas wpatzonego i świetnie wiedziałem, że stara się sobie przypomnieć kim jesteśmy i czemu przebywamy w pałacu.

W miarę upływu czasu coraz większe wrażenie robiła na mnie inteligencja Kleeto. Dziewczyna miała znakomitą pamięć; a w porównaniu do innych, których tu spotkaliśmy, bez wątpienia była zdrowa na umyśle. Obaj z Zorem lubiliśmy z nią rozmawiać, ilekroć nadarzyła się sposobność. Dużo nam opowiedziała o zwyczajach tych ludzi, powtórzyła pałacowe plotki.

– Z której wioski jesteście? – zapytała któregoś dnia.

– Wioski? Nie rozumiem – odparłem. – Zor jest z krainy Zoram, a ja z krainy Sari.

Przez chwilę miała zdumioną minę.

– Czyżbyś chciał mi powiedzieć, że nie jesteście Jukanami z innej wioski?

– Z pewnością nie jesteśmy. Czemu tak myślałaś?

– Bo Gofo powiedział, że jesteście jego przyjaciółmi i należy was dobrze traktować. Byłam więc przekonana, że nie jesteście więźniami i musicie być Jukanami z innej wioski. Muszę jednak przyznać, że mnie to zdumiewało, bo jesteście o wiele za inteligentni, żeby być Jukanami. Oni wszyscy, jak z pewnością sami się przekonaliście, są zbikowani.

Wtedy mnie olśniło.

– Kleeto, nie jesteś Jukanką?

– Pewnie, że nie. Więźną mnie tutaj. Jestem z krainy Suvi.

Nie mogłem się nie roześmiać. Zapytała, z czego się śmieję.

– Bo cały czas myślałem, że jesteś szalona, a ty sądziłaś, że my jesteśmy wariatami.

– Wiem – powiedziała. – To bardzo zabawne. Ale jak się tu trochę pożyje, to się nie wie, kto jest szalony, a kto nie. Niektórzy Jukanie wyglądają i zachowują się zupełnie normalnie; a mogą być najbardziej zbzikowani ze wszystkich. Ani król Meeza, ani jego syn Moko, nie wyglądają na przygłupów i właściwie nie są przygłupami, lecz obaj są wariatami najgorszego sortu, okrutnymi i nieodpowiedzialnymi, zawsze gotowymi zabić.

– Gofo nie wygląda na takiego złego – zauważyłem.

– Fakt, on jest nieszkodliwy. Mieliście szczęście, że trafiliście na niego. Gdyby służbę pełnił jego pomocnik Noak, kiedy was przyprowadzono do pałacu, to mogłoby być zupełnie inaczej.

– Od dawna tu jesteś, Kleeto?

– Tak długo, że nawet nie umiem zliczyć ile to snów. Właściwie jestem tu od tak dawna, iż zapomnieli, że nie jestem jedną z nich. Myślą, że jestem Jukanką.

– Czyli łatwo byłoby ci uciec.

– A co bym zyskała na ucieczce w pojedynkę? Jaką miałabym szansę dotarcia do Suvi, samotna i bez broni?

– Moglibyśmy uciec wszyscy razem.

Potrząsnęła głową.

– Od kiedy tu jestem, nie nadarzyła się ani jedna okazja, żeby trzy osoby mogły uciec z pałacu czy opuścić wioskę. Było wielu więźniów i

nigdy nie słyszałam, żeby któryś uciekł. Mówiłeś, że jesteś z Sari, prawda?

– Tak.

– Więżą tu kogoś z Sari, dziewczynę.

– W tej wiosce? Słyszałem, że Sarianka jest w jednej z wiosek Jukanów, ale nie wiedziałem, że tutaj. Znasz jej imię?

– Nie – odparła Kleeto. – I nawet jej nie widziałam, ale wiem, że jest bardzo piękna.

– Gdzie ona jest?

– Gdzieś w pałacu. Najwyższy Kapłan trzyma ją w ukryciu. Meeza chce, żeby została jedną z jego żon; Moko, jego syn, też jej pragnie. A Najwyższy Kapłan chce ją złożyć w ofierze Ogarowi.

– Który ją dostanie?

– Najwyższy Kapłan już ją ma, ale boi się Meezy. A Meeza boi się odebrać ją Najwyższemu Kapłanowi, żeby nie ściągnąć na siebie gniewu Ogara.

– Czyli na jakiś czas jest bezpieczna.

– W pałacu króla Meezy nikt nigdy nie jest bezpieczny – odparła Kleeto.

ROZDZIAŁ 8

Spanie i posilanie się były naszymi głównymi zajęciami w pałacu króla Meezy. To nie było życie dla dwóch wojowników i nuda doprowadzała nas do szaleństwa.

– Jeśli się stąd wkrótce nie wyrwiemy, to będziemy równie szaleni jak oni wszyscy – powiedział Zor.

– Nie wiem, co moglibyśmy z tym zrobić – oświadczyłem.

– Może by się nam udało przekonać Gofo, żeby nam pozwolił iść w miasto – poddał Zor. – Przynajmniej mielibyśmy trochę ruchu i oderwalibyśmy się od monotonnego życia tutaj.

– Mogłoby też dać nam sposobność ucieczki – ożywiłem się.

Zor wstał, ziewnął i przeciągnął się; robił się grubawy i ociężały.

– Poszukajmy go.

Już mieliśmy wyjść z izby, kiedy usłyszeliśmy krzyk – pojedynczy krzyk, a po nim nastąpiła cisza.

– Ciekaw jestem co to było? – powiedział Zor.

– To było blisko – stwierdziłem. – Może lepiej poczekajmy. Nigdy nie wiadomo, w jakie kłopoty można wpaść, jeśli coś sprowokuje tych ludzi. Miałem wrażenie, że ten krzyk doleciał z gabinetu Gofo.

Do pokoju weszła bardzo podminowana Kleeto.

– Co się dzieje? – zapytałem. – Czemu jesteś taka zdenerwowana?

– Słyszeliście ten krzyk? – spytała.

– Tak.

– To był Gofo. Noak właśnie dźgnął go w plecy.

Zor zagwizdał.

– Zabił go? – zapytałem.

– Nie wiem, ale to bardzo prawdopodobne. W każdym razie jest ciężko ranny. A Noak jest teraz majordomusem pałacu. To źle dla nas wszystkich. Ma więcej rozumu niż Gofo i dobrą pamięć. W przeciwieństwie do Gofo nie zapomni o nas.

– Chyba nas w ogóle nie widział – odezwał się Zor.

– To nie ma żadnego znaczenia – stwierdziła Kleeto. – Teraz zaczniesz wypytywać i dowiesz się wszystkiego o każdym w swojej części pałacu.

– Fatalnie, że nie jesteśmy ubrani jak Jukanie – powiedziałem. – Wtedy Noak mógłby pomyśleć, że jesteśmy gośćmi z innej wioski.

Przepaski biodrowe Jukanów były z wyprawionych małpich skór, pokrytych sierścią; nosili też na kostkach opaski z małpiej skóry i naszyjniki z ludzkich zębów. Jak już wspominałem, włosy mieli krótko obcięte, toteż bardzo trudno by nam było uchodzić za Jukanów.

– Mogłabyś nam obu znaleźć taki strój, Kleeto? – zapytał Zor.

– Wiem, gdzie jest jeden – odparła dziewczyna. – Należał do mężczyzny, służącego pod Gofo. Nagle uznał, że nie powinien nosić żadnego przyodziewku. Odrzucił go i chadzał nago. Wszystko, czego się

pozbył, złożono w jednym z magazynów i o ile wiem, te rzeczy wciąż tam są.

– Miejmy nadzieję, że nie wróci po swoje rzeczy – powiedział Zor.

– Nie wrócił i nigdy nie wróci – wyjaśniła Kleeto. – Stał nagi przed królem i Meeza kazał go zabić.

– Gdybyśmy mieli drugi strój – stwierdził Zor, – moglibyśmy nie zwracając niczyjej uwagi, wyjść z pałacu.

Kiedy rozmawialiśmy, stałem zwrócony twarzą ku wejściu, zawieszonym zasłoną z wielu miętko wyprawionych skórek jakiegoś małego zwierzęcia. Zauważyłem, że zasłona lekko się porusza i domyśliłem się, że ktoś podsłuchuje. Szybko podszedłem i odsunąłem ją. Stał za nią facet z paskudną gębą. Blisko osadzone paciorkowate czarne oczy, długi nos i cofnięta broda nadawały mu wygląd szczura. Stał tak przez chwilę, gapiąc się na nas w milczeniu; a potem się odwrócił i czmychnął zupełnie jak szczur.

– Ciekawa jestem, czy słyszał? – zaniepokoiła się Kleeto.

– Kto to był? – zapytał Zor.

– To był Ro – odparła dziewczyna. – Jeden ze sługusów Noaka.

– Wygląda na to, że wpadliśmy, bo na pewno musiał nas podsłuchać – stwierdził Zor.

– Może o nas zapomni, zanim znajdzie kogoś, komu by mógł to powtórzyć – powiedziałem.

– Nie on – włączyła się Kleeto. – Czasem wygląda na to, że im są wredniejsi, tym mają lepszą pamięć.

– Teraz byłby odpowiedni czas, żeby się stąd wydostać, gdybyśmy się mogli przebrać za Jukanów. Kleeto, przynieś tamten strój i przeberzemy Zora. Jeśli będzie mógł chodzić nierozpoznany po pałacu, to może uda mu się znaleźć jakieś rzeczy i dla mnie – powiedziałem.

– A co z moimi włosami? – zapytał Zor.

– Znalazłabyś nam jakiś nóż, Kleeto? – spytałem.

– Tak. Mamy wiele noży, używanych przy szykowaniu stawy. Zaraz parę przyniosę.

Przyniosła nam noże i poszła poszukać ubioru dla Zora; a ja się zabrałem za przycinanie jego dość długich włosów. Roboty było z tym sporo, ale wreszcie skończyłem.

– Otwórz szeroko oczy i rozdziaw usta – poradziłem mu ze śmiechem. – A będziesz mógł uchodzić za Jukana.

Zor się skrzywił.

– No chodź, teraz ja zrobię z ciebie głupka – zaproponował.

Właśnie kończył obcinać mi włosy, kiedy wróciła Kleeto z jukańskim ubiorem.

– Lepiej idź do waszej sypialnej izby i tam się przebierz – poradziła. – Tutaj mógłby ktoś wejść.

Zor wyszedł, Kleeto wróciła do pracy w kuchni i zostałem sam. Jak zwykle kiedy byłem sam i nie zajmowałem się układaniem planów ucieczki, wróciłem myślami do Sari i mojej pani, Dian Pięknej. Bez wątplenia uznała, że zaginąłem; i jeśli nie wrócę, to mój los na zawsze pozostanie tajemnicą i dla niej i dla moich ziomków Sarian.

Sari wydawało się takie dalekie i faktycznie takie było. I wątpliwe, czy kiedykolwiek tam powrócę; bo gdybym nawet uciekł Jukanom, to jak mógłbym mieć nadzieję na odnalezienie Sari, skoro nie miałem właściwego Pellucidarianom zmysłu orientacji?

Rozumie się, że Zor mógłby wskazać przybliżone położenie Sari – lecz bez jego pomocy mógłbym całe życie zakreślać wielkie koło. A nawet gdybym szedł po jako tako prostej linii, to miałem nikłe szanse, żeby wcelować w ten niewielki punkcik, jakim było Sari. Lecz żadne

wątpliwości nie były w stanie mnie odwieść od próby ucieczki, jak tylko nadarzy się sposobność. I póki życia nie zrezygnuję z prób powrotu do mojej Dian.

O tym to rozmyślałem, kiedy zasłonę gwałtownie odsunięto i do izby wtargnął jakiś mężczyzna. Był muskularnym facetem; lecz twarz miał ani ludzką, ani zwierzęcą. Sztywne, sterczące włosy rosły niemal do samych oczu – tak, że właściwie nie miał czoła, a jedynie szeroki na jakiś cal pasek nad brwiami. Oczy były tak blisko osadzone, że wyglądały niemal jak jedno; uszy były spiczaste jak u zwierzęcia. Nos był niezły, ale usta były wąskie i okrutne. Przez parę chwil stał, wpatrując się we mnie z drwiącym grymasem.

– Zamierzasz uciec, taaak? – odezwał się w końcu.

– Ktoś ty? – zapytałem.

– Jestem Noak, majordomus pałacu Meezy – odparł.

– No i? – spytałem.

Budził we mnie niechęć; a z jego zachowania wynikało, że szukał zaczepki. Nie starałem się go ułagodzić. I tak zrobi to, co zamierza, bez względu na to, co powiem lub zrobię. Chciałem mieć to już z głowy.

– Nawet sobie obciąłeś włosy, żeby bardziej przypominać Jukana. Teraz potrzebna ci tylko przepaska biodrowa i jukańskie ozdoby.

– Właśnie – powiedziałem, patrząc na jego przepaskę.

W jego oczach nagle zapłonął gniew.

– Wydaje ci się, że możesz uciec Noakowi, co?! Już ja cię urządzę. Nigdy nikomu nie uciekniesz, jak z tobą skończę – i z tymi słowy dobył kamiennego noża i rzucił się na mnie.

Zatrzymałem jeden z noży, które nam przyniosła Kleeto; a Zor miał drugi. Toteż miałem się czym bronić i byłem gotowy, kiedy zaatakował.

Mam nadzieję, że nigdy nie będziecie musieli walczyć z szaleńcem. To było jedno z najokropniejszych doświadczeń, jakie przeżyłem. Noak był nie tylko szalony, ale i krzepki; lecz i tak najpaskudniejsza w tym wszystkim była jego straszna, zwierzęca gęba, szaleńczy blask w paskudnych ślepiach, piana wściekłości na okrutnych ustach, wyszczerzone żółte kły.

Sparowałem pierwszy cios i wałnąłem go w pierś moim nożem; lecz prawie się uchylił i udało mi się tylko lekko go zranić. Nawet i to jeszcze bardziej go rozwścieczyło – teraz uderzał z bliska i jednocześnie wolną ręką starał się mnie chwycić za gardło. Znowu się uchyliłem. Potem z wrzaskiem skoczył w powietrze i spadł na mnie. Straciłem równowagę i poleciałem na plecy na podłogę – szaleniec leżał na mnie. Uniósł nóż, żeby ze mną skończyć, ale chwyciłem go za przegub i jakoś mi się udało wyrwać mu broń. Wtedy wyszczerzył te żółte zębiska i wbił je we mnie, starając się przegryźć żyłę szyjną. Żeby go z siebie zepchnąć, musiałem puścić jego przegub i udało mi się wbić mu palce w gardło. Wciąż trzymałem nóż i kiedy tak się przepychaliśmy i siłowaliśmy szepieni ze sobą, trafiłem czubkiem ostrza w miejsce pod sercem – i z całej siły wbiłem nóż.

Wrzasnął i spazmatycznie dygotał przez parę sekund. Potem znieruchomiał, martwy.

Zepchnąłem z siebie jego zwłoki i chwiejnie wstałem, ledwo żywy po tym koszmarze i bliskości tej odpychającej gęby.

Kiedy tak stałem, łapiąc oddech, usłyszałem jakiś dźwięk w wejściu za sobą. Gwałtownie się odwróciłem, gotowy na kolejnego wroga – ale to była tylko Kleeto. Stała i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w zwłoki na podłodze.

– Zabiłeś Noaka – wyszeptała.

– I mam ubiór Jukana – odparłem.

ROZDZIAŁ 9

Zanim przybyłem do Pellucidaru nigdy nie zabiłem człowieka. Po prawdzie, to nawet nie widziałem nikogo, kto zginął gwałtowną śmiercią. Lecz potem zabiłem wielu ludzi – jednak zawsze w samoobronie lub broniąc innych. Zawsze tak musiało być i być musi w społeczeństwie, w którym nie ma regularnych służb strzegących spokoju i bezpieczeństwa obywatela. W Pellucidarze każdy musi być własną policją, własnym sędzią i własną ławą przysięgłych. To nie oznacza, że prawo zawsze zwycięża; częściej zwycięża siła – ale kiedy ktoś ma po swojej stronie tak prawo jak i siłę, to czuje o wiele większą satysfakcję ze swoich dokonań, niż gdyby wezwał policję i oddał złoczyńcę powolnym sądom, gdzie prawo nie zawsze mogłoby zwyciężyć.

Sądzę, że Kleeto wiele razy widywała taką śmierć – więc to nie zabicie Noaka tak nią wstrząsnęło, a raczej lęk o to, co mnie czeka, jeśli moja zbrodnia zostanie wykryta.

– Teraz to już po tobie – oznajmiła.

– A co innego mogłem zrobić? – dopytywałem się. – Chyba tylko pozwolić mu mnie zabić.

– Nigdy bym nie pomyślała, że dałbyś radę go zabić. Był bardzo silny.

– Cóż, stało się i już się nie odstanie. Pytanie, jak usuniemy ten dowód.

– Możemy go pogrzebać – powiedziała. – W żaden inny sposób nie da się go ukryć.

– Ale gdzie? – zapytałem.

– W waszych sypialnych pokojach. To najbezpieczniejsze miejsce.

Świeże zwłoki trudno przenieść póki nie nastąpi stężenie pośmiertne; z jakiegoś powodu wydają się ze dwa razy cięższe i ze cztery razy bardziej niewygodne do manewrowania niż za życia. Ale jakoś mi się udało przewiesić ciało Noaka przez ramię i zanieść do naszych – Zora i moich – sypialnych pokoi. Kiedy się zbliżałem z moim brzemieniem, Zor, odziany jak Jukan, akurat wychodził.

– A to co?! – wykrzyknął.

– Noak próbował mnie zabić – wyjaśniłem.

– To Noak? – zdumiał się.

– Tak – odparłem.

– David musiał go zabić – wyjaśniła Kleeto. – I uważam, że to dobrze dla nas wszystkich, że Noak nie żyje.

– Czemu go niesiesz? – zaciekawiał się Zor.

– Zamierzam go pogrzebać w naszych sypialniach.

Zor podrapał się w głowę.

– Z tego jak wygląda wynika, że martwy jest lepszym kompanem niż żywy. Wnieś go, a ja pomogę ci go pogrzebać.

W pobliżu jednej ze ścian naszej sypialnej izby wykopaliśmy wąski dół, o głębokości jakichś trzech stóp. Kleeto wzięła z kuchni jeszcze jeden nóż i

pomagała nam; ale nawet we trójkę szło nam bardzo powoli. Czubkami kamiennych noży luzowaliśmy ubitą ziemię podłogi izby, a potem rękami wybieraliśmy „urobek”. Po jakimś czasie dół był gotowy – przetoczyliśmy tam Noaka, zasypaliśmy ziemią i mocno ją ubiliśmy. Nadmiar ziemi równomiernie rozsypaliśmy na podłodze i udeptaliśmy najlepiej jak mogliśmy. Na grobie ułożyliśmy parę mat do spania; jestem przekonany, że w ciemnej izbie nic się nie wyda podejrzanemu komuś, kto by się pojawił na przeszpiegi.

– A teraz zabieramy się stąd – powiedziałem Zorowi, kiedy skończyliśmy robotę.

– Gdzie pójdziemy? – zapytał.

– Musimy spróbować wydostać się z pałacu do miasta – odparłem. – I powinniśmy to zrobić natychmiast, zanim zauważą, że Noak zniknął. Chodź z nami, Kleeto, przecież możesz wrócić do Suvi.

– Chcielibyście mnie zabrać? – zapytała ze zdumieniem.

– Jasne. Jesteś jedną z nas, nieprawdaż? Bez twojej pomocy nie mielibyśmy najmniejszej szansy.

– Boję się, że obecność kobiety tylko by wam wszystko utrudniła. Lepiej wam pójdzie we dwójkę. Może i udałoby się wam wyprowadzić mnie z pałacu, ale bardzo wątpię, żebyście ze mną przeszli przez bramy wioski.

– To się okaże – odparłem. – Tak czy owak bez ciebie nie idziemy.

– Pewnie, że nie – oznajmił Zor. – Jeśli nas zatrzymają przy bramie, to im powiemy, że jesteśmy gośćmi z innej wioski i wracamy do domu.

– Powiedzcie im, że jesteście z Gamby – poradziła Kleeto. – To najdalsza wioska. Nieliczni od nas dotarli aż do tamtej wioski, więc mało prawdopodobne, żeby mogli was sprawdzić.

No cóż, nawet się nie wydostaliśmy z pałacu. Straż nie chciała nas wypuścić bez pozwolenia Noaka, a kiedy nalegałem, zorientowałem się, że się robią podejrzliwi. Toteż powiedziałem:

– No dobrze, pójdziemy po Noaka.

Wycofaliśmy się bardzo zniechęceni, bo teraz nawet myślenie o ucieczce wydawało się bezsensowne. Przedyskutowaliśmy to i na koniec doszliśmy z Zorem do wniosku, że naszą jedyną nadzieją jest zapoznanie się z pałacem, bo może jest jakieś słabiej strzeżone wyjście. Nasz ponury nastrój rozjaśniał tylko jeden promyk nadziei. Nikt nie podejrzewał, że nie jesteśmy Jukanami.

Kleeto powiedziała, że jej zdaniem jest jeszcze jedno wyjście z pałacu, bo słyszała, że Meeza i Moko często wymykali się do miasta i była pewna, że nie korzystali z głównego wejścia.

– Myślę, że mają jakieś tajemne przejście – powiedziała.

– Spróbujemy je z Zorem znaleźć – stwierdziłem. – Zostań tutaj i jeśli znajdziemy drogę ucieczki, to po ciebie wrócimy.

Pałac króla Meezy musiał zajmować kilka akrów. Sam w sobie był wioską i jak ta zewnętrzna wioska odzwierciedlał kaprysy szalonego umysłu. Były tu wijące się, pełne zakrętów mrocznawe korytarze, które nigdzie nie prowadziły, bo kończyły się ślełą ścianą. Były czarne jak smoła pomieszczenia bez okien i wiele małych podwórców, będących właściwie izbami bez dachu. Nie mam pojęcia, jak mieszkańcy gdziekolwiek trafiali; i nie wiedziałem, jak wrócimy do Kleeto, jeśli odnajdziemy już drogę ucieczki. Powiedziałem to Zorowi; ale zapewnił mnie, że uda mu się wrócić po naszych śladach. Najwyraźniej każdy krok odciskał się w jego pamięci – bez wątplenia było to związane z jego wrodzonym zmysłem orientacji.

Kiedy tak chodziliśmy po pałacu, stale natykaliśmy się na ludzi. Ale w nikim nie budziliśmy podejrzeń, toteż staliśmy się zbyt pewni siebie i

zuchwali – i w naszych poszukiwaniach tajemnego wyjścia, które jak mieliśmy nadzieję wyprowadzi nas na wolność – pchaliśmy się tam, gdzie nie powinniśmy wściubiać nosa. W końcu zachciało się nam jeść i spać. Nie znaleźliśmy nic do jedzenia, więc postanowiliśmy się położyć i przespać. Zwinęliśmy się w kłębek w kącie mrocznej izby i zanieśliśmy modły, żeby łatwo znaleźć coś do jedzenia jak tylko się obudzimy.

Wielu z was, żyjących na górnej powłoce, boi się ciemności zapadającej z nadejściem nocy. Uważacie, że to czas łowów drapieżnych zwierząt i grasowania złoczyńców. Lecz mogę was szczerze zapewnić, że za te dwanaście z dwudziestu czterech godzin chętnie oddałbym nieustannie świecące słońce wewnętrznego świata; chętnie bym je zamienił na dającą ochronę ciemność waszych nocy. Pod osłoną ciemności moglibyśmy znaleźć wiele okazji ucieczki z wioski Meezy. Pod zbawienną osłoną mroku moglibyśmy bezpiecznie działać – nie tylko dlatego, że byłoby ciemno, ale i dlatego, że tam, gdzie noc regularnie nadchodzi po dniu, jest ona czasem snu i dlatego stosunkowo niewiele par oczu mogłoby nas wyśledzić. Lecz tam, gdzie nie ma nocy, nie ma i odrębnego czasu na sen; i przynajmniej połowa ludzi (a najprawdopodobniej dwie trzecie z nich) cały czas się kręci tu i tam. Czyli, jak sami widzicie, nasze szanse potajemnego wymknienia się były bardzo niewielkie. O tak, dużo bym dał za jedną wspaniałą, ciemną noc.

Kiedy się obudziliśmy, podjęliśmy jałowe poszukiwania sekretnego wyjścia z pałacu. Staraliśmy się to robić systematycznie, idąc korytarzami – jednym po drugim – aż do ich końca. Znaleźliśmy sektory pałacu, w których od lat nikt nie mieszkał oraz inne, tak gęsto zatłoczone Jukanami, że przechodziliśmy wśród nich niezauważeni, chronieni przez ich liczebność.

Tak jak nie było żadnego planu pałacu, zajmującego wiele akrów, tak i działania jego mieszkańców wydawały się chaotyczne. Zetknęliśmy się ze wszystkimi poziomami zaburzeń umysłowych – od nieszkodliwych półgłówków po groźnych szaleńców; od bredzących idiotów po ludzi pozornie normalnych i inteligentnych.

Pewien człowiek szaleńczo biegał, zataczając małe kółka. Inny siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, wpatrując się w punkt na ścianie parę stóp przed nim; a tuż za nim kolejny kamiennym toporem siekał kogoś na kawałki – i nawet straszliwe wrzaski ofiary nie zwróciły uwagi siedzącego. Dwaj mężczyźni i kobieta apatycznie się temu przyglądali, ale ich uwagę przyciągnął szaleniec z krzaczastą brodą, który galopował na czterech, drąc się:

– Jestem rythem!!!! Jestem rythem!!!!

Nie mieli nic przeciwko, póki nie spróbował udowodnić, że jest rythem, gryząc jednego z mężczyzn. Obaj leżeli na podłodze, gryząc się nawzajem i drapiąc, kiedy razem z Zorem przechodziliśmy przez izbę w naszych niekończących się poszukiwaniach.

Dłuższy czas nic nie jedliśmy i byliśmy wygłodzeni, aż nagle znaleźliśmy się w sporym pomieszczeniu z dużym stołem, przy którym posilało się może ze sto osób. Przy stole było kilka wolnych miejsc, więc usiedliśmy, uznając, że – jak w poprzednich dwóch przypadkach – nikt nie zwróci na nas uwagi; ale bardzo się pomyliliśmy. Przy drugim końcu stołu siedział mężczyzna w pióropuszu.

– Kim są ci dwaj mężczyźni?! – zakrzyknął, kiedy usiedliśmy. – Nigdy przedtem ich nie widziałem.

– Wiem, kim oni są! – odkrzyknął siedzący naprzeciwko nas człowiek; podniosłem wzrok i spojrzałem w szczurzą twarz Ro.

– No i kim są? – zapytał ten w pióropuszu. – I co robią przy królewskim stole?

– Nie wiem, co robią przy królewskim stole, Meezo – odparł Ro – ale wiem, kim są. Przyprawiono ich do Gofo wiele, wiele snów temu i zniknęli, kiedy zniknął Noak.

Czyli przypadkowo trafiliśmy do królewskiej jadalni; a człowiek w pióropuszu był Meezą. Z całą pewnością wyglądało na to, że powinniśmy udzielić jakichś wyjaśnień.

– Kim jesteście i co tu robicie? – zapytał Meeza.

– Jesteśmy gośćmi z Gamby – odparł Zor.

– Myślę, że kłamią – wtrącił się Ro. – Kiedy ich ostatnio widziałem wcale nie byli ubrani jak Jukani, lecz jak obcy z innej krainy.

– Jak się nazywacie? – spytał Meeza.

Chociaż o wiele lepiej nad sobą panował niż zazwyczaj Jukani, to widziałem, że zaczyna się denerwować. Są tak niestabilni psychicznie, że byle co wyprowadza ich z równowagi i nigdy nie wiadomo, co się wtedy stanie.

– Mój towarzysz ma na imię Zor – odparłem – a ja David.

– Zor – powtórzył Meeza. – To mogłoby być imię Jukana; ale David nie. Pojmajcie go i zwińcie – wskazał na mnie. – Zorze, będziesz mile widzianym gościem w pałacu Meezy, króla.

– A co z Davidem? – zapytał Zor.

– Potrzebujemy ofiary, żeby ułagodzić Ogara – odparł Meeza. – A David świetnie się nada. Zabierzcie go, ludzie.

– Ale David jest w porządku – upierał się Zor. – Jest moim przyjacielem i wiem, że jest w porządku. Nie powinienesz robić mu krzywdy, Meezo.

Meeza skoczył na równe nogi; oczy pałały mu szaleńczym gniewem.

– Śmiesz mi się sprzeciwiać?! – wrzasnął. – Powinienem nakazać, żeby ci wycięto serce!!! – ale potem przestał krzyczeć i dodał łagodniej: – Ale jesteś moim szacownym przyjacielem. Jedz i pij z nami.

Kiedy mnie stamtąd wywlekano, zobaczyłem, że wchodzi dwaj służący z wielkim kłem mastodonta, po brzegi wypełnionym jakimś płynem. Wręczyli go Meezie – napił się i przekazał kiel mężczyźnie po swojej prawej. I tak kiel zaczął krążyć wokół stołu, a mnie wreszcie wywleczono z izby.

Moja eskorta poprowadziła mnie kilkoma korytarzami i na koniec trafiłem do małej izdebki, zamykanej prymitywną bramą, mocowaną od zewnątrz drewnianymi prętami. Wepchnięto mnie do tej ciemnej celi, związano ręce na plecach i zostawiono.

Perspektywy nie były zbyt różowe. Utknąłem tutaj jako więzień, mający być ofiarą dla pogańskiego boga. Jedynym promykiem słońca, rozjaśniającym czarną przyszłość, było to, że po wariacku i byle jak związali mi ręce za plecami. Już kiedy to robili czułem, że łatwo będzie się uwolnić – i zrobiłem to wkrótce potem, jak sobie poszli. Lecz zabezpieczona prętami brama opierała się wszystkim moim wysiłkom wyważenia jej. Nadal byłem więźniem skazanym na śmierć.

ROZDZIAŁ 10

Kiedy tak leżałem w mojej ciemnej celi, zacząłem rozmyślać o tych dziwnych ludziach, w których ręce rzuciło mnie Przeznaczenie. Bez wątpienia byli szaleni, a przecież zdobyli nieco więcej atrybutów cywilizacji niż inne plemiona Pellucidaru, które poznałem. Mieszkali w wioskach, a nie w jaskiniach; zasiadali przy stołach, żeby się posilać, a nie kucali na gołej ziemi. I mieli boga, którego posągowi oddawali cześć.

Zastanawiałem się, jakież to kaprys Losu odebrał rozum całemu szczepowi i czy przyszłe pokolenia staną się jeszcze brutalniejsze, czy też ziarno szaleństwa zaniknie. A kiedy tak rozmyślałem zasnąłem i śniłem o Sari i Abnerze Perrym oraz o Dian Pięknej; a kiedy się obudziłem, żałowałem, że nie mogę tak spać i śnić przez wieczność.

Kiedy się obudziłem, byłem strasznie głodny, bo chociaż siedziałem przy królewskim stole, nie miałem okazji się posilić – tak szybko mnie wyrzucono. Ciekaw byłem, czy mi przyniosą jedzenie; lecz znając tych

ludzi uświadomiłem sobie, że mogli całkiem o mnie zapomnieć i mogę tak tu leżeć, póki nie umrę z głodu.

Szukając czegoś lepszego do roboty niż jałowe rozmyślania, postanowiłem zmierzyć krokami rozmiary mojej celi – byle tylko zająć czymś myśli. Było ciemno, więc wymacałem drogę do jednej z bocznych ścian i potem powoli ruszyłem w głąb celi, przesuając dłoń po ścianie. Zaskoczyło mnie, że to co początkowo uznałem za małą izdebkę, może być takie duże. W gruncie rzeczy okazało się wielkie. Na koniec olśniło mnie. ZAMKNEŃLI MNIE W KORYTARZU.

Przemierzyłem go w poprzek – miał ledwie parę kroków szerokości. Gdzie prowadził? Postanowiłem iść nim i przekonać się. Lecz najpierw wróciłem do ściany, od której zacząłem. Takie zabezpieczenie się było niezbędne, bo mogły się trafić korytarze odchodzące w bok, albo krzyżujące się z tym, w którym przebywałem – i mógłbym ich nie zauważyć w ciemności, gdybym stale nie sunął dłonią po tej samej ścianie.

Jak wszystkie korytarze, jakie widziałem i ten biegł najpierw w jednym kierunku, a potem w drugim. Lecz zawsze w całkowitej ciemności.

Szedłem nim jakiś czas, kiedy usłyszałem przed sobą głosy. Początkowo słabe i przytłumione, ale w miarę jak szedłem stawały się coraz wyraźniejsze. Wiedziałem, że się ku nim zbliżam. W końcu mogłem je rozróżnić. To były głosy kobiety i mężczyzny. Najwyraźniej się o coś sprzeczcali i wreszcie słyszałem co mówili.

– Jeśli pójdziesz ze mną, zaprowadzę cię do twojej krainy – mówił mężczyzna. – Jeżeli tu zostaniesz, Bruma złoży z ciebie ofiarę Ogarowi. Nawet Meeza cię nie uratuje, chociaż chciałby cię mieć dla siebie.

– Nie wierzę ci – powiedział kobiecy głos – bo wiesz, że nigdy ci się nie uda wyprowadzić mnie z miasta. Jak tylko zniknę, Bruma i Meeza każą przeszukać miasto.

– Niewiele im to da – odparł mężczyzna – bo opuścimy miasto zanim ktokolwiek się zorientuje, że zniknęliśmy. Dokładnie tutaj jest korytarz, prowadzący do jaskini w lesie za murami wioski; o tu, za tymi drzwiami.

I z tymi słowy uderzył kłykciami w drewnianą płytę tak blisko mojej głowy, że aż podskoczyłem.

A więc był to korytarz prowadzący poza pałac. Biedne szalone półgłówki zamknęły mnie w jedynym miejscu, z którego mogłem uciec. Ależ to było zabawne! Żałowałem, że nie ma ze mną Zora i Kleeto. Nie było sensu teraz po nich wracać. Po pierwsze, nie wydostałbym się z korytarza w pałacu; a gdyby nawet mi się to udało, jak miałbym dotrzeć do Zora, który był teraz honorowym gościem Meezy? Na pewno by mnie rozpoznano, gdybym się zaczął włóczyć w pobliżu pokoi króla, wypatrując przyjaciela. Nie odnalazłbym drogi do Kleeto przez pokrętne korytarze pałacu. Mimo to ciężko mi było porzucać przyjaciół; stałem więc w ciemności, starając się wymyślić, jak mógłbym przesłać wieść do Zora i Kleeto.

Kiedy tak zastanawiałem się, słyszałem mężczyznę mówiącego cicho za przegrodą do kobiety; ale nie rozróżniałem słów, póki nie podniósł głosu.

– Powtarzam ci, że cię kocham – powiedział. – I Meeza nie Meeza, Bruma nie Bruma, będziesz moja.

– Już mam towarzysza – odparła kobieta. – A gdybym nie miała, to równie chętnie byłabym z jalokiem jak z tobą.

– Porównujesz mnie z jalokiem, niewolnico! – krzyknął gniewnie mężczyzna. – Mnie, Moko, syna króla! Śmiesz mnie znieważać!

– To jaloka znieważałam – powiedziała kobieta.

– Na Ogara! – wrzasnął mężczyzna. – Teraz nikt nie będzie cię miał i nigdy nie wrócisz do Sari. Za tę obelgę umrzesz, niewolnico.

A więc to była dziewczyna z Sari. Nie czekałem, aż coś jeszcze usłyszę, tylko rzuciłem się na płytę przede mną. Trzasnęła pod moim ciężarem i wszedłem do izby, gdzie zobaczyłem dziewczynę łapach Moko, syna Meezy. Stała plecami do mnie, ale mężczyzna mnie zobaczył ponad jej ramieniem. Z oczami pałającymi szaleńczą furią starał się uwolnić rękę, w której trzymał nóż, z chwytu ewentualnej ofiary.

– Precz! – wrzasnął na mnie. – Wynoś się stąd!

– Dopiero jak z tobą skończę – odparłem i ruszyłem ku niemu z kamiennym nożem w ręce.

– Jestem Moko, królewski syn. Rozkazuję, żebyś się wyniósł. Nie posłuchasz, a umrzesz.

– To nie ja umrę – oznajmiłem i byłem przy nim.

Z wrzaskiem odepchnął dziewczynę i zaatakował mnie. O wiele lepiej się posługiwał nożem niż ja. I gdybym poległ wyłącznie na tej broni, to zginąłbym w pałacu króla Meezy. Lecz nie polegałem wyłącznie na swoim nożu i nie umarłem. Sparowałem pierwszy cios prawym przedramieniem, a lewą ręką walnąłem Moko w brodę. Upadł, ale niemal natychmiast się podniósł i znowu zaatakował; ale widziałem, że jest trochę przymulony. Szaleńczo dźgnął nożem, ale przesunąłem się w bok i chybił; a kiedy mnie mijał, wbiłem mi nóż pomiędzy żebra. Z jednym ohydny kwikiem padł na podłogę i leżał nieruchomo. Odwróciłem się ku dziewczynie i szeroko otworzyłem oczy ze zdumienia. Przez moment nie wierzyłem w to, co widzę.

– Dian! – zawołałem. – Czy to ty?!

Podbiegła do mnie, objęła za szyję.

– David! – wyszlochała.

Staliśmy tak, obejmując się i dopiero po paru minutach obydwójce odzyskaliśmy głos.

– Davidzie – powiedziała na koniec – nie mogłam uwierzyć swoim oczom, kiedy cię rozpoznałam, jak wszedłeś do izby. Byłam przekonana, że mnie nie poznasz, bo stałam plecami do ciebie. I bardzo się starałam, żeby do ciebie nie zawołać. Nie mogłam tego zrobić, bo to by cię rozproszyło, odwróciło twoją uwagę od Moko.

– Opowiedz, jak się tu znalazłaś.

– To długa historia, Davidzie – odparła. – Poczekaj, aż będziemy mieć więcej czasu. Teraz powinniśmy myśleć o wydostaniu się stąd. Moko pokazał mi drogę.

– Tak, słyszałam. Ale mam problem. Jest tu jeszcze dwoje więźniów, którym powinienem pomóc w ucieczce. Zor z Zoramu, którego pojmano razem ze mną i Kleeto z Suvi, która się z nami zaprzyjaźniła i pomogła nam zdobyć stroje Jukanów, które choć trochę zmieniły nasz wygląd.

– Musimy spróbować im pomóc – orzekła Dian. – I sądzę, że masz już jakiś plan.

– W tym cały kłopot, że nie mam żadnego.

I wytłumaczyłem jej, na jakie trudności się natknąłem.

Kiedy skończyłem, potrząsnęła głową.

– To wygląda niemal beznadziejnie, ale z przykrością bym ich porzuciła.

– Jedno na pewno musimy zrobić: wydostać się z tej izby zanim ktoś przyjdzie i znajdzie nas z ciałem Moko. Moglibyśmy pójść korytarzem i przekonać się, czy naprawdę wiedzie na wolność. Potem bylibyśmy w lepszej sytuacji do robienia planów na przyszłość.

Zanim wyszliśmy z izby najlepiej jak mogłem osadziłem wyłamane drzwi, żeby nie przyciągnęły uwagi i nie zdradziły, którądy uciekliśmy. Potem zaciągnąłem zwłoki Moko w głąb ciemnego korytarza.

– Gdyby go znaleźli w tej izbie, to stąd by zaczęli poszukiwania – powiedziałem. – I rozumie się, że gdyby wiedzieli o korytarzu, to natychmiast by wywnioskowali, że tędy uciekliśmy. Lecz jeśli go tu nie będzie, to nie będą wiedzieć, skąd zacząć.

– Masz rację – przyznała Dian. – Nikt nie wiedział, że Moko przychodzi do tej izby i nie szukaliby mnie tutaj, bo nie tu byłam więziona. Moko mnie tu przyprowadził.

Trzymając się za ręce poszliśmy z Dian ciemnym korytarzem i na koniec dotarliśmy do ciężkiej drewnianej bramy, zagradzającej dalszą drogę.

– Za nią powinna być wolność – powiedziałem i zacząłem szukać zasuw.

ROZDZIAŁ 11

Jaskinia za bramą była tuż za miastem, w zboczu wapiennego wzgórza. Przez wejście wpadało akurat tyle światła, żeby mgliście oświetlić wnętrze bezpośrednio przed nami. Nie od razu mogliśmy oszacować wielkość jaskini; ściany po jednej stronie były widoczne, lecz po naszej lewej ginęły w mroku, z którego wypływał strumyczek czystej, zimnej wody – przecinał dno jaskini i wypływał przez jej wlot.

Najbardziej martwiło mnie to, że jaskinia mogła być legowiskiem jakiegoś dzikiego zwierza; ale niczego nie usłyszeliśmy i nie było żadnej woni, która by potwierdziła moje obawy. A kiedy weszliśmy do środka, przekonaliśmy się, że nic takiego nam nie groziło, bo była tam około dwudziestostopowa stromizna, opadająca do dna zalesionego jaru. Nie zagroziłyby nam też i bardziej niebezpieczne latające gady Pellucidaru, bo las w jarze był tak gęsty, że mogłyby tam latać wyłącznie mniejsze uskrzydłone stworzenia. Drzewo, rosnące blisko klifu po jednej stronie

wejścia, ułatwiłoby nam zejście, gdybyśmy zechcieli opuścić jaskinię – co byśmy zrobili od razu, gdyby nie Zor i Kleeto.

Nie podobał mi się pomysł zostania w jaskini, bo wiedziałem, że niekiedy korzystają z tej drogi członkowie królewskiej rodziny i dlatego w każdej chwili mogliby nas wyśledzić. Nie miałem też ochoty obozować na zewnątrz jaskini – z powodu bliskości miasta.

Nie chcąc zostawiać Dian w jaskini zabrałem ją ze sobą i zszedłem po drzewie na ziemię; stamtąd zobaczyliśmy, że w urwisku było wiele jaskiń. Zbadałem kilka z nich i na koniec znalazłem taką, której wejście łatwo było zabarykadować. Była niewielka i sucha; nanosiliśmy liści i trawy, którymi przykryliśmy dno i mieliśmy wygodny dom, o którym mógłby marzyć każdy Pellucidarianin. Nazrywałem z drzew owoców i orzechów, a Dian wykopała z ziemi bulwy – i mając już co jeść wróciliśmy do jaskini wypocząć i ułożyć plan.

To była pierwsza chwila wytchnienia we względnym bezpieczeństwie od kiedy odnalazłem Dian; wykorzystałem to i poprosiłem Dian, żeby mi opowiedziała, jak została uwięziona w wiosce Meezy.

Powiedziała, że kiedy moi wojownicy wrócili do Sari, zameldowali, że zginąłem w bitwie z wojowniczkami. W tym czasie był w Sari Do-gad, bratanek króla Suvi; kiedy usłyszał, że nie żyję, natychmiast zaczął ją zadręczać, żeby została jego partnerką. Przytłoczona żałobą i pełna odrazy do Do-gada, była dla niego bardzo szorstka i rozkazała mu opuścić Sari. A kiedy dalej tam przebywał, planując ją zdobyć, skłoniła króla Ghaka, żeby go odesłał. Uszedł z życiem tylko dlatego, że był bratankiem króla Suvi.

Pomimo tego, co jej powiedziano, Dian nie uwierzyła w moja śmierć i zorganizowała ekspedycję, mającą mnie odszukać.

Droga, którą musiała pójść wyprawa, wiodła przez krainę Suvian – i tam, ku zdziwieniu Dian, zostali wrogo przyjęci przez króla Suvi, którego

bratanek, Do-gad, poszczuł na Sarian. Ich obóz otoczyli i zaatakowali wojownicy, znacznie przewyższający ich liczebnością. Pokonali oddziałek Dian; ujęli ją i zaprowadzili do króla.

– Żałuję, że jesteś kobietą – powiedział. – Gdybyś była mężczyzną, to wiedziałbym, jak cię potraktować, bo twoja zniewaga zasługuje na śmierć.

– Jaka zniewaga? – zapytała Dian.

– Bez żadnego powodu kazałaś wydalić z Sari mojego bratanka, Do-gada.

– Tak powiedział?

– Tak – odparł król. – I powiedział też, że ledwo uszedł z życiem.

– Powiedział ci, dlaczego został wydalony z Sari? – spytała Dian.

– Bo jest Suvianem – odrzekł król.

– To nieprawda – stwierdziła Dian. – Usłyszał, że mój mążonek nie żyje i nagabywał mnie, żebym została jego partnerką. Odmówiłam, ale nadal mi się naprzykrzał. To wtedy mu powiedziałam, żeby opuścił Sari. Gdyby to zrobił od razu, wszystko by było w porządku. Ale uporczywie tam tkwił i wciąż mnie nachodził. Toteż musiałam poprosić Ghaka, żeby go odesłał. Ghak był wściekły, więc Do-gad naprawdę miał szczęście, że uszedł z życiem.

– Jeżeli powiedziałaś prawdę, to ukarać należy Do-gada, a nie ciebie – stwierdził król.

– Powiedziałam prawdę – odparła Dian. – I powinienes to wiedzieć, bo głupotą jest twierdzenie Do-gada, że wypędzono go z Sari, bo jest Suvianem. Suvianie i Sarianie są w przyjaznych stosunkach od powstania Imperium Pellucidaru. Jak wiesz, wielu Suvian zjawiało się w Sari i byli traktowani po królewsku. Nie jesteśmy takimi głupcami, żeby bezsensownie wzbudzać wrogość w sojuszniku, zawsze będącym najsilniejszą podporą imperium.

Król skinął głową.

– Rozsądnie mówisz i teraz mam pewność, że powiedziałaś prawdę. Wybacz, że moi wojownicy zaatakowali twój obóz i cię pojмали. Możesz odejść lub zostać, wedle woli. Lecz powiedz, dlaczego przybyłaś do Suvi?

– Nigdy nie uwierzyłam w pogłoski, że David, imperator Pellucidaru, nie żyje. Wraz z moimi wojownikami wyruszyłam na poszukiwania.

– Dam ci wojowników, którzy zastąpią tych zabitych i możesz ruszyć w drogę – oznajmił król.

– Za późno – odparła Dian. – Tylko dwóch mężczyzn mogłoby nas doprowadzić tam, gdzie ostatnio widziano Davida i obaj zginęli. Muszę wrócić do Sari i znaleźć nowych przewodników.

– A więc dostaniesz eskortę do Sari – stwierdził król.

Kiedy Do-gad usłyszał, co się stało i że zostanie ukarany, uciekł z wioski z dwudziestoma poplecznikami. Poszli szlakiem ku Sari, a potem zaczęli się na Dian i jej eskortę.

Tamci, nie spodziewając się zagrożenia, weszli w zasadzkę. Kiedy Dian zobaczyła, co się stało i że ludzi Do-gada jest więcej niż jej wojowników oraz że przeciwnicy niemal na pewno zwyciężą, uciekła podczas potyczki.

Ponieważ Do-gad i jego ludzie byli pomiędzy nią a Sari, postanowiła ich obejść.

Pellucidar to dziki świat, w którym samotna kobieta jest zupełnie bezbronna. Kolejne zagrożenia coraz bardziej oddalały ją od Sari. Ilekroć chciała zawrócić, coś stawało jej na przeszkodzie. Na koniec się zorientowała, że Do-gad wciąż był na jej tropie i myślała tylko o tym, żeby mu uciec. Nie miała pojęcia, jak długo i jak daleko wędrowała. To cud, że uniknęła tylu niebezpieczeństw. Lecz w końcu wpadła w ręce Jukanów i kiedy los mnie do niej doprowadził dawno porzuciła nadzieję ucieczki. Ale teraz znowu byliśmy razem i to, przez co przeszliśmy, wydawało się

niczym w porównaniu z ogromną radością odnowienia związku, który uważaliśmy za na zawsze utracony.

Dian przekazała mi wieści o przyjaciółch w Sari oraz – najlepsze – że Sfederowane Królestwa Pellucidaru wciąż były lojalne wobec Imperium. Kiedy wcześniej długo mnie nie było Federacja zaczęła się rozpadać; lecz teraz się wydawało, że to zagrożenie należy do przeszłości. Musieliśmy ułożyć plan, jak uciec z Zorem i Kleeto.

Kolejny raz zacząłem robić broń; tym razem dwa łuki i zapas strzał oraz dwie krótkie dzidy. Tym orężem Dian biegle się posługiwała; i nie wątpiłem, że obydwójce przedostalibyśmy się do Sari jak tylko zostawilibyśmy za sobą Dolinę Jukanów. Szkoda, że musieliśmy zmarnować tę szansę z powodu Zora i Kleeto, ale nie mogliśmy inaczej postąpić. Dlatego, pracując nad bronią, głowiłem się też nad sensownym planem, jak wyprowadzić Zora i Kleeto z wioski.

ROZDZIAŁ 12

Do czasu, aż wykonałem broń, miałem już gotowy plan uwolnienia Zora i Kleeto; miałem nadzieję, że się okaże skuteczny, chociaż wiązało się z nim spore ryzyko. Najgorsze było to, że musiałbym zostawić Dian w jaskini samą i bez ochrony, kiedy pójde do miasta. Wcale mi się to nie podobało; jej też, bo ryzykowałem, że mnie złapią. Lecz wydawało się, że nie ma innej możliwości i postanowiłem natychmiast działać.

Miażdżąc rozmaite orzechy uzyskaliśmy brązowy barwnik i Dian delikatnie wyrysowała mi na twarzy zmarszczki i bruzdy, żebym inaczej wyglądał. Kiedy skończyła, powiedziała, że z trudem by mnie rozpoznała, tak bardzo mnie ten „makijaż” odmienił.

- Chciałabym, żeby już było po wszystkim i żebyś znowu był ze mną. Do twojego powrotu będę się bać o twoje bezpieczeństwo.
- Kiedy się prześpisz trzy razy, a ja nie wrócę, to ruszaj do Sari.
- Jeśli nie wrócisz, to nie będzie miało znaczenia gdzie pójde.

Pocałowałem ją na pożegnanie, zabarykadowałem wejście do jaskini i zamaskowałem je chrustem i trawą, po czym ruszyłem ku wiosce. W jaskini było sporo jedzenia i przed odejściem zaniósłem tam kilka tykw wody, toteż wiedziałem, że ma jedzenia i picia na dłużej niż trzy sny; byłem też przekonany, że jaskinia jest wystarczająco dobrze zabarykadowana i ukryta, żeby Dian nie groziło, iż znajdą ją ludzie lub zwierzęta.

Dotarłem do bramy wioski, gdzie zatrzymała mnie straż, składająca się z tuzina szaleńców o błędnych oczach.

– Kim jesteś? – zapytał jeden z nich. – Czego tutaj chcesz?

– Jestem z Gamba. Przychodzę z wizytą do mojego przyjaciela Zora, który jest w odwiedzinach u króla Meezy.

Przez chwilę naradzali się szeptem i w końcu ten, który się pierwszy do mnie odezwał, zapytał:

– Skąd mamy wiedzieć, że jesteś z Gamba?

– Bo jestem przyjacielem Zora, a on jest z Gamba.

– To brzmi sensownie – odezwał się któryś. – Jak się nazywasz?

– Innes – odparłem, podając mu swoje nazwisko.

– In-ess – powtórzył. – To dziwne imię; musisz być z Gamba.

Pozostali mądrze pokiwali głowami.

– Nie ma co do tego wątpliwości – powiedział kolejny. – Jest z Gamba.

– Nie podoba mi się to – odezwał się trzeci. – Nie ma dzidy. Żaden człowiek nie mógłby bezpiecznie podróżować z Gamba zbrojny tylko w nóż.

Najwyraźniej gościu miał więcej rozumu od kolegów, bo jego zarzut był sensowny i trafiał w sedno.

– To prawda – powiedział ten pierwszy. – Nie masz dzidy, a więc nie możesz być z Gamba.

– Mówię wam, że jest z Gamba! – krzyknął inny.

– To gdzie jego dzida? – zapytał śmiało ten bystrzak.

– Zgubiłem ją na równinach, zanim wszedłem do lasu – wyjaśniłem. – Byłem głodny i chętnie bym coś zjadł. Ale kiedy cisnąłem dzidą w antylopę, zawróciła i uciekła z nią. To właśnie, moi wspaniali przyjaciele, stało się z moją dzidą. Wpuśćcie mnie, bo Meeza się rozgniewa.

– Cóż – stwierdził dowódca straży przy bramie – uważam, że jesteś w porządku. Cały czas tak myślałem. Możesz wejść do wioski. Gdzie chcesz pójść?

– Chcę pójść do pałacu króla Meezy – odparłem.

– Czemu chcesz tam iść? – zapytał.

– Bo tam jest mój przyjaciel, Zor.

Wtedy bystrzakowi coś przyszło do głowy.

– Skąd wiesz, że tam jest, skoro przyszedłeś z Gamby? – zapytał.

– Tak – przyłączyli się chórem pozostali – skąd wiesz, że tu jest?

– Nie wiem, czy tu jest, ale...

– Aaaa. Przyznaje, że nie wie. Zjawił się w jakimś złym celu i należy go zabić.

– Chwila! – zawołałem. – Nie pozwoliliście mi skończyć. Powiedziałem, że nie wiedziałem, iż tu jest, ale wiem, że przyszedł odwiedzić Meezę. Dlatego uznałem, że jest w pałacu Meezy.

– Wspaniałe rozumowanie – rzekł dowódca. – Możesz wejść.

– Poślij kogoś ze mną do pałacu – powiedziałem do dowódcy. – Żeby wiedzieli, że jestem w porządku i wpuścili mnie, bym się zobaczył z moim przyjacielem Zorem.

Ku mojej irytacji wyznaczył tego podejrzliwego i obaj ruszyliśmy wąskimi przejściami w stronę pałacu. Widoki w świrniętym mieście były

takie same jak wtedy, kiedy się pierwszy raz tu zjawilem – niesłychanie zbzikowane, groteskowe lub wynaturzone, zależnie od nastroju danej osoby. Na placu przed pałacem kapłani wciąż robili fikołki wokół Ogara, boga Jukanów.

Mój przewodnik dalej mnie podejrzewał i nie zawahał się mi o tym powiedzieć.

– Uważam, że jesteś oszustem i kłamcą – oznajmił. – I nie wierzę ani w to, że jesteś z Gamby, ani w to, że masz przyjaciela imieniem Zor.

– Bardzo dziwne, że tak myślisz – powiedziałem.

– Dlaczego?

– Bo jesteś zdecydowanie najinteligentniejszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałem i dlatego powinieneś wiedzieć, że mówię prawdę.

Widziałem, że mu to pochlebilo, bo się napuszył i dumnie kroczył zanim mi odpowiedział:

– Jasne, że jestem inteligentny; ale ty jesteś bardzo głupi. Gdybyś nie był, to byś wiedział, że cały czas żartowałem. Rozumie się, że od początku wiedziałem, iż jesteś z Gamby.

– Jesteś bardzo zabawnym facetem. Masz wspaniałe poczucie humoru. Teraz jestem pewny, że bez trudu wejdę do pałacu i znajdę mojego przyjaciela, skoro ktoś tak wysoko postawiony i inteligentny jak ty zaprzyjaźnił się ze mną.

– Nie będziesz miał żadnych kłopotów – zapewnił mnie – bo sam cię wprowadzę do pałacu i to wprost do komnat króla.

I dotrzymał słowa. Był bardziej znany i ważniejszy, niż mi się wydawało, bo straż pałacowa natychmiast nas wpuściła i ponownie wszedłem do pomieszczenia, w którym Gofo przyjął Zora i mnie. Był tam nowy majordomus, ale nie zwrócił na nas uwagi. Chyba był hipochondrykiem, bo siedział na podłodze i obficie zalewał się łzami. Jedną

z zasad pałacu było, że majordomus przepytывał każdego, kto wchodził. Nie mogliśmy iść dalej bez jego pozwolenia.

– Nie można mi zawracać głowy – rzekł majordomus, którego mój przewodnik poprosił, żeby nam pozwolił wejść. – Jestem bardzo chorym człowiekiem; bardzo, bardzo chorym.

– Co ci jest? – zapytałem.

– Nic i w tym cały kłopot – odrzekł. – I to mnie dręczy.

– Istotnie jesteś w fatalnym stanie – stwierdziłem.

Popatrzył na mnie z ożywieniem.

– Naprawdę tak uważasz? – zapytał.

– Nie ma co do tego wątpliwości – zapewniłem go.

– Mówiłeś, że gdzie chcesz iść? – zainteresował się.

– Przyszedłem odwiedzić przyjaciela, Zora, który jest gościem króla Meezy.

– No to na co czekasz? – zapytał gniewnie. – Wynoś się i zostaw mnie w spokoju.

Na te słowa razem z moim przewodnikiem wyszliśmy z pomieszczenia.

– Czasem myślę, że jest szalony – powiedział mój przewodnik. – Większość ludzi ma bzika.

– Zastanawiałem się, czy i on go nie ma – odparłem.

Kiedy mijaliśmy kuchnię, w której pracowała Kleeto, natknęliśmy się w korytarzu na dziewczynę. Popatrzyła wprost na mnie, a nic nie świadczyło, że mnie rozpoznaje. Ciekaw byłem, czy to moje przebranie jest aż tak dobre, czy Kleeto była zbyt bystra, żeby okazać, iż mnie poznaje.

W miarę jak wchodziliśmy w głąb pałacu, mój przewodnik coraz bardziej zwalniał kroku. Coś go niepokoiło i w końcu się okazało, co.

– Może dalej już idź sam – powiedział.

– Nie wiem, gdzie iść – odparłem. – Czemu nie możesz iść ze mną?

– W pałacu działo się wiele dziwnych rzeczy – wyjaśnił – i Meeza może się nie ucieszyć na widok obcego.

– Co się stało? – zapytałem.

– Po pierwsze zniknął Moko, syn króla oraz piękna Sarianka, którą miano złożyć w ofierze Ogarowi. Zniknął też więzień David. Związano mu ręce na plecach i zamknięto w celi. On też miał być złożony w ofierze Ogarowi. Ale kiedy weszli po niego do celi, okazało się, że zniknął.

– Jakie to dziwne! – wykrzyknąłem. – Domyślają się, co się stało z nim, z Moko lub piękną dziewczyną z Sari?

– Nie mają zielonego pojęcia, ale Bruma się dowie, co się z nimi stało, jak tylko znajdzie nową ofiarę dla Ogara. Wtedy Ogar mu powie.

– Nie sądzę, żeby Bruma miał trudności ze znalezieniem ofiary – stwierdziłem.

– Musi znaleźć kogoś wyjątkowego – wyjaśnił mój przewodnik. – To powinien być człowiek, który nie jest Jukanem, lub może być Jukanem z innej wioski.

Potem nagle się odwrócił i dziwnie na mnie popatrzył. Nie musiałem pytać, żeby wiedzieć, co ma na myśli.

ROZDZIAŁ 13

Kiedy się zbliżaliśmy do pokoi Meezy, nie byłem w najlepszym nastroju. Pewnie musiałem się czuć jak skazaniec, mający nadzieję, że wyższa instancja nakaze nowy proces lub że gubernator go ułaskawi. Miałem takie same szanse, jak on. Spojrzenia, jakie rzucał mi towarzysz, chyba przypieczętowały mój los, bo jeśli coś takiego przyszło mu do głowy, to z pewnością przyjdzie też Brumie, szukającemu kogoś na ofiarę. Popatrywał na mnie z tym zabawnym, błędnym wyrazem oczu i na koniec powiedział:

– Myślę, że spodobałbyś się Ogarowi.

– Mam nadzieję – odpowiedziałem.

– Przed nami są komnaty Meezy – rzekł. – Może znajdziemy tam Brumę.

– Dzięki, że mnie tu przyprowadziłeś – powiedziałem. – Skoro uważasz, że mógłbyś wpaść w kłopoty, bo przyprowadziłeś obcego do pokoi króla, to możesz mnie tu zostawić, sam trafię.

– O nie – on na to. – Będę ci towarzyszył aż do końca, bo jestem pewien, że serdecznie cię powitają i pochwalą mnie za to, że cię sprowadziłem.

Weszliśmy do dużego pomieszczenia, w którym było dużo ludzi. W głębi znajdowało się podwyższenie, na którym siedział Meeza. Po obu stronach króla stało z dziesięciu, dwunastu krzepkich wojowników, mających go chronić w razie gdyby któryś z jego poddanych nagle wpadł w morderczy szal. Chociaż Meeza nie miał korony, a pióropusz, to jestem pewien, że nie tylko był niespokojny, ale i niezwykle łatwo mógł stracić głowę.

Pośrodku pokoju stał mężczyzna z groteskowo ułożonymi rękami; rysy twarzy wykrzywiały mu wyraz szatańskiej złośliwości. Mój przewodnik wskazał go kiwnięciem głową i mrugnięciem, dźgając mnie łokciem w żebra.

– To wariat – powiedział. – Myśli, że jest bratem Ogara.

– A nie jest? – zapytałem.

– Nie bądź głupi – prychnął mój przewodnik. – To wariat. Ja jestem bratem Ogara.

– Oooo – ja na to. – Faktycznie jest szalony.

Tamten mężczyzna wyglądał zdumiewająco – stał zupełnie sztywno, żaden mięsień mu nie drgnął, oczy patrzyły na wprost. Podbiegł jakiś człowiek i zaczął robić wokół niego fikołki. Mój przewodnik znowu mnie szturchnął.

– Ten też jest szalony – powiedział.

Nikt nie zwracał uwagi ani na dżentelmena z manią wielkości, ani na okrążającego go osobnika. Kiedy się im przyglądałem, nie mogłem się powstrzymać od myśli, jak blisko granicy szaleństwa muszą być tak zwani wielcy ludzie z zewnętrznego świata, bo z pewnością wielu z nich cierpi na

manię wielkości; i bez wątpienia i ty mógłbyś wymienić kilku ze swoich czasów, uwielbiających przybierać pozy.

– Aaaa – powiedział mój przewodnik. – Oto i Bruma.

Nagle ogromnie się podekscytował. Chwycił mnie za ramię i pociągnął ku tłustemu, obslizgłemu osobnikowi w pióropuszu równie wielkim jak ten Meezy, tyle że z czarnych a nie białych piór.

W miarę jak się zbliżaliśmy do Brumy mój przewodnik stawał się coraz bardziej nabuzowany. Łamałem sobie głowę, starając się wymyślić jakiś plan wyplątania się z tego – lecz sprawy wyglądały dla mnie fatalnie, bo nie widziałem najmniejszej szansy ucieczki. Przewodnik, trzęsąc się z podniecenia, dowlókl mnie do Brumy.

– Oto, Brumo, jest...! – zakrzyknął.

I na tym skończył. Nagle zeszywniał, oczy uciekły mu w głąb głowy i padł na podłogę u stóp Brumy, dygocząc w ataku epilepsji. Leżał tak, spazmatycznie drgając i tocząc z ust pianę, a Bruma popatrzył na mnie pytająco.

– Czego chciał? – zainteresował się.

– Właśnie miał powiedzieć: „*oto mój dobry przyjaciel, szukający człowieka imieniem Zor*” – odparłem.

– A kim ty jesteś? – dociekał.

– Jestem Napoleon Bonaparte – odpowiedziałem.

Bruma potrząsnął głową.

– Nigdy o tobie nie słyzałem. Zor siedzi tam, w pobliżu króla; ale dalej uważam, że byłby dobrą ofiarą dla Ogara.

– A Meeza tak nie myśli?

– Nie – odparł z emfazą Bruma; potem pochylił się ku mnie i szepnął: – Meeza to wariat.

Mój przewodnik dalej się trząsał w ataku, na szczęście dla mnie, bo dzięki temu zyskałem czas, by odnaleźć Zora i wynieść się stamtąd, zanim odzyska przytomność. Zostawiłem więc Brumę i ruszyłem ku tronowi.

Raz dwa znalazłem Zora, a chociaż stałem tuż przed nim nie rozpoznał mnie. W pobliżu stali ludzie, z którymi rozmawiał, toteż nie ośmieliłem się ujawnić. W końcu dotknąłem jego ramienia.

– Pozwól na chwilę – powiedziałem. – Jest tam twój przyjaciel i chce się z tobą zobaczyć.

– Jaki przyjaciel? – zapytał.

– Ten, z którym pracowałeś w ogródku Gluck.

– Chcesz mnie podejść. Tamten człowiek zniknął; chyba, że go znowu złapali. Z pewnością nie byłby taki głupi, żeby wracać tu z własnej woli.

– Jest tutaj – szepnąłem. – Chodź ze mną, Zorze.

Wahał się. Cóż mogłem zrobić? Wiedziałem, że był podejrzliwy wobec tych wszystkich ludzi i mógł uważać, że to podstęp mający go wywabić gdzieś w ustronne miejsce i tam zamordować. Jukani już tacy są. Nie mogłem się jednak ujawnić, kiedy tak wiele osób było tak blisko, że usłyszałyby nawet szept. Obejrzałem się na mojego przewodnika. Nikt nie zwracał na niego uwagi, ale wyglądało na to, że wraca już do przytomności. Wiedziałem, że teraz muszę szybko coś zrobić, zanim całkiem odzyska świadomość. Kiedy oderwałem wzrok od leżącego, zobaczyłem, że Bruma się we mnie wpatruje i rusza ku mnie; odwróciłem się ku Zorowi.

– Musisz iść ze mną – oznajmiłem. – I powinieneś wiedzieć, że mówię prawdę, bo skąd bym wiedział o ogródku Gluck?

– To prawda – stwierdził Zor. – Nie pomyślałem o tym. Gdzie mam iść?

– Po Kleeto – szepnąłem.

Uważnie mi się wtedy przyjrzał i odrobinę szerzej otworzył oczy.

– Ale ze mnie głupek – powiedział. – Chodź.

Nie mogłem jednak iść, bo stanął przede mną Bruma.

– Skąd jest ten Napolapart? – zapytał Zora, a ten się zdumiał. – Twój przyjaciel Napolapart – dociekał Bruma.

– Nigdy nie słyszałem o kimś, kto się tak nazywa – powiedział Zor.

– Aaaa, oszust – Bruma spojrzał na mnie gniewnie. – Ten człowiek, Napolapart, powiedział, że jest twoim przyjacielem.

– Źle zrozumiałeś, Brumo – wtrąciłem się. – Powiedziałem, że się nazywam Napoleon Bonaparte.

– O – Zor na to. – Jasne, że bardzo dobrze znam Napoleona Bonaparte. To mój stary przyjaciel.

– Jego twarz wygląda bardzo znajomo – powiedział Bruma. – I ja musiałem go znać. Gdzie cię poznałem, Napolaparcie?

– Nigdy wcześniej tu nie byłem.

– No to skąd jesteś?

– Z Gamby.

– Wspaniale! – zakrzyknął Bruma. – Właśnie kogoś takiego szukam na ofiarę dla Ogara!

Ale się porobiło. Postawiło też pod znakiem zapytania mój plan, który już już miał się udać. Cóż mogłem zrobić? Słyszałem, że szaleńców można ułagodzić; ale jak mógłbym ułagodzić Brumę?

ROZDZIAŁ 14

Nie jestem skłonny do panikowania; lecz sytuacja, w jakiej się znalazłem, w o wiele większym stopniu groziła wywołaniem tej emocji niż jakakolwiek inna, w jakiej bywałem w tym brutalnym świecie.

Oto byłem w pałacu, z którego nie potrafiłbym się wydostać bez przewodnika, otoczony szaleńcami, z których każdy był potencjalnym wrogiem; lecz najbardziej przerażające było to, że Dian najprawdopodobniej by zginęła, gdybym do niej nie wrócił. Wyrzucałem sobie, że naraziłem jej bezpieczeństwo dla dwójki, wobec której byłem lojalny jedynie z poczucia przyzwoitości i człowieczeństwa. W tej chwili poświęciłbym obydwójce bez wahania, gdybym dzięki temu mógł powrócić do Dian. Uświadomiłem sobie, że przeceniłem swój fart i spryt. Ten pierwszy chyba mnie opuścił, a ten drugi lada chwila zostanie pobity przez spryt szaleńców. W końcu postanowiłem się z tego wyłgać. Wiedziałem, że Zor stanie po mojej stronie, jeśli dojdzie do bitki. Wiedziałem też, że jeżeli

spróbujemy wywalczyć sobie drogę z pałacu, to nie można przewidzieć, jak zareagują Jukanie. Dobyłem noża i spojrzałem Brumie prosto w oczy.

– Nie złożysz mnie w ofierze Ogarowi – powiedziałem głośno, co przyciągnęło uwagę wszystkich wokół nas, w tym króla Meezy.

– Czemu? – zapytał Bruma.

– Bo jestem gościem Meezy i proszę go o ochronę.

– Kim jest ten człowiek?! – wykrzyknął Meeza.

– Nazywa się Napolapart – odparł Bruma. – I przybywa z Gamby. Jeśli złożę go w ofierze Ogarowi, to Ogar nam powie, co się stało z Moko, twoim synem.

Wtedy patrzyłem na Brumę, nie na Meezę i słuchałem kapłana. Za tłumnie zgromadzonymi widziałem wejście do sali tronowej. Niemal wszyscy – oprócz tych na podwyższeniu, na którym siedział Meeza – stali tyłem do wejścia. Zaś ci na podwyższeniu całą uwagę skupiali na Brumie i na mnie. Toteż ja jeden zauważyłem wymizerowaną postać, chwiejnie wyłaniającą się z korytarza i opierającą się o ościeżnicę.

– Czy Ogar nam powie, gdzie jest Moko, jeżeli złożysz mu tę ofiarę? – zapytał Meeza Brumy.

– Powie nam, jeżeli ofiara go zadowoli – odparł arcykapłan. – Jeżeli Ogar jej nie przyjmie, to trzeba będzie szukać kolejnej.

Spojrzałem na Meezę.

– Nie potrzebujesz Ogara, żeby się dowiedzieć, gdzie jest Moko – oznajmiłem. – Ja ci to powiem. Pozwolisz odejść mnie i Zorowi, jeśli ci to powiem?

– Tak – rzekł król.

Odwróciłem się i wskazałem ku drzwiom.

– Tam jest Moko – powiedziałem.

Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę i zobaczyli, jak Moko chwiejnie wchodzi do pomieszczenia. Wyglądał jak trup chwilowo obdarzony umiejętnością poruszania się. Tułów i kończyny miał przeraźliwie chude; cały był oblepiony krwią, która skrzepła i zaskorupiała, a przedtem lała się z teraz częściowo zasklepionej rany pod sercem.

Czyli jednak nie zabiłem Moko i przez ironię losu powrócił, żeby mnie ocalić. Patrzyłem, jak człapie ku tronowi Meezy i – wyczerpany – osuwa się tam na podłogę.

– Gdzie byłeś? – zapytał król; nic w jego głosie nie świadczyło o współczuciu czy ojcowskiej czułości.

Moko, słaby i z trudem łapiący oddech, odpowiedział szeptem:

– Próbowałem mnie zabić. Kiedy odzyskałem przytomność, byłem w ciemnościach, bo zaciągnął mnie do korytarza, o którym wiedzą jedynie król i jego syn. Zniknął, a razem z nim dziewczyna z Sari.

– Kto to był? – spytał Meeza.

– Nie wiem – odrzekł Moko.

– To musiał być ten David, który uciekł z celi, w której go zamknięto – zasugerował Bruma.

– Znajdziemy ich – oznajmił Meeza. – Wyślijcie wojowników, żeby ich poszukali w lesie i przeszukajcie wielką jaskinię w Królewskim Wąwozie.

Wojownicy natychmiast ruszyli ku drzwiom, a my z Zorem się do nich przyłączyliśmy. Nie sądzę, że Bruma widział, że odchodzimy, bo całą uwagę poświęcał Moko, nad którym odprawiał jakieś inkantacje w dziwnym żargonie – bez wątpienia były to jakieś uzdrawiające zaśpiewy.

– Co zrobimy? – spytał Zor.

– Musimy odnaleźć Kleeto – odrzekłem. – I potem spróbować wyjść z wioski razem z wojownikami, udając, że idziemy szukać Davida.

– Nie wyprowadzisz kobiety z wioski – Zor na to. – Nie pamiętasz, co Kleeto nam mówiła?

– Fakt, zapomniałem; ale mam inny sposób.

– To znaczy?

– Korytarz, którym przedtem uciekłem. Kłopot w tym, że prowadzi do dużej jaskini, którą mają przeszukać.

– Co się stało z dziewczyną z Sari?

– Zabrałem ją ze sobą i ukryłem w innej jaskini, w pobliżu tej dużej.

– I ma się rozumieć zabierzesz ją z nami?

– Z całą pewnością. Kiedy ją zobaczyłem z Moko, dokonałem zdumiewającego odkrycia.

– A jakiegoż to?

– Że dziewczyna z Sari to moja żona, Dian Piękna.

– Czyli to szczęśliwy los sprawił, że Jukanie cię pojмали.

Znaleźliśmy Kleeto w kuchni majordomusa. Nasz widok zdumiał ją i ucieszył; ale początkowo nie mogła uwierzyć, że to ja, tak bardzo makijaż Dian mnie odmienił. Nie rozpoznała mnie, przewodnika i mnie spotkała w korytarzu, ale pamiętała, że nas widziała.

Omówiliśmy sprawę i postanowiliśmy pójść korytarzem aż do tylnego wejścia do jaskini. Tam poczekamy, aż Jukanie zakończą poszukiwania i pójdą sobie. Byliśmy prawie pewni, że nie będą przeszukiwać korytarza; lecz gdyby jednak tak się stało, to po prostu musielibyśmy się trzymać przed nimi, żeby nas nie wysłędzili, nawet gdybyśmy musieli się cofnąć aż do wejścia.

Pojawił się nowy problem. Nikt z nas nie wiedział, jak dojść do wejścia do korytarza. Ani Zor, ani Kleeto nigdy tam nie byli, a ja nie potrafiłem tam dotrzeć po moich śladach, chociaż od tego zależało życie Dian i moje.

– Czyli musimy spróbować przejść przez miasto – orzekł Zor.

– No to idźcie – powiedziała Kleeto. – Jestem pewna, że nie pozwoliliby mi przejść.

– Musi być jakiś inny sposób – stwierdził Zor.

– I jest – powiedziałem. – My obaj wyjdziemy z wioski szukać Davida. Kiedy Jukanie zakończą poszukiwania w Królewskim Wąwozie wejdziemy do jaskini i wrócimy po Kleeto; bo kiedy odnajdziesz drogę od korytarza do tych tu pokoi, z łatwością wrócisz po swoich śladach, czego ja nie potrafię.

– To dobry plan – stwierdził Zor. – Ale nie będziesz musiał zostawiać swojej pani i wracać ze mną, bo moim zadaniem będzie tylko wyprowadzenie Kleeto z pałacu, a do tego nie trzeba dwóch mężczyzn.

– Racja – Kleeto na to – ale nie chcę, żebyście dla mnie ryzykowali życiem. I tak nigdy się nie spodziewałam, że ucieknę, więc możecie iść sami.

– David już zaryzykował życie swoje i swojej żony, wracając po nas – powiedział Zor. – Powinniśmy cię ze sobą zabrać, o ile to możliwe.

Zostawiliśmy Kleeto i wyszliśmy do miasta; znaleźliśmy się przy zewnętrznej bramie. Wojownicy wciąż wychodzili, żeby mnie szukać, więc bez trudu opuściliśmy miasto.

W Królewskim Wąwozie było pełno przeszukujących go wojowników, więc dołączyliśmy do nich, żeby być blisko Dian i dowiedzieć się, czy ją znajdują.

– Jeśli tak, to będziemy musieli walczyć – powiedziałem. – Bo nie pozwolę, żeby ją żywcem znowu zabrali do miasta.

Wmieszałem się pomiędzy wojowników, udając, że poluję i zbliżyłem się do jaskini, w której ukrywała się Dian. Zapora dalej stała, zasłonięta chrustem. Nic nie było naruszone. W jaskini, mniej niż dziesięć stóp ode mnie, była kobieta, którą kochałem, jedyna kobieta, jaką kiedykolwiek

kochałem; jedyna kobieta, jaką w ogóle mogłem kochać. Bez wątpienia tak samo bała się o moje bezpieczeństwo, jak ja o jej. Nie ośmieliłem się jednak zawołać, dając znak, że jestem tutaj, blisko niej i bezpieczny, bo wszędzie wokół byli Jukanie.

Zobaczyłem, że kilku z nich schodzi z większej jaskini i wiedziałem, że już tam sprawdzili i Zor będzie mógł bezpiecznie tam wejść, jak tylko wojownicy opuszczą wąwóz i dotrzeć korytarzem w głąb pałacu.

Może i nie ma w Pellucidarze czasu, ale myślę, że minęła cała wieczność, zanim Jukanie zrezygnowali z poszukiwań w wąwozie i sobie poszli. Mnie i Zorowi udało się niepostrzeżenie ukryć tak, że nikt nie zauważył, iż zostaliśmy.

– Teraz możesz spróbować dotrzeć do Kleeto i przyprowadzić ją tutaj – powiedziałem Zorowi. – Wejście do korytarza jest dokładnie naprzeciwko wlotu jaskini. Kiedy wejdiesz do korytarza nie odrywaj lewej dłoni od ściany, a pójdziesz po moich śladach przez pałac i korytarz... – zamilkłem, przerażony, bo nagle mi się przypomniało.

– Co się stało? – zapytał Zor, widząc moje wzburzenie.

– Co za głupiec ze mnie, że zapomniałem! – wykrzyknąłem.

– O czym ty mówisz? – zapytał.

– Nie przejdiesz przez furkę na drugim końcu korytarza. To za nią mnie uwięziono i za nic nie mogłem jej wyważyć.

– Nie ma innej drogi? – zapytał.

– Jest, ale nie wiem, jak ją znajdziesz. Z korytarza jest wejście do izby, w której znalazłem Moko i Dian. Może je wyczujesz i rozpoznasz, kiedy tam dotrzesz; ale jak sobie przypominam, wygląda na część drewnianej ściany, wytyczającej większość korytarza. Powiedziałbym, że znajduje się mniej więcej w połowie drogi pomiędzy jaskinią a drugim końcem korytarza.

– Jeśli furta wciąż jest zaryglowana, to znajdę te drzwi – zapewnił mnie Zor.

– Gdybyś musiał tamtędy przejść, to miałbyś niewielkie szanse – powiedziałem. – Bo jestem przekonany, że ta izba znajduje się albo w apartamentach Moko albo Meezy, bo w ich pobliżu więziono Dian. Jeżeli cię tam znajdą, to na pewno zabiją. Może lepiej zrezygnuj z tego pomysłu, jeśli furta przy końcu korytarza jest nadal zaryglowana. Wtedy będziemy musieli zrobić co w ludzkiej mocy, żeby wydostać Kleeto.

– Jeżeli nie wrócę po dwóch snach – oznajmił Zor – to już nigdy nie wrócę. Ty i twoja pani możecie wtedy ruszyć do Sari.

Pożegnałem się z nim z ciężkim sercem i patrzyłem, jak wspina się na drzewo i wchodzi do większej jaskini.

ROZDZIAŁ 15

Jak tylko Zor wyruszył, wróciłem do jaskini, w której była ukryta Dian. Upewniłem się, że w wąwozie nikogo nie widać i zacząłem usuwać chrust i zaporę. Robiąc to zawołałem do niej, ale nie odpowiedziała i uznałem, że śpi. Toteż resztę zapory starałem się usunąć jak najciszej, żeby jej nie niepokoić, bo sen na Pellucidarze jest bardzo cenny.

Nie wiem, kiedy byłem tak szczęśliwy jak w owej chwili. Byłem w doskonałym nastroju, bo miałem pewność, że mamy znakomitą okazję uciec z Doliny Jukanów i wrócić do ukochanego Sari.

Kiedy otwór był na tyle duży, że mogłem się precyzyjnie, wpełzłem tyłem do jaskini i najlepiej jak mogłem postawiłem zaporę. Zamierzałem położyć się przy Dian i też się przespać. Jakże się zdziwi, kiedy się obudzi i zobaczy, że jestem przy niej. Nie mogłem się oprzeć pokusie, żeby wyciągnąć rękę i dotknąć ją. Jaskinia była mała i Dian nie mogła być dalej niż na długość ręki. Lecz chociaż sprawdzałem we wszystkich kierunkach to jej nie znalazłem. Wtedy pojąłem okropną prawdę – Dian zniknęła!

Upadek z takich wyżyn szczęścia w tak głęboką rozpacz niemal wytrącił mnie z równowagi. Przesuwałem dłońmi, cal za cal, po dnie jaskini – bardziej jak szaleniec niż człowiek zdrowy na umyśle. Znalazłem trochę żywności i wody. A także moją broń; lecz nie tę należącą do Dian.

Już nie myślałem o śnie, czy o Zorze i Kleeto – teraz ważna była tylko Dian.

Wziąłem dzidę, łuk i strzały, które zrobiłem dla siebie i znowu przepchnąłem się przez zaporę. Przez chwilę stałem przed jaskinią, niezdecydowany. Gdzie miałem szukać Dian? Coś, sam nie wiem co, podpowiadało mi, że nie zabrano jej z powrotem do wioski; toteż postanowiłem pójść wąwozem w przeciwną stronę – ten kierunek byśmy wybrali, żeby opuścić Dolinę Jukanów wracając do Sari. Tyle wiedziałem, bo zapytałem Dian, w jakim kierunku leży nasza kraina, a ona powiedziała, jaką drogą powinniśmy pójść, żeby tam dotrzeć.

Po całym Królewskim Wąwozie chodzili ostatnio wojownicy jukańscy, przeszukując go – czyli zdeptali każdy ślad Dian. Liczyłem jednak, że znajdę trop, jak tylko zajdę dostatecznie daleko; nie miałem zmysłu orientacji Pellucidarian i musiałem wyrobić sobie umiejętność znakomitego tropiciela. Mogłem podjąć trop, którego zwykły człowiek w ogóle by nie zauważył i ogromnie liczyłem na tę umiejętność podjęcia tropu Dian i osoby, która ją uprowadziła.

Dotarłem na skraj lasu Jukanów, nie spotykając ani człowieka ani zwierzęcia, nie widząc najmniejszego śladu Dian.

Zgodnie ze wskazówkami Dian skręciłem w prawo i okrążyłem las. Powiedziała mi, że w ten sposób powinienem dojść na drugi koniec doliny i że zobaczę tam strumień, a jego brzegiem dotrę do niewielkiego śródlądowego morza, do którego uchodzi. Potem powinienem iść w lewo brzegiem tego morza. Na koniec zobaczę w oddali przed sobą wyniosły

górski szczyt, który wskaże kierunek do Sari. Po tym wszystkim miałem polegać na własnych umiejętnościach wyszukiwania drogi, bo nie mogła sobie przypomnieć żadnego innego rzucającego się w oczy punktu orientacyjnego – mając wrodzony zmysł orientacyjny właściwie ich nie potrzebowała.

Dotarłem na drugi koniec doliny i do rzeki nie widząc śladu Dian i już miałem uznać, że się myliłem sądząc, że ją poprowadzono w tę stronę – bo równie prawdopodobne było, że Jukanie znowu ją pochwycili i zaprowadzili do wioski. Powinienem wrócić do wioski Meezy, czy iść dalej? To było dobre pytanie. Rozsądek podpowiadał mi, że powinienem zawrócić; ale w końcu postanowiłem pójść jeszcze trochę dalej. Na koniec uznałem, że to beznadziejne i zawróciłem.

Las w Dolinie Jukanów kończy się dość nagle na styku z równiną, chociaż i na niej tu i tam rosną nieliczne drzewa. Żeby jak najmniej rzucać się w oczy szedłem tuż przy granicy lasu, skąd cały czas widziałem równinę, a drzewa rosły na tyle blisko, że mogłem na któreś uciec przed co groźniejszymi mięsożercami.

Od wioski Meezy do drugiego końca doliny, skąd zawróciłem, musi być ze dwadzieścia mil. Od jakiegoś czasu nie spałem i byłem wyczerpany; wybrałem więc drzewo, na którym mogłem sobie przygotować platformę do spania, dobrze ukrytą w zieleni przed wścibskimi oczami i na tyle daleką od ziemi, żeby nie zagroziły mi polujące zwierzęta; raz dwa na niej zasnąłem.

Nie wiem, jak długo spałem, ale kiedy się obudziłem, stwierdziłem, że padało, bo las ociekał wodą. To, że deszcz mnie nie obudził, świadczyło jaki musiałem być wykończony; lecz teraz byłem wypoczęty i wkrótce znów byłem na ziemi, gotowy do powrotnej podróży do wioski Meezy,

króla. Wypocząłem i byłem przeraźliwie głodny, co w przybliżeniu wskazywało, jak długo spałem.

Ponieważ nie chciałem tracić czasu na polowanie, więc zerwałem mały owoc, żeby go zjeść po drodze. Ale jak tylko się znalazłem na ziemi zobaczyłem coś, co kazało mi zapomnieć o głodzie – bezpośrednio pod moim drzewem, odcisnięte w mokrej od deszczu ziemi, biegły ślady mężczyzny i kobiety, idących pospiesznie w stronę drugiego końca doliny. Natychmiast zrezygnowałem z powrotu do wioski, przekonany, że to ślady Dian i jej porywacza.

Nie wiedziałem, jak stare były te ślady, bo nie miałem pojęcia, jak długo spałem – lecz wiedziałem, że deszcz padał stosunkowo niedawno i że tych dwoje ludzi przeszło tędy albo w czasie ulewy, albo tuż po niej.

Brak sposobu mierzenia czasu w Pellucidarze może być nad wyraz irytujący. Równie dobrze mogłem spać i przez tydzień ziemskiego czasu. Ci ludzie mogli mnie bardzo wyprzedzić, albo być tuż przede mną, zakryci drzewami lasu.

Trop był wyraźny, toteż mogłem iść szybko. Właściwie to przeszedłem w lekki kłus – z doświadczenia wiem, że mogę bardzo długo utrzymywać to tempo i tylko tak mogłem mieć nadzieję, że ich dogonię, bo widziałem, iż się spieszyli.

W pobliżu końca doliny trop wyprowadził mnie z lasu i daleko przed sobą zobaczyłem dwie postaci; były za daleko, żebym je rozpoznał. Już nie truchtałem, biegłem. Często na pewien czas znikały mi z oczu, kiedy któreś z nas wpadało w zagłębienie lub w mokradło. Lecz ilekroć się pojawiali widziałem, że jestem coraz bliżej.

W końcu, na krótko straciwszy ich z oczu, wbiegłem na wzniesienie i zobaczyłem ich tuż pode mną. Stali na polance, przed parą jaloków, dzikich i groźnych psów Pellucidaru. Wtedy ich rozpoznałem – Zor i Kleeto.

Zbrojni jedynie w prymitywne kamienne noże, stali bezradni na wprost dwóch wielkich bestii, zbliżających się ku nim. Gdybym się akurat wtedy nie pojawił, byłiby w beznadziejnej sytuacji. A nawet i teraz nie było pewności, że wszyscy troje ujdziemy z życiem, bo jalok jest zwierzęciem niezmiernie groźnym i o ogromnej sile. To najgorszego sortu pożeracze ludzi; wolą polować na nich, niż na inną zwierzynę.

Zbiegłem ze wzgórza ku Zorowi i Kleeto; stali tyłem do mnie, więc mnie nie widzieli, nie słyszeli też odgłosu moich sandałów na miękkim torfie. Jaloki nie zwróciły na mnie uwagi, bo prawie wcale nie boją się ludzi i pewnie uznały mnie za kolejną zdobycz.

W biegu nasadziłem strzałę na cięciwę i kiedy miałem pewność, że trafię, zatrzymałem się parę kroków za Zorem i Kleeto i wziąłem na cel większego jaloka, olbrzymiego psa o dobre sześć cali wyższego od swojej partnerki. Mocno naciągnąłem cięciwę; zwolniona zaśpiewała i strzała wbiła się głęboko w pierś psa. Zor i Kleeto gwałtownie się odwrócili i rozpoznali mnie, a oba jaloki zaatakowały.

Ze zręcznością zrodzoną z potrzeby nieustannej samoobrony nasadziłem drugą strzałę na cięciwę i wpakowałem ją w pierś suki. Strzał ją powalił; ale pies – groźnie warcząc, ze strzałą sterczącą z piersi – sadył ku nam susami. Kiedy niemal nas dopadł rzuciłem dzidą – krótkim, ciężkim, podobnym do oszczepu orężem.

Na nasze szczęście dobrze wycelowałem i ten cięższy oręż powalił wielką bestię. Chwilę później przeszyłem drugą strzałą serce psa. W podobny sposób dobiłem sukę.

Zor i Kleeto nie szczędzili podziękowań. Nie mogli pojąć, jak to się stało, że się znalazłem za nimi. Powiedzieli, że poszli do jaskini, gdzie ukryłem Dian i przekonali się, że jest pusta. Od razu doszli do wniosku, że obydwójce wyruszyliśmy do Sari. Wtedy im opowiedziałem, jak to się stało,

że byłem za nimi i o moim lęku, że Dian porwano oraz że – nie mogąc znaleźć najdrobniejszego jej śladu – uznałem, iż znowu znalazła się w wiosce.

– Nie – powiedziała Kleeto. – Zapewniam cię, że nie. Gdyby ją doprowadzono do komnat majordomusa od razu bym się o tym dowiedziała. Słyszałam rozmowy wojowników, kiedy wrócili z poszukiwań i z pewnością mówili, że nie znaleźli żadnego jej śladu. Czyli moim zdaniem możesz mieć pewność, że nie ma jej w wiosce Meezy.

No cóż, z pewnością mi ulżyło, jak to usłyszałem. Ale gdzie była Dian? I kto ją porwał? Przypomniałem sobie, że Moko chciał, żeby z nim uciekła i wypytałem Kleeto, czy to możliwe, aby znalazł on jej kryjówkę i porwał ją.

– To możliwe – stwierdziła.

– Ale był ciężko ranny. Kiedy go ostatni raz widziałem, był taki słaby, że ledwo stał na nogach.

– O, miał mnóstwo czasu, żeby odzyskać siły – odparła.

Potrząsnąłem głową, zrozpaczony. Ten brak sposobu zmierzenia czasu, jaki upłynął, doprowadzał do szaleństwa. Mnie się wydawało, że od chwili, kiedy widziałem jak wyczerpany Moko pada u stóp tronu ojca, minęły co najwyżej dwa dni – a tu Kleeto mnie zapewnia, że było mnóstwo czasu, żeby jego rana się zagoiła. Skąd więc miałem wiedzieć, ile czasu minęło od kiedy Dian zabrano z jaskini? Jeżeli zabrał ją nie Moko, a ktoś inny, to mogło się to stać bardzo wiele dni temu, wedle miary zewnętrznego świata. A jeżeli to był Moko, to nie mogło być to tak dawno.

Najbardziej przygnębiające było to, że nie mogłem znaleźć najmniejszego jej śladu. Zdawałem sobie jednak sprawę, że mogła tędy przejść, ale tak dawno, że wszystkie tropy zostały zatarte.

– Co zrobisz? – zapytał Zor.

– Zamierzam wrócić do Sari – odparłem. – Sprowadzę całą armię do Doliny Jukanów i zetrę ich przeklętą rasę z powierzchni Pellucidaru. Ich dziedziczna skaza obłądu jest zagrożeniem dla wszystkich. A ty? – zapytałem. – Gdzie pójdziesz?

– Uważam, że już nigdy nie znajdę Rany – odrzekł. – To bezcelowe, dalej jej szukać. Kleeto poprosiła, żebym poszedł z nią do Suvi – dodał, jak uznałem, z niejakim zaambarasowaniem.

– To możemy iść razem, bo Suvi leży w kierunku Sari – powiedziałem. – A z Kleeto jako przewodniczką znikną moje trudności.

– O czym mówisz? – zapytała dziewczyna.

– Nie może znaleźć drogi do domu – wyjaśnił Zor, śmiejąc się jak z dobrego żartu.

Kleeto szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

– Chcesz powiedzieć, że sam nie znalazłbyś drogi do Sari?

– Żałuję, ale nie – powiedziałem.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałam – stwierdziła Kleeto.

– Mówi, że jest z innego świata – wyjaśnił jej Zor. – Początkowo mu nie wierzyłem, ale kiedy go lepiej poznałem, nie wątpię już w jego słowa.

– Co to za inny świat? – zapytała Kleeto.

– Twierdzi, że Pellucidar jest okrągły jak jajo któregoś z tych wielkich żółwi i wydrążony. Pellucidar jest w środku, a jego świat na zewnątrz.

– Czyli ktoś z twojego świata nie może odnaleźć drogi do domu, jeżeli się zgubi? – spytała dziewczyna.

– Może – powiedziałem – ale nie w taki sposób jak wy. Kiedyś ci to wytłumaczę, ale teraz mamy inne sprawy na głowie; a najważniejsza w tej chwili to odejść jak najdalej od Doliny Jukanów.

Znowu ruszyliśmy w długą drogę do Sari; i byłbym bardzo szczęśliwy i zadowolony, gdyby nie niepokój o los Dian. Gdybym tylko wiedział, w którą stronę ją uprowadzono, albo chociaż kto ją porwał, to już byłbym choć trochę zadowolony. Ale nie miałem pojęcia ani o jednym, ani o drugim i nawet nie mogłem zgadywać. Modliłem się, żeby czas rozwikłał tę zagadkę.

Wyszliśmy z doliny i maszerowaliśmy brzegiem rzeki ku śródlądowemu morzu, o którym powiedziała mi Dian. Natknęliśmy się na szkielet dużego jelenia, dokładnie oskubany z mięsa przez różnej wielkości i kształtu mięsożerców, od których się roi na Pellucidarze.

Tak często spotyka się te zbieleiałe od słonecznego żaru dowody tragedii pellucidariańskiej, że nie wywołują komentarza i nie przyciągają wzroku. Lecz kiedy przechodziłem w pobliżu tego szkieletu, dostrzegłem leżącą wśród kości strzałę. Ma się rozumieć podniosłem ją, żeby włożyć do kołczanu i musiałem głośno krzyknąć ze zdumienia, bo Zor i Kleeto popatrzyli na mnie pytająco.

– Co jest? – zapytał ten pierwszy.

– Sam zrobiłem tę strzałę – wyjaśniłem. – Dla Dian. Zawsze znakuję swoje strzały, żebyśmy je mogli rozpoznać. Ta nosi jej znak.

– Czyli szła tędy – stwierdziła Kleeto.

– Tak, wraca do Sari – powiedziałem i zamyśliłem się.

Dziwne, że nigdy mi to nie przyszło do głowy, chociaż w jaskini znalazłem tylko swoją broń. Czemu jej porywacz miałby zabierać jej broń a moją nie? Podzieliłem się tym z Zorem i Kleeto.

– Może poszła sama – podpowiedziała Kleeto.

– Nigdy by mnie nie zostawiła – ja na to.

Zor potrząsnął głową.

– Nie rozumiem – powiedział. – Bardzo nieliczni Pellucidarianie potrafią się posługiwać tą dziwną bronią, którą zrobiłeś. Jukanie z pewnością takiej nie mają. Któż inny mógłby ustrzelić to zwierzę jak nie sama Dian Piękna?

– Musiała je ustrzelić – przytaknąłem.

– Ale gdyby ją uprowadzono, to jej porywacz nigdy by nie pozwolił, żeby była uzbrojona – orzekł Zor.

– Masz rację – przyznałem.

– Czyli musiała być sama, albo poszła z kimś z własnej woli – stwierdził Zor.

Nie mogłem w to uwierzyć; ale jakbym sobie nie łamał głowy, nie potrafiłem znaleźć wyjaśnienia.

ROZDZIAŁ 16

Zadziwiająco, jak życie dopasowuje się do środowiska – a szczególnie człowiek: całkowicie pozbawiony sierści, bez żadnej osłony przed żywiołami, stosunkowo powolny i słaby. A teraz ja, człowiek z dwudziestego wieku, wytwór paru tysięcy lat cywilizacji, wędrowałem przez pustkowia barbarzyńskiego świata z mężczyzną i dziewczyną z epoki kamienia – tak samo jak oni niezależny i u siebie. Ja, który nigdy bym nie wyszedł na ulice rodzinnego miasta bez marynarki, paradowałem bez skrępowania w biodrowej przepasce i sandałach, świetnie się w nich czując. Często się uśmiechałem, wyobrażając sobie co moi przyjaciele z Nowej Anglii pomyśleliby, gdyby mnie zobaczyli. Wiem, że uznaliby Kleeto za wyuzdaną dziewczkę, chociaż, jak praktycznie każda dziewczyna, jaką poznałem w Pellucidarze, była wspaniała i przyzwoita oraz tak cnotliwa, że aż pruderyjna; lecz miała wadę dość częstą u dziewczyn z zewnętrznego świata – za dużo mówiła. Lecz jej naiwna i zwykle radosna paplanina odwracała moje myśli od przytłaczającego mnie smutku.

Kiedy Kleeto uwierzyła, że jestem z innego świata, musiała się wszystkiego o nim dowiedzieć i zadawała miliony pytań. Była zupełnie inna od Kleeto, którą poznałem w pałacu króla Meezy, bo wtedy przytłaczała ją pozorna beznadzieja sytuacji i strach przed szaleńcami, wśród których żyła. Lecz teraz była wolna i bezpieczna; jej duch odzyskał wrodzoną pogodę i Kleeto znowu była sobą.

Widziałem, że Zor się zakochał w Kleeto i nie było wątpliwości, że mała trzpiotka go omamiła (każda kobieta to kokietka). Nie wiem, czy go kochała, ale myślę, że tak, bo okropnie go traktowała. Tak czy owak wiem, że to ona mu zasugerowała, żeby poszedł do Suvi.

– Czemu opuściłaś Suvi, Kleeto? – zapytałem.

– Uciekłam – powiedziała, wzruszając ramionami. – Chciałam iść do Kali, ale się zgubiłam i błąkałam się, aż w końcu złapali mnie Jukanie.

– Skoro się zgubiłaś, to czemu nie wróciłaś do Suvi? – spytał Zor.

– Bałam się – odparła Kleeto.

– Czego? – zapytałem.

– Był tam mężczyzna, który chciał mnie wziąć za żonę, ale ja go nie chciałam. To był wielki, silny mężczyzna, a jego wuj był królem Suvi. To przez niego uciekłam i przez niego bałam się wrócić.

– Ale teraz się już nie boisz? – dociekałem.

– Będziecie ze mną ty i Zor i dlatego nie muszę się bać.

– Czy ten człowiek nie nazywał się przypadkiem Do-gad? – zapytałem.

– Tak – powiedziała. – Znasz go?

– Nie, ale któregoś dnia zamierzam się z nim spotkać.

Co za dziwny przypadek, że tak Dian jak i Kleeto zostały porwane przez Jukanów, kiedy usiłowały uciec przed Do-gadem. Typek będzie się musiał porządnie tłumaczyć przede mną i Zorem.

Po raz kolejny szliśmy przez nieznaną mi krainę. Powierzchnia Pellucidaru jest tak rozległa, tak rzadko zaludniona i tak słabo zbadana, że niemal w całości jest to dziewicza kraina, praktycznie nietknięta przez człowieka. Jest to ogromny tygiel życia, gdzie zwierzęta z niemal wszystkich okresów geologicznych zewnętrznego świata istnieją jednocześnie. Mówiono mi, że są tu znaczne obszary, całkowicie pozbawione życia zwierzęcego; a wiem, że są i takie, na których niepodzielnie panują gady z triasu i jury zewnętrznego świata, bo żadne inne stworzenia nie ośmielają się wejść do ich królestwa. Inne tereny zamieszkują ptaki i ssaki, które świetnie się miały w zewnętrznym świecie od kredy do pliocenu; lecz największa część Pellucidaru, znana mi z własnych wędrówek i z opowieści, nie jest zamieszкана przez te wszystkie formy życia – jedynie tu i tam trafiają się izolowane skupiska ludzi, żyjących głównie w jaskiniach. Coś przypominającego miasto zbudowano w Pellucidarze dopiero po ustanowieniu Imperium; chyba, że ktoś nazwałby miastami podziemne pieczary Mahar lub zastosował tę nazwę do obłądnych skupisk chat Jukanów.

Jedynym wyjątkiem od tej reguły jest Miasto Korsar, w pobliżu wejścia na biegunie; sądzę, że założyła je załoga pirackiego statku, który jakimś cudem odnalazł drogę z Morza Arktycznego przez otwór na biegunie, do Pellucidaru. Jednak ich cywilizacja nigdy nie rozwinęła się ku Południu. Z natury są ludźmi morza; lecz nie mając słońca, księżyca ni gwiazd, którymi by się mogli kierować, nie ośmielają się tracić z oczu lądu, wypływając na wielki ocean – Korsar Az – leżący tuż przy ich krainie.

Spaliśmy wiele razy i wciąż szliśmy brzegiem morza, kiedy znienacka – w dolinie o płaskim dnie, którą płynęła rzeka – natrafiliśmy na grupę ogromnych mastodontów. Grupę tworzyły trzy osobniki – samiec, samica i cielę; po zachowaniu się dorosłych zwierząt poznaliśmy, że coś jest nie tak,

bo biegały tam i z powrotem, głośno trąbiąc. Już mieliśmy je z daleka ominąć, kiedy dostrzegłem powód ich zdenerwowania. Cielak zapędził się w mokradło na brzegu rzeki i zaczęło go wciągać. Gdyby któreś z rodziców próbowało go ocalić i weszło na miękki grunt, równałoby się to samobójstwu.

Jak większość ludzi mam słabość do młodych zwierząt i kiedy usłyszałem, jak biedaczek krzyczy, to zrobiło mi się go żal.

– Sprawdźmy, czy uda się nam go stamtąd wydostać – powiedziałem do Zora.

– I za nasze trudy ponieść śmierć – odpowiedział mężczyzna z Zoramu.

– Stary Mai jest całkiem inteligentny – ja na to. – Myślę, że zrozumie, iż próbujemy pomóc.

Zor wzruszył ramionami.

– Czasem myślę, że naprawdę jesteś Jukanem – roześmiał się. – Masz takie wariackie pomysły.

– Nooo, jeśli się boisz, to oczywiście... – zacząłem.

– Kto powiedział, że się boję? – zaperzył się Zor.

To wystarczyło. Wiedziałem, że teraz ze mną pójdzie, choćby miał zginać, bo mężczyznom z Zoramu szczególnie zależy na reputacji odważniaków. Ruszyłem więc ku mastodontom, a Zor i Kleeto ze mną. Początkowo nie zbliżałem się do nich za bardzo, lecz szedłem na skraj mokradła, jakieś sto jardów od nich, skąd mogłem się rozejrzeć i ocenić, czy w ogóle są jakieś szanse ocalenia cielaka. W tym miejscu było tylko jakieś dwadzieścia stóp mokradła pomiędzy twardą ziemią a rzeką, pokrytego drewnem, naniesionym kiedy woda była wysoka. Gorące słońce wysuszyło powierzchnię mokradła; wypróbowałem tę skorupę i stwierdziłem, że wytrzyma nasz ciężar. Toteż wiadomo było, gdzie moglibyśmy wyciągnąć cielaka. Wyjaśniłem to Zorowi i Kleeto i potem

wszyscy troje zaczęliśmy zbierać większe kawałki drewna i układać je przed cielakiem, tworząc coś w rodzaju utwardzonej drogi od niego do twardej ziemi. Na początku biedaczek był przerażony i zaczął się zanurzać, kiedy się do niego zbliżyliśmy – ale potem wyczuł, że nie chcemy go skrzywdzić i się uspokoił. Byk i krowa też najpierw byli bardzo podenerwowani, lecz po chwili przestali trąbić i stali, obserwując nas. Myślę, że dotarło do nich, co próbujemy zrobić. Ostatnie parę stóp naszej zaimprovizowanej drogi musieliśmy położyć parę stóp od nich i byliśmy w zasięgu ich trąb – ale nic nam nie zrobili.

Skończyliśmy drogę i teraz trzeba było wydostać na nią cielaka.

Razem z Zorem znaleźliśmy dużą kłodę i ułożyliśmy ją blisko cielaka, równoległe do niego; potem wzięliśmy długi kawałek drewna, mocny i solidny – pieńek małego drzewa – oparliśmy go jednym końcem o kłodę i powoli wsunęliśmy pod jedną z przednich nóg zwierzaka. Kleeto, trzymając się moich wskazówek, była gotowa z najcięższym kawałkiem drewna, jaki mogła unieść. My z Zorem z całej siły naparliśmy na drugi koniec naszej dźwigni. Powtórzyliśmy to parę razy i w końcu noga zaczęła się wynurzać z błocka; jak tylko się uwolniła, Kleeto podłożyła pod nią kawałek drewna.

Potem cielak spróbował wyleźć na naszą utwardzoną drogę, ale nie mógł sobie poradzić, toteż przenieśliśmy się na drugą stronę i powtórzyliśmy całą operację z drugą nogą. To było łatwiejsze, bo mógł sobie trochę pomóc uwolnioną nogą. Jak tylko obie przednie nogi miały solidną podporę taplał się przez chwilę i na koniec sam się wydobył z mokradła.

Nigdy nie widziałem czegoś tak wzruszającego, jak troskliwość dorosłych mastodontów, kiedy malec wreszcie stanął przed nimi na twardej ziemi. Parę chwil wodziły po nim trąbami, sprawdzając, czy nic mu się nie stało, a potem odciągnęły go od mokradła.

Kleeto, Zor i ja usiedliśmy na dużej kłodzie, żeby odpocząć, bo to była męcząca robota. Spodziewaliśmy się, że mamuty odejdą, ale nie. Stały paręset stóp od nas i przyglądały się nam.

Kiedy odpoczęliśmy, znowu ruszyliśmy w drogę, szukając miejsca, w którym moglibyśmy przejść przez rzekę. Jak tylko się podnieśliśmy z kłody, byk ruszył ku nam, a za nim krowa i cielak. To nie wyglądało dobrze, toteż trzymaliśmy się skraju mokradła, żebyśmy im mogli uciec, gdyby zamierzały być agresywne. Ciągłe się oglądaliśmy przez ramię i zauważyłem, że mastodonty nas nie doganiają. Najwyraźniej był to zwykły przypadek, że szły w tę samą stronę co my.

Musieliśmy przejść spory kawałek w górę rzeki, zanim znaleźliśmy miejsce, w którym mogliśmy bezpiecznie przejść na drugi brzeg. To nie była jakaś duża rzeka, a dno w tym miejscu było żwirowate. Kiedy dotarliśmy na drugą stronę, zobaczyliśmy, że mastodonty wchodzi do wody za nami.

Wlokły się za nami, póki nie znaleźliśmy miejsca na obozowisko. Nigdy zbyt blisko do nas nie podchodziły. Kiedy my się zatrzymywaliśmy, zatrzymywały się i one.

– Wygląda, jakby za nami szły – powiedziała Kleeto.

– Faktycznie – przytaknął Zor. – Ciekaw jestem, dlaczego?

– Tu mnie masz – przyznałem. – Nie sądzę, żeby chciały zrobić nam coś złego. Nie okazują żadnych oznak zdenerwowania czy wzburzenia, a tak by było, gdybyśmy budzili w nich lęk albo gniew.

– Stary Maj niczego się nie boi – powiedział Zor (Maj to pellucidariańska nazwa mastodonta).

– Sprawdzę, czy są przyjazne – poinformowałem ich.

– Lepiej się rozejrzyj za ładnym drzewem, zanim czegokolwiek spróbujesz – poradził mi Zor. – I zadbaj, żeby było duże. Stary byk

wyrwały z korzeniami wszystkie dokoła.

Zatrzymaliśmy się w pobliżu paru jaskiń, gdzie zamierzaliśmy obozować i uznałem, że uda mi się dopaść wybranej przez nas jaskini zanim one mnie dopadną; przynajmniej taką miałem nadzieję. Powoli ruszyłem ku nim, a one po prostu stały i patrzyły na mnie, nie okazując zdenerwowania. Kiedy dzieliło mnie od nich jakieś sto stóp, cielak ruszył ku mnie; potem krowa poruszyła się niespokojnie i wydała zabawny cichy dźwięk. Chyba próbowała go przywołać, ale on dalej szedł ku mnie. A ja stałem nieruchomo i czekałem. Mały przystanął ze dwa, trzy razy i obejrzał się na rodziców, ale za każdym razem podchodził coraz bliżej i wreszcie się zatrzymał parę stóp ode mnie. Wyciągnął przed siebie trąbę, a ja bardzo powoli wyciągnąłem rękę i musnąłem ją. Leciutko podrapałem, a on się zbliżył krok lub dwa. Wtedy położyłem mu dłoń na głowie i podrapałem go po czole. Wyglądało na to, że mu się to podoba; ale potem zaczął owijać mnie trąbą, co mi się nie spodobało, więc ją siłą odwinąłem.

Rodzice małego się nie poruszyli, ale – uwierzcie – obserwowali nas. Nagle samica uniosła trąbę i zatrąbiła, a malec zrobił zwrot w tył i potoczył się ku niej tak szybko jak mógł, a ja wróciłem do Zora i Kleeto.

To był początek dziwacznej przyjaźni; kiedy się obudziliśmy, to mastodonty wciąż tam były i długo towarzyszyły nam w wędrówce.

Dużo do nich mówiłem i nazywałem je Mai; pewnego razu nie było ich w pobliżu obozu, kiedy się obudziliśmy i kilka razy wykrzykiwałem to słowo – cała trójka wyszła z pobliskiego lasu, gdzie się pożywiały. Przyzwyczailiśmy się do nich, a one do nas i często blisko do nas podchodziły. Głaskałem je po trąbach, co im się z jakiegoś powodu podobało. Lecz nie mieliśmy pojęcia, czemu nam towarzyszą i nigdy się tego nie dowiedzieliśmy. Najprawdopodobniej – do takiego wniosku doszedłem – były nam wdzięczne za uratowanie malca z bagna, w którym

by z pewnością zginął. Ich towarzystwo z naddatkiem wynagradzało nasze wysiłki, bo póki były z nami nie niepokoiłi nas drapieżcy, bardzo liczni w krainie, przez którą szliśmy. Nawet najdziksze z nich czują respekt przed krzepkimi Mai).

Od wyjścia z Doliny Jukanów wiele razy spaliśmy, toteż wiedziałem, że przebyliśmy znaczną odległość. Szykowaliśmy się po długim marszu do noclegu u stóp klifu, w którym była jaskinia, mogąca nam zapewnić bezpieczny sen. Pozostałości po ognisku przed jaskinią wskazywały, że całkiem niedawno z niej korzystano, a ściana klifu obok wejścia do jaskini nosiła oznaki, że wielu wędrowców znalazło tu schronienie w przeszłości – liczni wydrapali w wapieniu swoje znaki – zwyczaj często występujący wśród bardziej inteligentnych plemion Pellucidaru, gdzie każda osoba ma swój własny znak, równoznaczny z podpisem.

Popatrzyłem na nie mimochodem i moją uwagę przyciągnął znak zrobiony całkiem niedawno. Był to trójkąt równoboczny z kropką pośrodku. To był znak Dian. Pokazałem go Zorowi i Kleeto, a oni byli podekscytowani niemal tak samo jak ja.

– Była tu niedawno i to sama – orzekł Zor.

– Czemu uważasz, że była sama? – zapytałem.

– Gdyby ktoś z nią był, też zostawiłby swój znak – odparł Zor – ale tylko jej znak jest świeży.

Czy to możliwe, że Dian rozmyślnie mnie opuściła? Nie mogłem w to uwierzyć, chociaż wiedziałem, że dowód musiał być niezbity dla każdego, kto nie znał Dian Pięknej tak dobrze jak ja.

ROZDZIAŁ 17

To w tym obozie mastodonty nas opuściły. Kiedy się obudziliśmy wiele razy je wołałem, ale już nie przyszły. Myślę, że nam wszystkim było trochę smutno, kiedy wyruszyliśmy bez nich w długą drogę do Sari.

Z jakiegoś powodu po zniknięciu mastodontów zacząłem przeczuwać coś złego; i nie byłem w tym osamotniony. Tak Zor jak i Kleeto podzielali moje przeczucia. Jakby po to, żeby jeszcze bardziej podkreślić nasz nastrój, niebo zakryły ciemne i złowieszcze chmury i wreszcie rozpętała się straszliwa burza. Wicher wył, niemal przewracał nas na ziemię. W powietrzu latało mnóstwo liści i gałęzi, a drzewa w lesie kołysały się i jęczały złowrogo. Zrobiło się niebezpiecznie, bo wokół nas waliły się drzewa. Deszcz lał jak z cebra, masy wody uderzały w nas z olbrzymią siłą. Jeszcze nigdy nie widziałem takiej burzy w Pellucidarze.

Nieustannie maltretowani przez deszcz i wicher, brnęliśmy z trudem przed siebie, póki nie dotarliśmy do względnie otwartej przestrzeni, która naszym zdaniem powinna być o wiele bezpieczniejsza niż gęsty las.

Zbiliśmy się w grupkę, plecami do burzy i czekaliśmy jak nieme stworzenia, aż żywioły się uspokoją.

Duże zwierzęta – w innych okolicznościach mogące zagrażać naszemu życiu – przebiegały blisko nas, uciekając przed burzą; nie baliśmy się ich jednak, bo wiedzieliśmy, że są jeszcze bardziej przerażone niż my oraz że były dalekie od myśli o polowaniu i żerowaniu. Pomijając zagrożenie przez latające gałęzie, czuliśmy się stosunkowo bezpieczni, toteż nie byliśmy tak czujni jak zazwyczaj – chociaż i tak mało co moglibyśmy usłyszeć czy dojrzeć w tej nawałnicy i strugach deszczu. Ogłuszające grzmoty – jeden po drugim, prawie nieustannie – i wycie wichru zagłuszały wszystkie inne dźwięki.

W kulminacyjnym punkcie burzy pochwyciły nas znenacka, od tyłu, krzepkie palce. Wyrwano nam broń i związano ręce na plecach; a potem wreszcie zobaczyliśmy naszych porywaczy. Było ich piętnastu albo i dwudziestu; najwyżsi mężczyźni, jakich w życiu widziałem. Nawet najmniejszy z nich miał pełne siedem stóp wzrostu. Twarze mieli okropnie brzydkie, a para żółtych, wielkich, przypominających kły zębów nie dodawała im urody. Musieli się znajdować bardzo nisko na skali ewolucji człowieka, bo byli całkiem nadzy i zbrojni jedynie w najprymitywniejszą broń – z grubsza obrobiony kamienny nóż i pałkę. Każdy z nich niósł też sznur z trawy.

W ogóle nie zwracali uwagi na burzę, jakby jej nie było, lecz zdawali się ogromnie zadowoleni ze swojej zdobyczy.

– Dobrze – mruknął jeden z nich, szczypiąc Kleeto.

– Co chcecie z nami zrobić? – zapytałem.

Jeden z nich nachylił się blisko ku mnie, zionąc mi cuchnącym oddechem w twarz.

– Zjeść was – oznajmił.

– Trzymajcie się z dala od Azaru, jeżeli nie chcecie być zjedzeni – dodał drugi.

– Azar! – wykrzyknęła Kleeto. – O, teraz wiem. Całe życie słyszałam o zjadających ludzi olbrzymach z Azaru. Już nie ma dla nas nadziei, Davidzie.

Muszę przyznać, że nie wyglądało to różowo, ale miałem w zwyczaju nigdy nie tracić nadziei. Spróbowałem choć trochę pocieszyć Kleeto, Zor mi w tym pomagał. Ale niezbyt się nam to udawało nawet wtedy, kiedy burza minęła równie szybko jak się rozpętała i na czystym niebie znowu zaświeciło słońce – sugerując, jak jej powiedziałem, że i nasze kłopoty przeminą i fart powróci jak to słońce.

Azarianie wlekli nas przez las i w końcu dotarliśmy do otoczonej palisadą wioski – a raczej powinienem powiedzieć do otoczonego palisadą placu, bo kiedy weszliśmy, nie zobaczyliśmy jakiegokolwiek domostwa. Burza narobiła tam trochę szkód – złamała kilka drzew i jedno z nich zważyło część palisady.

Na placu było sporo azariańskich kobiet i dzieci – wszystkie równie paskudne i odpychające jak mężczyźni. Zaś do drzew byli przywiązani podobni nam ludzie, bez wątpienia więźniowie.

Nasi porywacze przywiązali nas do drzew i zabrali się odbudowy uszkodzonej palisady. Kobiety i dzieci prawie nie zwracały na nas uwagi. Parę kobiet podeszło i uszczypnęło nas, sprawdzając w jakiej jesteśmy kondycji – aż za bardzo sugestywny gest.

Przywiązano mnie do drzewa w pobliżu jednego z więźniów, którzy się tu znaleźli przed nami i zacząłem z nim rozmawiać.

– Jak długo potrwa, zanim nas zjedzą? – zapytałem.

Wzruszył ramionami.

– Kiedy nasze mięso będzie im odpowiadać – odrzekł. – Karmią nas głównie orzechami, z niewielkim dodatkiem owoców i nigdy nie dają nam żadnego mięsa.

– Maltretują was? – zapytałem.

– Nie, bo to by opóźniło nasze tuczenie. Mogą wiele razy spać zanim zjedzą któreś z nas, bo uważają ludzkie mięso za wielki przysmak, którym niezbyt często się cieszą. Nawet nie pamiętam od ilu snów tu jestem, a widziałem jak zjedli tylko dwóch więźniów. To nie jest przyjemny widok. Łamią im pałkami wszystkie kości, a potem żywcem pieką.

– Jest jakaś szansa ucieczki? – dociekałem.

– Nie dla nas – odparł. – Dwoje uciekło podczas burzy. Wywróciła ich palisadę, więc uciekli do lasu, mając ręce związane na plecach. Długo nie pożyją, lecz ich śmierć będzie lepsza, niż ta, która tutaj czeka: pobicie i upieczenie. Bardzo mi żal jednej z tych osób. To była piękna dziewczyna z Sari; mężczyzna nazywał ją Dian Piękną.

Na chwilę odebrało mi mowę. Szok był jak po potężnym ciosie. Dian w tym dzikim lesie, z rękami związanymi na plecach! Powinienem coś zrobić; ale niby co? Zacząłem pocierać o szorstką korę drzewa sznurem, pętającym moje przeguby. To już było coś, nieważne, że dość beznadziejne. Może mężczyzna, który z nią uciekł, znajdzie sposób, żeby ją uwolnić, pomyślałem sobie. To mi dało odrobinę nadziei.

– Powiedziałeś, że uciekł z nią jakiś mężczyzna? – zapytałem.

– Tak.

– Wiesz, kto to był?

– Był z Suvi. Nazywał się Do-gad.

Kolejny szok. Że też, spośród wszystkich mężczyzn świata, musiał to być akurat Do-gad. Teraz to już naprawdę musiałem uciec.

Azariańscy wojownicy skończyli z palisadą i ułożyli się do snu. Oni, ich kobiety i dzieci spali na ziemi, jak zwierzęta; ich jedyną osłoną był cień drzew, pod którymi leżeli. Kiedy się obudzili, mężczyźni poszli polować. Przeprowadzili zwierzęta, bo stale łaknęli mięsa. Kobiety i dzieci nazbierały owoców i orzechów, z czego sporo dostało się nam, żebyśmy się utuczili.

Sen za snem przychodził i mijał; stale, kiedy nikt nie patrzył, pocierałem sznurem o szorstką korę drzewa. Wiedziałem, że robię postępy – lecz kiedy odzyskam wolność, to z nią zrobię? Wewnątrz palisady zawsze byli Azarianie; a sama palisada była za wysoka, żebym się mógł na nią wspiąć; wejście było tylko jedno i stale zamknięte. Mimo to zawsze była szansa, że jakieś okoliczności otworzą mi drogę ucieczki. Największym utrudnieniem dla mnie było to, że musiałbym uwolnić Zora i Kleeto, bo nie mógłbym ich tu zostawić. I oni pracowali nad przecięciem więzów, ale trudno było się spodziewać, że wszyscy troje uwolnimy się jednocześnie.

I tak czas powoli mijał nawet w tym pozbawionym czasu świecie. Myślami stale byłem przy Dian, błakającej się gdzieś tam samotnie, zawsze w niebezpieczeństwie; a może już martwej. Czy była sama? Tak, uważałem, że była osamotniona, choćby i Do-gad z nią uciekł; bo jeżeli wciąż żyła, to znalazłaby sposób, żeby mu się wymknąć, albo by się zabiła.

Takie były moje pełne rozpaczy myśli, kiedy uwiązany do drzewa czekałem w zagrodzie ludożerczych olbrzymów Azaru na straszliwy los, który wydawał się nieunikniony.

ROZDZIAŁ 18

Trwał długi pellucidariański dzień. Był to ten sam dzień, w którym się przebiłem przez skorupę ziemską trzydzieści sześć lat temu; i była to dokładnie ta sama pora dnia – samo południe – bo nieruchome słońce wciąż stało w zenicie. Ten sam dzień i godzina, w których się ten świat narodził i w której ujrzy jego śmierć – odwieczne dzień, godzina i sekunda Pellucidaru.

Azarianie spali – z wyjątkiem dwóch lub trzech kobiet i kilku niedorostków. Ci, co nie spali, krzatali się wokół wykopu pośrodku placu. Wykop miał jakieś siedem stóp długości, dwie stopy szerokości oraz półtora stopy lub dwie głębokości. Usuwali stamtąd popiół. Pracowali bardzo powoli, wybierając popiół rękami i wyrzucając na ziemię. Dzieci, złośliwe małe paskudztwa, kłóciły się ze sobą. Czasem któreś z nich dostawało od kobiety tak, że padało na ziemię. Nigdy nie widziałem wśród tych ludzi żadnych oznak czułości; stali niżej od zwierząt.

Kiedy wybrali cały popiół, pokryli dno wykopu zeschniętymi liśćmi i gałązkami. Na tym ułożyli większe gałęzie i na koniec na tym wszystkim położyli kilka sporych kłód. Sądząc po tym, co o nich wiedziałem, było to bardzo wymowne. Przygotowywali się do uczty. Kto byłby pierwszą ofiarą?

Ogarnął mnie lęk bliski paniki. Widziałem przygotowania i zgroza takiej śmierci tym bardziej mnie przerażała. Ilekroć nie patrzyło na mnie niczyje oko, energicznie pracowałem nad przecięciem więzów. To była mozolna i męcząca robota – tym bardziej, że się wydawała daremna. Widziałem, że Zor i Kleeto też się trudzą nad swoimi więzami; lecz nie miałem się jak dowiedzieć, z jakim skutkiem.

Azarianie, jak tylko nas pochwycili, zabrali mi łuk, strzały i dzidę; położyli je na ziemi – ale zapomnieli zabrać nam noży. Przypuszczam, że je zostawili, bo z rękami związanymi na plecach i tak nie moglibyśmy się nimi posłużyć. Całkiem jednak możliwe, że je zostawili, bo byli okropnie głupi i pozbawieni wyobraźni. Może jednak ich niedbalstwo było usprawiedliwione, bo jak mógłbym się w pojedynkę przeciwstawić tym olbrzymim istotom?

Kiedy te myśli przebiegały mi przez głowę wciąż pracowałem nad moimi więzami i nagle poczułem, że puszcza ostatnie pasmo. Miałem wolne ręce! Wciąż drzę z emocji na wspomnienie tej chwili; chociaż swoboda nie na wiele mi się zdała, to jednak dodała mi pewności siebie. Gdyby nie lojalność wobec Zora i Kleeto, to bym pobiegł do palisady, bo wierzyłem, że mógłbym się wdrapać na nią po małym drzewie, które Azarianie oparli o nią pod kątem jakichś czterdziestu pięciu stopni; lecz ze względu na tych dwoje musiałem zrezygnować z tego pomysłu.

Śpiący do tej pory Azarianie zaczęli się budzić. Niektórzy mężczyźni przyszli i skontrolowali pracę kobiet i dzieci; potem podszedł do nas ten, który wyglądał na wodza. Dokładnie nas obejrzał, obmacał nam żebra,

uszczypnął w uda. Najdłużej stał nad Kleeto; potem powiedział do dwóch z towarzyszących mu wojowników:

– Ta!

Wojownicy odwiązali Kleeto. Ze swojego miejsca widziałem, że niemal przecięła więzy, lecz Azarianie jakby tego nie zauważali. Czyli to Kleeto miała być następną ofiarą! Jak mógłbym temu zapobiec, sam z małym kamiennym nożem przeciwko tym gargantuicznym olbrzymom? Lecz byłem zdecydowany coś zrobić. Wszystko starannie zaplanowałem. Kiedy Azarianie przestaną być tak czujni podbiegnę i nożem przetnę więzy Zora; potem obydwaj się na nich rzucimy, licząc, że chwilowo ich wytrącimy z równowagi i że choć jedno z naszej trójki ucieknie za palisadę.

Zawlekli Kleeto nad wykop i tu wywiązała się dyskusja, której nie dosłyszałem. A potem stało się coś, co podsunęło mi nowy pomysł. Zza palisady usłyszałem trąbienie mastodonta. W tej okolicy widzieliśmy jedynie te trzy olbrzymy, które szły za nami. Czyżby to Stary Mai we własnej osobie nas szukał? To wydawało się nie do uwierzenia, a przecież istniała taka możliwość. I jak tonący chwyta się słomki, tak i ja chwyciłem się tej niedorzeczności i zawałem do wielkich zwierząt tak, jak kiedyś. Natychmiast wpatrzyły się we mnie wszystkie oczy – lecz zawałem znowu, tym razem głośniej i z pobliża odpowiedziało mi trąbienie. Ale Azarianie nie połączyli jednego z drugim i wrócili do przygotowań swojej makabrycznej uczty. Rozciągnęli Kleeto na ziemi – jedni ją trzymali, a inni poszli po pałki, żeby połamać jej kości. Wtedy znowu podniosłem głos i głośno zawałem Mai; Azarianie nie odrywali oczu od Kleeto, więc podbiegłem do Zora i do końca przeciąłem jego więzy.

– Nadchodzą! – szepnąłem. – Posłuchaj!

– Tak.

Wyraźnie słyszałem jak wielkie cielska z trzaskiem przepychają się pomiędzy drzewami. Trąbienie tak się nasiliło, że Azarianie chwilowo przestali zwracać uwagę na Kleeto i popatrzyli pytająco tam, skąd dochodził hałas. Potem palisada rozleciała się zniecka w drzazgi i do wioski wpadły wielkie Mai.

Zaskoczeni Azarianie stali bezradnie, zdumieni. Obaj z Zorem podbiegliśmy do Kleeto i postawiliśmy ją na nogi. Mai, jej partner i cielak znaleźli się przy nas.

– Mai, Mai! – wołałem, licząc, że nas rozpozna; i jestem pewien, że poznał.

Niektórzy Azarianie chcieli bronić wioski pałkami i nożami – mastodonty uniosły ich w trąbach i rzuciły wysoko w powietrze. Potem Stary Mai mnie złapał i pomyślałem, że chce mnie zabić, ale pomknął przez osadę; trzymając mnie nisko, poniżej ciosów, opuścił głowę i przebił się przez palisadę, na wprost miejsca, przez które wszedł.

Długo mnie niósł, aż wreszcie zatrzymał się w pobliżu rzeki, płynącej przez rozległą równinę – wtedy mnie postawił.

Ocalałem; ale gdzie byli Zor i Kleeto? Mieli tyle szczęścia co ja, czy nadal byli więźniami zjadających ludzi olbrzymów Azaru?

Byłem solidnie zmaltretowany tą uciążliwą wędrówką przez las; bo Stary Mai, pomimo swoich dobrych intencji, obchodził się ze mną dość brutalnie. Toteż kiedy mnie wreszcie postawił na ziemi, położyłem się nad rzeką w wysokiej trawie żeby odpocząć, a Stary Mai czuwał przy mnie, kołysząc swoim wielkim cielskiem; małe zaczerwienione oczy patrzyły na szlak, którym tu przyszliśmy. Wtem uniosł trąbę i przeraźliwie zatrąbił – natychmiast odpowiedziano mu z oddali. Rozpoznałem wyższy głos samicy i piskliwy małego; ciekaw byłem, czy są z nimi Zor i Kleeto.

Oba mastodonty znalazły się w zasięgu wzroku, ale były same. Jaki los spotkał moich towarzyszy? Uciekli, czy nadal byli więźniami Azarian? Dręczyła mnie nie tylko obawa o nich, ale i moja własna sytuacja. Gdyby istniało najslabsze prawdopodobieństwo, że mógłbym im pomóc, to z radością wróciłbym do wioski i spróbował to zrobić; ale z pewnością nie znalazłbym drogi powrotnej; a gdyby mi się to nawet udało, to praktycznie nie było żadnej szansy, że mógłbym im pomóc.

Ich utrata bardzo wiele dla mnie znaczyła i to nie z sentymentalnych przyczyn, bo liczyłem, że Kleeto doprowadzi mnie w pobliże Sari. Teraz – bez przewodnika i wyznaczonego kierunku – miałem niewielkie szanse powrotu do domu. Poza tym gnębił mnie lęk o los Dian. Uciekłem Azarianom, ale wcale mnie to nie cieszyło i być może w tej niekończącej się podróży czekał mnie jeszcze gorszy los.

ROZDZIAŁ 19

Wyobraźcie sobie, że jesteście mikroskopijnych rozmiarów mikroblem i że stoicie na piłce tenisowej, cudownym sposobem zawieszanej w kosmosie. Powierzchnia piłki opada we wszystkich kierunkach od punktu, w którym stoicie i nieważne gdzie spojrzycie, zawsze ujrzyście wyraźnie wytyczony horyzont. Nagle zostajecie przeniesieni do wnętrza piłki tenisowej, oświetlonego nieruchomym słońcem, wiszącym dokładnie pośrodku. Wewnętrzna powierzchnia piłki we wszystkich kierunkach zakrzywia się ku górze i nie będzie żadnego horyzontu. Tak właśnie było ze mną, kiedy stałem obok tej rzeki w Pellucidarze. Jakbym stał pośrodku wklęsłej misy średnicy jakichś trzystu mil. Powietrze było czyste, słońce jaskrawe i oszacowałem, że w tych warunkach sięgałem wzrokiem na jakieś sto pięćdziesiąt mil (choć w tak wielkiej odległości niczego wyraźnie nie było widać); skraj misy po prostu się rozmywał, zlewając się z mgiełką poza zasięgiem mojego widzenia.

W odległości stu mil dało się zauważyć pojedyncze drzewo na równinie; ale góry nie. A to dlatego, że pod wiekuistym południowym słońcem drzewo rzucało cień, a góra nie i ponieważ nie było nieba, tworzącego ostro kontrastujące tło góra wtapiała się w pejzaż za nią i wyglądała jak równina.

Powiedziałbym, że w wypatrzeniu drzewa na setnej mili bardzo mi pomagała wyobraźnia; lecz z łatwością odróżniłbym ziemię od wody, nawet na skraju mojej misy, bo woda mocniej odbijała słoneczny blask. Widziałem rzekę, na której brzegu stałem, jakieś pięćdziesiąt mil dalej uchodzącą do oceanu.

Byłem już przyzwyczajony do tych cech pellucidariańskiego pejzażu, lecz z łatwością możecie sobie wyobrazić, jak dziwacznie musiało to wyglądać dla Perry'go i dla mnie, kiedy po raz pierwszy przebiliśmy się tutaj z zewnętrznego świata. Lecz chociaż się do tego przyzwyczaiłem, to nigdy się w pełni nie pogodziłem z utratą horyzontu. Z jakiegoś powodu ciągle napawa mnie to frustracją; może z podświadomego poczucia, że powinienem widzieć dalej niż widzę. Poza tym pomimo olbrzymich rozmiarów mojej misy czuję, że cierpię na klaustrofobię. Jestem w misie, z której się nigdy nie wydostanę – bo choćbym nie wiem jak daleko powędrował, ani w jakim kierunku, to obrzeże misy stale się oddala w tym samym tempie. Na szczęście dla zdrowia i spokoju mojego umysłu nie pozwalam myślom długo się zajmować tą sprawą. I wspominam o tym wszystkim tylko dlatego, żeby dać ludziom z zewnętrznego świata trochę lepsze pojęcie o osobliwościach Pellucidaru, żebyście wyraźniej sobie wyobrazili dziwaczny świat, teraz dla mnie zupełnie zwyczajny.

Kiedy tak stałem w środku tej olbrzymiej misy, mając za towarzystwo tylko mastodonty, starałem się ułożyć jakiś logiczny plan.

Całkiem możliwe było, że masy wody, które widziałem w oddali, były tym wielkim oceanem, niezbadanym i nieznanym, mającym tyle nazw, ile plemion mieszka na jego brzegach. W jednej okolicy znałem go jako Lural Az, w innej jako Darel Az, a poniżej Krainy Straszliwego Mroku jako Sojar Az.

Jeśli słusznie rozumowałem, to mogłem iść jego brzegiem do Amoz i stąd do Sari.

Daleko na oceanie widziałem wyspy, tajemnicze wyspy, których sekretów pewnie nigdy nie poznam. Jakież dziwaczne zwierzęta i dziwni ludzie zamieszkują te szmaragdowe klejnoty, pływające na lazurowym morzu? Niedostępne i niepoznawalne zawsze pobudza moją wyobraźnię; i kolejny raz postanowiłem, że jeśli będę miał szczęście i powrócę do Sari, to zbuduję zdatny do żeglugi okręt i zbadam wody Pellucidaru.

Jak niewiele wiedziałem o tym lądzie, na którym spędziłem tyle lat! Kiedy się tu pierwszy raz pojawiłem, wypowiadałem się apodyktycznie o wielu sprawach, o których – jak teraz sobie uświadamiam – nie wiedziałem nic lub prawie nic. Zakładałem na przykład, że to co się mieściło w granicach mojego doświadczenia było typowe dla całego Pellucidaru. I tak uznawałem, że Mahary, te podobne do pterozaurów gady, dominujące w tym sektorze wewnętrznego świata, który znałem, dominują w całym Pellucidarze. Lecz teraz pojmuję, że tego nie wiem, bo powierzchnia pellucidariańskiego lądu jest przeogromna, a ja widziałem zaledwie maleńki skrawek.

Podobnie mój wniosek, że trzy czwarte powierzchni Pellucidaru stanowi ląd, co daje całkowitą powierzchnię lądu znacznie większą niż w zewnętrznym świecie, jest oparty wyłącznie na teorii Perry'ego, że depresje w zewnętrznym świecie są wypukłościami w wewnętrznym. Czyli ląd w

Pellucidarze z grubsza odpowiada oceanom w zewnętrznym świecie; lecz to tylko teoria i nie wiem, jak jest naprawdę.

Ze zdatnym do żeglugi statkiem i instrumentami nawigacyjnymi, które udało się zrobić Perry'emu, mógłbym się stać Kolumbem, Magellanem, kapitanem Cookiem i Balboą w jednej osobie. Dla żadnego przygód ducha była to kusząca perspektywa; lecz realizacja tego pomysłu była najdelikatniej mówiąc dość odległa, jako że w tej chwili nie znałem drogi do domu.

Szedłem z biegiem rzeki ku morzu póki nie znalazłem jaskini, w której mógłbym się przespać. Nazbierałem trochę jagód i wykopałem parę bulw, co częściowo zaspokoilo mój głód, a potem wczłgałem się do jaskini i zasnąłem.

Jak już powtarzałem (pewnie do znudzenia) nie miałem pojęcia jak długo spałem, ale kiedy wyszedłem z jaskini mastodontów nigdzie nie było widać i nie pojawiły się, chociaż wiele razy je wołałem – i już nigdy ich nie spotkałem.

Teraz faktycznie byłem sam i nigdy w życiu nie czułem się równie samotny. Obecność wielkich zwierząt nie tylko dawała mi poczucie bezpieczeństwa, ale i przynależności – a teraz czułem się jak ktoś, kto stracił ostatniego przyjaciela na całym świecie. Westchnąłem i obróciłem się ku wielkiemu morzu; zbrojny jedynie w mizerny kamienny nóż ponownie ruszyłem w niebezpieczną i niemal beznadziejną podróż do Sari.

Dość szybko znalazłem materiał na broń – i znowu zasiadłem do wykonania łuku, strzał i dzidy. Pracowałem wytrwale póki broń nie była gotowa. Oczywiście nie wiem, ile czasu mi to zajęło. Lecz byłem gotowy znowu zasnąć, kiedy skończyłem robotę. Nie macie pojęcia, z o ile większym poczuciem bezpieczeństwa patrzyłem w przyszłość – byłem znowu odpowiednio uzbrojony.

Kiedy zbliżałem się do rzeki, zobaczyłem w oddali liczne niskie pagórki. Najwyraźniej nic na nich nie rosło, co było dość dziwne w tym świecie bujnej tropikalnej zieleni. Lecz jeszcze bardziej pobudziło moją ciekawość, że kręciło się tam wiele zwierząt. Byłem za daleko, żeby je rozpoznać, ale z powodu ich liczebności uznałem, że to stado roślinożerców. Ponieważ od pewnego czasu nie jadłem mięsa ucieszyła mnie okazja ubicia któregoś i zacząłem podchodzić tak blisko jak mogłem, starając się, żeby mnie nie zobaczyły. Znalazłem odpowiednią osłonę w parowie rzeki – nie widziałem stąd nawet pagórków, toteż wiedziałem, że zwierzęta mnie nie zobaczą, póki się nie znajdę blisko nich.

Podchodziłem ostrożnie, najciszej jak się dało, póki nie wyczułem, że jestem niemal naprzeciwko pagórków; wtedy się wdrapałem na stromy brzeg rzeki i poczołgałem w wysokiej trawie do miejsca, z którego – jak liczyłem – będę miał lepszy widok na moją zdobycz. Trawa skończyła się nagle u stóp jednego z pagórków i kiedy się z niej wynurzyłem, trafiłem na scenę, która zaparła mi dech.

Pagórki były z patyków, kamieni i głazów i biegały po nich olbrzymie mrówki, wykonujące te same czynności – w odpowiednio kolosalnej skali – co ich małe kuzynki z zewnętrznego świata, a sporo razy obserwowałem, jak się trudzą. Stworzenia były przeogromne; ich ciała były długie na sześć stóp; najwyższy punkt głów znajdował się co najmniej trzy stopy nad ziemią – a co to były za głowy! Ogromne głowy wyglądały bardzo groźnie i dziko z tymi wielkimi oczami, giętkimi czułkami i potężnymi żuwaczkami.

Jeśli obserwowaliście w ogrodzie zwykłą mrówkę, niosącą ogromne ładunki – często wiele razy większe od niej – to możecie sobie wyobrazić przeogromną krzepę tych stworzeń. Liczne z nich dźwigały wielkie głazy,

które podniosłoby dopiero kilku mężczyzn. Widziałem też jedną z pniem sporego drzewa w żuwaczkach.

Teraz zrozumiałem, że to co brałem za pagórki było w rzeczywistości ogromnymi mrowiskami. U stóp wzgórz był splantowany teren, zajmujący wiele akrów; liczne mrówki zajmowały się tam rolnictwem, w co początkowo nie mogłem uwierzyć. Pracowały na symetrycznie wytyczonych polach, na których rosły rośliny i kwiaty. Rzędy były prościutkie, a rośliny posadzone w regularnych odstępach. Nie było ani jednego zielska; w niektórych rzędach, najwyraźniej niedawno wytyczonych, każdą roślinkę osłaniał przed gorącymi słonecznymi promieniami wielki liść.

Byłem tak zdumiony i zafascynowany, że przez jakiś czas obserwowałem te stworzenia, zajmujące się budownictwem i pielęgnujące zasiewy. Na polach niektóre z robotnic zbierały młode pędy roślin, a inne wybierały z kwiatów miód; potem niosły to wszystko do mrowisk. Strumienie mrówek bez przerwy płynęły do i od mrowisk. Nieustanna krzątanina i działalność.

Zauważyłem, że niektóre mrówki były większe od innych i że te większe nie pracowały. Potem dostrzegłem, że ich żuwaczki są o wiele potężniejsze niż robotnic – i uświadomiłem sobie, że to byli żołnierze, strzegący robotnic.

Było to bardzo ciekawe, ale dotarło do mnie, że nie mogę wciąż leżeć w trawie na brzuchu i przyglądać się działalności mrówek, choćby nie wiem jak pasjonującej. Nigdy bym nie napełnił brzucha mięsem, patrząc na pracujące mrówki. Westchnąłem ze smutkiem i wstałem, chcąc odejść. I to był niemal fatalny w skutkach błąd.

Kiedy leżałem spokojnie, prawie zasłonięty trawami, to mrówki mnie nie zauważały, lecz jak tylko wstałem, to od razu mnie dostrzegły. Nie

wiem, czy mnie widziały czy nie, bo pomimo swoich wielkich oczu mogły być ślepe jak niektóre gatunki mrówek. Lecz mrówki nie muszą widzieć, bo mają czułe narządy słuchu w głowie, trzech segmentach piersiowych i dwóch brzusznych oraz w goleniach nóg; poza tym ich anteny i czułki są bogato zaopatrzone w zębowate wypustki, połączone z zakończeniami nerwów, działającymi jako receptory węchowe. Toteż chociaż może i nie były w stanie mnie zobaczyć, to z pewnością mnie usłyszały i wywęszyły – tak czy owak wiedziały, że tam byłem i kilku wielkich żołnierzy ruszyło ku mnie.

Jedno spojrzenie na ich groźne oblicza i straszliwe żuwaczki zupełnie mi wystarczyło. Odwróciłem się, żeby uciec; ale rzut okiem przez ramię uświadomił mi, że się spóźniłem. Żołnierze pędzili za mną na swoich sześciu nogach o wiele szybciej niż mogłem biec. Byłem przyparty do muru! Trzeba było walczyć lub zginąć, a może walczyć i zginąć.

Gwałtownie się odwróciłem, jednocześnie nasadzając strzałę na cięciwę. Pierwsza strzała trafiła biegnącą na czele mrówkę prosto w wielkie oko i stworzenie padło w drgawkach na ziemię. Chwilę potem znowu posłałem dwie, jedna tuż za drugą. Lecz nic mi to nie dało. Pozostałe mnie dopadły i powaliły na ziemię.

Pamiętam, jak przemknęło mi wtedy przez myśl, że śmierć w końcu mnie dopadła i że umrę osamotniony i nikt nawet się nie dowie, jak i gdzie zginąłem. Moja piękna Dian, dobry stary Perry i liczni przyjaciele z wewnętrznego świata nigdy się nie dowiedzą.

Czekałem, aż para tych wielkich żuwaczek wydusi ze mnie życie. Dwa stworzenia wodziły po mnie czułkami, a potem jedno chwyciło mnie za plecy w okolicach krzyża – żuwaczki trzymały tylko z taką siłą, żeby mnie podnieść. Mrówka niosła mnie z równą łatwością, jakbym ja niósł kociaka; poruszała się tak chaotycznie jak czasem jej krewniaczki – zygzakiem;

często uderzała moją głową lub tarła moją stopę o jakieś przeszkody czy inne mrówki.

Inne mrówki tylko czasami zwracały na mnie uwagę, chociaż raz czy dwa mój porywacz się zatrzymał, a inna mrówka wodziła po mnie czułkami. Pomyślałem, że może to jakiś oficer lub wyższy funkcjonariusz. Może badali mnie sprawdzając kim jestem i dając instrukcje co do mojego losu.

Na koniec, po bezcelowym kręceniu się tu i tam, mój porywacz skierował się ku otworowi u podstawy mrowiska. Wejście nie było duże i miał kłopoty z przepchnięciem się przez nie ze mną w żuwaczkach. Dwa razy uderzył mną w ościeże, co nie było przyjemne, bo otwór był obudowany głazami. Starał się mnie przepchnąć, ale bez skutku i w końcu położył mnie na ziemi, chwycił za nogi i tyłem wszedł w wejście, wlokąc mnie.

Wtedy zrozumiałem, co czują muchy i gąsienice, które widywałem wciągane do mrowisk. Może – tak jak ja – rzucały jedno rozpaczliwe spojrzenie na piękny świat, który na zawsze opuszczały.

ROZDZIAŁ 20

Niewola to dola wystarczająco okropna; lecz niewola, która może się zakończyć wyłącznie śmiercią jest nieskończenie gorsza. A kiedy twoi porywacze są istotami, z którymi nie możesz się porozumieć, groza sytuacji wielokrotnie wzrasta. Gdybym mógł rozmawiać z tymi istotami, to mógłbym się dowiedzieć, co zamierzają ze mną zrobić. Może nawet udałoby się wytargować uwolnienie. Lecz w tej sytuacji mogłem tylko czekać na koniec. Mogłem jedynie podejrzewać, jaki on będzie; ale domyślałem się, że przyniesiono mnie tutaj jako pokarm.

Stworzenie wciągnęło mnie w głąb mrowiska i potem, wznoszącym się tunelem do obszernej kawerny, mieszczącej się tuż pod powierzchnią gruntu – wskazywał na to otwór w kopulastym stropie, przez który wpadał słoneczny blask.

Szybki rzut okiem – w komorze było sporo mrówek; trzy z nich, z ogromnie rozdętymi brzuchami, zwisały ze stropu, przyczepione doń stopami. Od czasu do czasu jakaś mrówka wchodziła przez otwór w stropie

i najwyraźniej wciskała coś do gardła którejś z tych wiszących; potem się dowiedziałem, że były to żywe zbiorniki miodu, dostarczające pożywienia pobratymcom i stworzeniom tuczonym na pokarm. Przypomniałem sobie, że jako chłopiec czytałem o istnieniu takich pojemników na miód w niektórych rodzinach mrówkowatych. I że ta wiadomość mnie zaintrygowała. Ale zawsze wyobrażałem sobie mrówki jako malutkie stworzonka – widok tych przeraźliwie rozdętych, zwisających z sufitu ciał był szczególnie odrażający.

Mój porywacz bezceremonialnie rzucił mnie na podłogę komory; potem podszedł do paru mrówek i podotykał się czułkami – jak potem odkryłem, w ten sposób mrówki się ze sobą komunikowały. Na koniec wyszedł z komory, a tamte robotnice pozornie nie zwracały na mnie uwagi.

Ma się rozumieć, myślałem o ucieczce. Widząc, że mrówki są zajęte swoimi sprawami, ostrożnie ruszyłem ku otworowi, przez który mnie tu wciągnięto. Byłem pełen nadziei, bo wiedziałem, że znajdę wyjście z mrowiska; istniała szansa, że uda mi się uciec, jeżeli będę się poruszał powoli i ostrożnie, żeby nie przyciągnąć uwagi mrówek, pracujących poza mrowiskiem. Lecz jak tylko się znalazłem przy otworze, to dopadła mnie jedna z mrówek, chwyciła żuwaczkami i z powrotem wciągnęła do komory.

– Nie marnuj energii – powiedział jakiś głos z cienia w pobliżu ściany. – Nie uciekniesz.

Popatrzyłem w stronę, z której dobiegał głos i zobaczyłem w pobliżu jakąś skuloną pod ścianą postać.

– Ktoś ty? – zapytałem.

– Więzień jak i ty – odparł głos.

Zbliżyłem się do postaci, bo ten ludzki głos natchnął mnie nową odwagą i nową nadzieją. Chociaż właściciel głosu był obcym i bez wątpienia wrogiem, to będzie mi towarzyszem; a wśród tych milczących,

groźnych owadów obecność kogoś z mojego gatunku była wprost bezcenna.

Mrówki nie zwracały na mnie uwagi, kiedy podchodziłem do współwięźnia, bo nie zbliżałem się do wyjścia; i na koniec znalazłem się tak blisko, że go zobaczyłem. Nic dziwnego, że go wcześniej nie zauważyłem, bo w zacienionej części komory, tuż przy ścianie, wydawał się czarny jak noc. Potem się przekonałem, że jego skóra miała lekki odcień miedzi.

– Jesteś jedynym innym więźniem? – zapytałem.

– Tak – odparł. – Innych pożarły. Teraz pewnie przyjdzie moja kolej; chociaż może się okazać, że twoja.

– Można stąd uciec? – dociekałem.

– Nie. Powinieneś wiedzieć. Dopiero co spróbowałeś i się nie udało.

– Nazywam się David. Jestem z Sari.

– A ja U-Val. Pochodzę z Ruvy.

– Zaprzyjaźnijmy się – zaproponowałem.

– Czemu nie? Otaczają nas wrogowie i wkrótce możemy być martwi.

Kiedy rozmawialiśmy, przyglądałem się, jak któraś z mrówek bierze miód z jednego ze zwisających z sufitu pojemników z miodem. Patrzyłem, jak schodzi po ścianie i idzie ku nam; potem, ku mojemu zdumieniu, skoczyła na mnie, powaliła mnie na podłogę i – przytrzymując – wcisnęła mi miód w usta. Zmusiła mnie również, żebym go połknął. Kiedy to wymuszane karmienie się skończyło, poszła sobie.

Kaszlałem i plułem, a U-Val się śmiał.

– Przyzwyczaisz się do tego – zapewnił. – Tuczą cię na jedzonko i nie pozwolą, żebyś sam wybrał rodzaj i ilość swojego pokarmu. Dokładnie wiedzą, co powinieneś dostać, w jakiej ilości i co jaki czas, żeby otrzymały

najlepsze rezultaty. Będą cię też karmić ziarnem, częściowo przetrawionym i wyplutym. Jest bardzo smaczne i tuczące. Posmakuj ci.

– Zwymiotuję – powiedziałem z obrzydzeniem.

Wzruszył ramionami.

– Pewnie tak, na początku. Ale raz dwa się przyzwyczaisz.

– Jeżeli nie będę jeść, to się nie utuczę i może wtedy mnie nie zabiją – powiedziałem.

– Nie bądź tego taki pewien. Myślę, że tuczają nas dla królowej i jej młodych, albo może dla wojowników. Jeśli nie przytyjemy, to pewnie rzucają nas niewolnicom i robotnicom.

– Uważasz, że zjedzenie przez królową daje jakąś korzyść?

– Mnie to nie robi różnicy.

– Może ktoś by się uznał za ważniejszego.

– Jaja sobie robisz?

– No jasne.

– My w Ruva rzadko żartujemy i z pewnością tutaj nie jest mi do śmiechu. Mam umrzeć, a nie chcę umierać.

– Gdzie jest Ruva?

– Nigdy o Ruvie nie słyszałeś?

– Nie.

– To bardzo dziwne. To najważniejsza wyspa spośród Wysp Pływających.

– A gdzie one są?

– A gdzież może wyspa pływać? Na morzu, rozumie się.

– Ale na jakim morzu i gdzie?

– Na Bandar Az – wyjaśnił. – Jest tu jakieś inne morze?

– Hmm, widziałem Korsar Az, Sojar Az, Darel Az i Lural Az. Są i inne, o których nie słyszałem, ani ich nie widziałem.

– Jest tylko jedno morze: Bandar Az – stwierdził U-Val. – Słyszałem, że gdzieś daleko żyją ludzie, co je nazywają Lural Az, ale to nie jest właściwa nazwa.

– Skoro żyjesz na wyspie, to jak zostałeś więźniem na lądzie?

– Ruva czasami pływa w pobliżu lądu i wtedy zapuszczamy się na brzeg, żeby polować dla mięsa. którego na wyspach mamy niewiele, albo zbierać owoce i orzechy, które na wyspach nie rosną. Jeśli mamy szczęście, to zabieramy ze sobą trochę mężczyzn i kobiet na niewolników. Kiedy mnie porwano polowałem na lądzie.

– Założmy, że uciekłbyś...

– Nie ucieknę.

– Ale założmy, że tak. Potrafiłbyś odnaleźć Ruwę? Może nie odpłynęła.

– Tak, ale odszukałbym moje kanu. Gdybym go nie znalazł, to bym zbudował drugie i wtedy mógłbym popłynąć za Ruwą. Porusza się bardzo wolno w powolnym prądzie. Popłynąłbym jej śladem i dogonił ją.

Mrówki zajmowały się nami tylko w porze karmienia i czas się naprawdę włókł. Nauczyłem się jeść – bez wymiotowania – pokarm, który we mnie wmuszały i przypominam sobie, że wiele razy spałem. Monotonia stała się niemal nie do zniesienia i zaproponowałem U-Valowi, żebyśmy spróbowali uciec – bo skoro i tak mają nas zabić, to lepiej, żebyśmy zginęli przy próbie ucieczki. U-Val się ze mną nie zgodził.

– I tak wkrótce umrę – powiedział. – Nie chcę tego przyspieszać.

Pewnego razu do komory weszła uskrzydłona mrówka i wszystkie się wokół niej zebrały. Dotykały przybysza i siebie nawzajem czułymi antenami.

– O nie! – wykrzyknął U-Val. – Jeden z nas wkrótce umrze.

– Skąd wiesz? Co masz na myśli?

– Ta ze skrzydłami przyszła wybrać posiłek, prawdopodobnie dla królowej, albo dla wojowników; a skoro jesteśmy tu jedynymi więźniami, będzie to jeden z nas, lub obydwaj.

– Zamierzam walczyć.

– Czym? Tym małym kamiennym nożem? Mógłbyś zabić parę z nich, ale nic by ci to nie dało. Jest ich za dużo.

– Będę walczyć – upierałem się. – Nie zamordują mnie bez walki.

– W porządku – oznajmił U-Val. – Jeśli chcesz walczyć, to i ja będę się bić, ale nic nam to nie da.

– Dobrze mi zrobi zabicie paru tych piekielnych stworów.

Uskrzydłona mrówka chwilę pogadała z pobratymcami, a potem podeszła do nas; wodziła po nas czułkami i niekiedy podszczypywała żuwaczkami. Skończyła badanie i wróciła gadać z innymi mrówkami.

– Uważam, że jesteś tłusciejszy i bardziej miękki – powiedział U-Val.

– Czyli masz taką nadzieję – ja na to.

– No cóż, pewnie, że nie chcę patrzeć jak umierasz, ale i sam nie chcę umrzeć. Którego z nas by nie wybrały, będę walczyć, jak zasugerowałeś.

– Przynajmniej choć trochę się zemścimy, zabijając jedną lub dwie.

– Tak, to już by było coś.

Uskrzydłona mrówka wyszła z komory, a wkrótce potem weszli dwaj wielcy żołnierze. I znowu było dotykanie się czułkami, po którym jedna z mrówek poprowadziła żołnierzy ku nam. Podeszła wprost do U-Vala i dotknęła go czułkami.

– Czyli ja – powiedział U-Val.

– Jak zaczną cię zabierać, łap za nóż, a ja ci pomogę.

Mrówka, która przyprowadziła żołnierzy, odeszła do własnych zajęć, a jeden z żołnierzy ruszył ku U-Valowi z otwartymi żuwaczkami.

– TERAZ! – zawołałem, dobywając kamiennego noża.

ROZDZIAŁ 21

Kiedy wojownik już miał pochwycić U-Vala, ten uderzył kamiennym nożem i odciął jedną z czulek. W tej samej chwili ja doskoczyłem z boku i wbiłem mu nóż w brzuch. Natychmiast odwrócił się ku mnie, usiłując mnie pochwycić jedną z żuwaczek; a U-Val znowu uderzył przebijając jedno z oczu. Ja raz za razem – kilkakrotnie – dźgnąłem go nożem. Upadł na bok, wijąc się i drgając. Musieliśmy się szybko wycofać, żeby uniknąć uderzeń jego krzepkich nóg.

Drugi wojownik podszedł do kolegi i dotykał go czułkami; potem się cofnął, najwyraźniej dezorientowany. Lecz w jakiś sposób musiał się porozumieć z innymi mrówkami w komorze, bo natychmiast zrobiły się bardzo podenerwowane, biegały tam i z powrotem, aż w końcu gromadnie ruszyły na nas.

Wyglądały przerażająco. W ich całkowitym milczeniu i okropnych, pozbawionych wyrazu obliczach czaiła się groźba nie do opisanía.

Już niemal nas dopadły, kiedy z sufitu zaczęły spadać do komory głązy i gruz. Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że coś szarpie za obrzeża otworu i szybko go powiększa. Jedna ze „zbiornic miodu” zleciała na podłogę i pękła. W otworze w suficie pokazał się długi mechaty nos i do komory wepchnął się długi cienki język, zlizując mrówki; spadały kolejne odłamy stropu, powiększając zamęt, jaki nagle zapanował. Wydawało się, że mrówki całkiem o nas zapomniały; rzuciły się do wyjścia do tunelu. W panice wpełzały jedna na drugą, blokując wyjście – a wielki jęzor bez przerwy je zlizywał i spadało coraz więcej stropu.

Obaj z U-Valem pobiegliśmy na drugą stronę komory i przycupnęliśmy pod ścianą, żeby się uchronić przed spadającymi głazami. Na górze zwierz szarpał potężnymi pazurami, coraz bardziej poszerzając otwór. Długi, mocny jęzor badał każdy zakamarek komory. Dwukrotnie dotknął i nas, ale za każdym razem dał nam spokój, szukając tylko mrówek. Kiedy już ani jedna nie została, jęzor i głowa cofnęły się z wielkiej dziury, jaką stworzenie zrobiło w szczycie mrowiska. Komora była pełna gruzu, sięgającego do skraju wielkiej wyrwy w stropie. Powstała droga ucieczki; a w zasięgu wzroku nie było ani jednej mrówki.

– Wynośmy się stąd, zanim mrówki się otrząsną z szoku – powiedziałem do U-Vala.

Razem wdrapaliśmy się na kupę gruzu i kiedy znowu się znaleźliśmy na świeżym powietrzu, nie zobaczyliśmy ani jednej mrówki. Za to był tam ogromny mrówkojad, wielki jak słoń, kopiący w innej części mrowiska. Wyglądał niemal identycznie jak południowoamerykański mrówkojad z zewnętrznego świata, lecz odpowiednio większy, bo przecież się żywił ogromnymi mrówkami.

Razem z Perrym często się zastanawialiśmy nad zadziwiającym podobieństwem pomiędzy zwierzętami Pellucidaru i zewnętrznego świata.

Perry stworzył mającą to wytłumaczyć teorię; moim zdaniem opartą na logicznym rozumowaniu. Udowodniono, że w przeszłości w obecnych rejonach arktycznych panował tropikalny klimat. Perry uważał, że wtedy zwierzęta swobodnie przechodziły przez polarne wejście ze świata zewnętrznego do wewnętrznego. Jak by nie było, mieliśmy tu ogromnego mrówkojada i to jemu zawdzięczaliśmy życie.

Razem z U-Valem, pod wpływem tego samego impulsu, szybko się oddaliliśmy od mrowisk, w stronę oceanu. Powiedziałbym, że znikąd nie odchodziłem z takim poczuciem ulgi; nawet z wioski Meezy, króla Jukanów.

U-Val przystanął na linii wody i zapatrzył się na ocean; osłaniał oczy dłonią, wpatrując się w dal. Spojrzałem tam, gdzie i on i uderzyła mnie zmiana w wyglądzie morza, od kiedy je ostatnio widziałem.

– To dziwne – odezwałem się.

– Ale co? – zapytał U-Val.

– Kiedy ostatni raz patrzyłem na powierzchnię wody, to tam były wyspy. Wyraźnie je widziałem, nie mogłem się mylić.

– Nie myliłeś się – odparł U-Val. – To były Pływające Wyspy, a jedną z nich jest Ruva.

– I teraz już nigdy nie ujrzysz znowu swojej krainy – powiedziałem. – To smutne.

– Rozumie się, że znowu ją zobaczę. O ile nie zginę w podróży powrotnej.

– Ale nawet gdybyś miał łódkę, to skąd byś wiedział, w którym kierunku płynąć? – Zawsze będę wiedzieć, gdzie jest Ruva, bez względu na to gdzie jest. Nie wiem jak to się dzieje, po prostu wiem – wskazał palcem. – Jest dokładnie tam, poza zasięgiem naszego wzroku.

Oto nowy przykład instynktu naprowadzającego, wrodzonego wszystkim Pellucidarianom. Oto człowiek, którego kraina pływała tu i tam po wielkim oceanie, zdana na łaskę fal, prądów i wiatru; lecz gdzie by nie była, U-Val – mając środek transportu – popłynąłby wprost ku niej (a przynajmniej tak uważał). Ciekaw byłem, czy to prawda.

Miejsce na wybrzeżu, w którym U-Val zostawił swoją łódź, znajdowało się tam, gdzie zamierzałem pójść. Toteż poszedłem z nim jej szukać.

– Jeśli jej tam nie ma – powiedział – będę musiał zbudować drugą. W tym czasie Ruva odpłynie dalej. Mam nadzieję, że znajdę moją łódkę.

I znalazł tam gdzie ją ukrył – wśród wysokich trzciny w wąskiej zatoczce.

U-Val powiedział, że zanim wyruszy w długi rejs na poszukiwanie Ruy, musi zrobić sporo dzid. W czasie podróży pewnie będzie wiele razy atakowany przez morskie potwory, a tylko długa dzida dawała jakie takie szanse sukcesu.

– Powinniśmy ich mieć bardzo wiele – stwierdził.

– My? – powtórzyłem. – Nie płynę z tobą.

Zdziwił się.

– Nie? A gdzie pójdziesz? Powiedziałeś mi, że nie wiesz jak odnaleźć drogę do swojej krainy. Lepiej płyn ze mną.

– Nie. Wiem, że Sari nie leży pośrodku oceanu i że jeśli się tam zapuszczę to nigdy go nie znajdę. Za to jeśli się będę trzymać wybrzeża, to mogę w końcu tam trafić. O ile jest właściwy ocean.

– Nie tak to zaplanowałem – powiedział i wydało mi się, że zabrzmiało to dość ponuro.

– Zostanę z tobą, póki nie odpłyniesz, bo muszę zrobić sobie broń: krótką dzidę, łuk i strzały.

Zapytał, co to takiego łuk i strzały, bo nigdy o nich nie słyszał. Uznał, że mogłyby być poręczne i nawet lepsze niż włócznia.

I znowu zabrałem się za wyrób broni. Może się wam wydawać, że miałem pecha ze swoim orężem, bo stale go traciłem; lecz wytwarzanie go wymagało niewiele wysiłku, bo było dość prymitywnie wykonane. Zawsze jednak dobrze mi służyło, a przecież tylko to się liczy.

U-Val stale wracał do pomysłu, żebym mu towarzyszył. Wydawał się co do tego zdecydowany i bez przerwy mnie namawiał, żebym zmienił zdanie. Nie mogłem zrozumieć, czemu tak usilnie nalega, bo nigdy niczym nie zdradził, że się do mnie choć odrobinę przywiązał. Przypadek nas połączył i ktoś mógłby co najwyżej powiedzieć, że nie byliśmy wrogami.

U-Val był przystojnym facetem. W jaskrawym słońcu był smolście czarny, z miedzianym odcieniem. Rysy miał regularne i w ogóle był miły dla oka. Pierwsze człowiekowate istoty, jakie zobaczyłem, kiedy po raz pierwszy przebiliśmy się tu z Perrym z zewnętrznego świata, miały czarną skórę – lecz to były nadrzewne istoty z długimi ogonami, znajdujące się nisko na skali ludzkiej ewolucji. U-Val bardzo się od nich różnił i powiedziałbym, że inteligencją dorównywał ludziom ze wszystkich białych ras, jakie spotkałem na Pellucidarze.

Kiedy skończyłem z bronią, pomogłem mu w zrobieniu tych jego włóczni, jako że obiecałem, iż zostanę z nim póki nie odpłynie. W końcu broń była gotowa, a łódź załadowana wodą i żywnością. Tę pierwszą przechowywał w segmentach dużych, podobnych do bambusów, roślin; utrzymywał, że woda nigdy nie straci w nich świeżości. Zapasy żywności składały się z bulw i orzechów; a dietę urozmaicał ryby, jakie upoluje włócznią podczas rejsu.

Kiedy wszystko było gotowe, zaproponował, żebyśmy się przesпали zanim się rozdzielimy, żebyśmy obaj wypoczęci zaczęli podróż.

Tuż przed obudzeniem się śniłem o Dian; ujęła moje dłonie i potem, w jednej w tych dziwacznych przemian, zdarzających się w snach, stała się policjantem z Hartford w Connecticut, skuwającym mi ręce za plecami. Obudziłem się kiedy kliknął zamek.

Leżałem na boku, nade mną stał U-Val. Chwilę później całkiem oprzytomniałem i stwierdziłem, że ręce mam związane za plecami. Początkowo nie mogłem zrozumieć, co mi się przydarzyło. Sen wciąż trwał w mojej pamięci. Ale co robił w nim U-Val? Nie pasował do sceny z gliną z Hartford w Connecticut – no i gdzie się podział ten glina? Gdzie była Dian?

W końcu w głowie mi się rozjaśniło i dotarło do mnie, że nadal jestem tylko z U-Valem; i że to on musiał mi związać ręce za plecami. Ale dlaczego?

– U-Valu – zapytałem – co to ma znaczyć?

– To znaczy, że płyniesz ze mną na Ruvę – odparł.

– Ale ja nie chcę tam płynąć.

– Dlatego związałem ci ręce. Teraz musisz płynąć. Nic na to nie możesz poradzić.

– Ale czemu chcesz, żebym z tobą popłynął?

U-Val przez chwilę się zastanawiał, a potem powiedział:

– Nie ma powodu, żebyś nie popłynął, skoro nie możesz temu zapobiec. Zabieram cię na Ruvę jako swojego niewolnika.

– Tam, skąd pochodzę, byłbyś kanalią.

– Co to „kanalia”? – zapytał, bo użyłem angielskiego słowa, którego, rzecz jasna, nie rozumiał.

– Prawie nią jesteś. Kanalia ma choć trochę przyzwoitości; tak sędzę, chociaż tego nie wiem. Ty nie masz ani odrobiny. Zaakceptowałeś moją przyjaźń. Razem cierpieliśmy, uwięzieni i obu nam groziła śmierć. Razem walczyliśmy ze wspólnym wrogiem o wolność. Razem uciekliśmy. A teraz

związałeś mnie kiedy spałem i chcesz zabrać do swojej krainy jako niewolnika.

– Co w tym złego? Nie jesteś Ruvaninem, czyli jesteśmy wrogami. Powinieneś być zadowolony, że cię nie zabiłem podczas snu. Pozwoliłem ci żyć, bo mężczyzna z niewolnikami jest na Ruvie kimś ważnym. Teraz, kiedy mam niewolnika, pewnie znajdę sobie kobietę. Na Ruvie żadna kobieta, którą warto mieć, nie zejdzie się z mężczyzną nie mającym niewolników. Niewolnika może pojmać tylko dzielny mężczyzna i znakomity wojownik.

– Tak jak ty mnie?

– Nie muszę im mówić, jak cię schwytałem.

– Ale ja mogę im powiedzieć.

– Ale tego nie zrobisz.

– Niby czemu?

– Bo mężczyzna może zabić marnego niewolnika.

– Nie zawsze będę mieć ręce związane z tyłu.

– Tak czy inaczej, z pomocą przyjaciół, mogę cię zabić, jeżeli im o tym opowiesz.

– Nie nakłamię.

– Lepiej, żebyś nic nie powiedział. Chodź! Ruszamy. Wsiadaj! – kopnął mnie w żebra; byłem wściekły, ale bezradny.

Nie jest łatwo wstać, kiedy ma się ręce związane za plecami, lecz pomagając sobie głową, barkiem i łokciem, podniosłem się najpierw na kolano, a potem na nogi.

U-Val popchnął mnie – niezbyt łagodnie – ku łodzi.

– Właź! – rozkazał.

Usiadłem w łodzi, U-Val odbił i zajął miejsce na rufie. Wielkim wiosłem wyprowadził kruchy stateczek z zatoczki na otwarte morze. I tak zaczęła się podróż po niezbadanym oceanie – w kruchym stateczku, bez kompasu i sekstansu – ku celowi nieustannie zmieniającemu swoje położenie.

ROZDZIAŁ 22

Kiedy tak się przyglądałem bezkresowi oceanu i kruchemu stateczkowi, który miał nas dowieźć do naszego umykającego celu, nie dałbym U-Valowi złamanego grosza za jego niewolnika. Prawdę powiedziawszy, bardziej byłem kulą u nogi niż pomocą, balastem, który U-Val musiał transportować. Lecz doceniałem – choć nie bez „ale” – jego zaradność.

Oddaliliśmy się może z milę od lądu, kiedy z głębin wynurzył się niewielki jaszczur; wypatrzył nas swoimi wrednymi oczkami i ruszył na nas z rozdziawioną paszczą, wyginając długą szyję, a woda spływała ze śliskiej skóry. Wyglądał przerażająco i chociaż nie należał do któregoś z większych gatunków, to wiedziałem, że był równie groźny na jakiego wyglądał i mógł zakończyć nasz rejs niemal zanim się na dobre zaczął.

Już przedtem spotykałem te okropne stwory i wiedziałem czego się można spodziewać po ślepych i bezsensownym okrucieństwie. Te istoty są bezmyślnymi niszczycielami, zabijają najwyraźniej dla samego zabijania.

Muszę jednak przyznać, że nigdy nie są w stanie zaspokoić swojego wilczego głodu i zjadają niemal wszystko co zabijają.

Związany i bezradny na dziobie łódeczki, łatwo bym się stał łupem zabójcy, który bez wątpienia by mnie wyłuskał i pożarł. Takie oto myśli przelatywały mi przez głowę, kiedy jaszczur parł na nas. Lecz cała ta sytuacja miała w sobie coś, co mi kompensowało nawet utratę życia i nie oparłem się pokusie, żeby to w pełni wykorzystać.

– Lada chwila stracisz niewolnika! – zawołałem do U-Vala. – I nikt się nigdy nie dowie, że go miałeś. Bycie kanalią nie popłaca, U-Valu.

Nie odpowiedział. Jaszczur był już o jakieś sto stóp i szybko się zbliżał, sycząc niczym nieszczelny zawór parowy. Kanu było ustawione burtą do niego.

U-Val obrócił łódkę, zwracając ku atakującemu gadowi rufę, gdzie siedział. Potem pochwycił jedną z długich dzid i wstał.

Niechętnie to przyznaję, ale z pewnością wyglądało na to, że U-Val miał mnóstwo odwagi i bez wątpienia nie zamierzał bez walki oddać swojego niewolnika.

Jaszczur parł wprost na niego. U-Val wycelował swoją dwudziestostopową dzidę i kiedy stwór był jakieś piętnaście stóp od łódki, wbił ją głęboko w cielsko gada. Uczynił to z umiejętnością i pewnością ręki zawodowego matadora, zadającego bykowi *coup de grace*.

Może z pół minuty jaszczur się miotał, próbując dosięgnąć U-Vala, lecz ten, trzymając swój koniec dzidy, umiejętnie utrzymywał kanu na prostym kursie przed stworem – i wszystkie jego wysiłki, żeby nas dopaść, tylko dodawały szybkości łódeczce. Na koniec zadygotał konwulsyjnie i obrócił się brzuchem do góry, martwy. Czubek dzidy U-Vala przebił mu serce.

Gdyby to było wyżej rozwinięte stworzenie, to by szybciej umarło. To naprawdę zadziwiające, jak długo świadomość nawet śmiertelnych ran

dociera do mózgu niektórych niżej rozwiniętych stworzeń Pellucidaru. Widziałem lidi, boleśnie zranione w ogon i przez całą minutę kompletnie tego nieświadome; lecz niekiedy koniec ogona lidi od małego mózdzku na drugim końcu wielkiego cielska dzieli sześćdziesiąt stóp.

U-Val przyciągnął martwego jaszczura do burty kanu i kamiennym nożem odkroił trochę mięsa. Zanim skończył, w wodzie zaroilo się od straszliwych, mięsożernych ryb i gadów, zwabionych obietnicą posiłku. Walczyły nad padliną jaszczura, a U-Val chwycił wiosło i odsunął łódeczkę, jak najdalej od nowych zagrożeń. Potem, kiedy już się znaleźliśmy w bezpiecznej odległości, odłożył wiosło i pociął mięso jaszczura na paski, które nabił na jedną z dzid, żeby schły w słońcu.

Przez cały czas słowem się do mnie nie odezwał. Znowu wiosłował, a ja się skuliłem w swoim schronieniu i zasnąłem. Niech pan wiosłuje ku brzegowi, pomyślałem sennie tuż przed zaśnięciem.

Kiedy się obudziłem, lądu nie było widać. U-Val miarowo wiosłował długimi, mocnymi pociągnięciami i wydawał się zupełnie niezmęczony. Musiałem długo spać, bo ląd odległy o sto, może sto pięćdziesiąt mil byłby widoczny, jako że powietrze było przejrzyste. Z grubsza licząc, powiedziałbym, że U-Val musiał wiosłować co najmniej piętnaście godzin – prowadząc dwudziestostopową łódź, ciężko wyładowaną. Siła i wytrzymałość ludzi z morskich plemion Pellucidaru są naprawdę zdumiewające.

Kanu było wspaniale zaprojektowane, było też szybkie. Chociaż wyciosano je z pojedynczego pnia drzewa, było nadzwyczaj lekkie. Dno miało odrobinę więcej niż cal grubości; potem grubość rosła do górnych części nadburcia, rozchylających się na zewnątrz i wynosiła tam cztery cale. Kadłub był gładki jak szkło. Nie mam pojęcia, jakim cudem osiągnęli taką doskonałość, mając bardzo proste narzędzia.

Drewno drzewa, z którego wyciosano kanu, jest tak twarde jak kute żelazo i bardzo oleiste, która to cecha ułatwia sunięcie po wodzie.

Ładunek był umieszczony w śródkręciu i przykryty olbrzymimi liśćmi podobnego do palmy drzewa z dżungli. Każdy z nas też miał osłonę z tych liści, którą w razie potrzeby można było szybko spuścić. A przynajmniej U-Val mógł opuścić swoją; mając związane ręce rzecz jasna nie mogłem opuścić mojej. Zawsze kusi schowanie się przed wiecznie tkwiącym w zenicie słońcem, które już dawno spiekło mnie na kolor mieszkańca wysp południowych. Wkrótce po potyczce z jaszczurem U-Val odłożył wiosło i podszedł do mnie.

– Zamierzam rozwiązać ci ręce, niewolniku. Będziesz wiosłować. I pomagać mi, jeśli zaatakuje nas któreś z większych zwierząt, na przykład azdyryth. Ta część kanu to twoje stałe miejsce. Zabiję cię, jeżeli przejdiesz na rufę. Będę cię wiązać tylko wtedy, kiedy zachce mi się spać. Bo inaczej mógłbyś mnie zabić.

– Nie musisz mnie wiązać, jak będziesz spać. Obiecuję, że cię wtedy nie zabiję. Mogłoby nas coś zaatakować i nie miałbyś czasu, żeby mnie uwolnić. Mógłbym ci być bardzo potrzebny.

Rozmyślał nad tym przez chwilę i w końcu przyznał, że mam rację.

– Tak czy owak nic byś nie zyskał, gdybyś mnie zabił, bo mógłbyś już nigdy nie odnaleźć drogi na ląd. Nikt nie wie, jak daleko sięga Bandar Az. Może nie ma przeciwległego brzegu. Wielu tak sądzi. Nie, nie ośmieliłbyś się mnie zabić.

– Obiecałem, że cię nie zabiję jak będziesz spać; ale pewnego dnia to uczynię; nie dlatego, że mnie uwięziłeś w okolicznościach, które same w sobie są wystarczającym powodem, lecz dlatego, że mnie kopnąłeś, kiedy leżałem związany i bezradny. Za to cię zabiję, U-Valu.

Skończył przecinać więzy na przegubach i wrócił na swoje miejsce, ani słowem nie komentując tego, co powiedziałem. Rzekł tylko:

– Pod liśćmi pango, z przodu, jest wiosło. Chwytaj za nie, niewolniku i wiosłuj. Ja będę sterować.

Najpierw chciałem odmówić, ale nie widziałem po temu dobrego powodu; poza tym bardzo by się przydał jakiś wysiłek po długim leżeniu w mrowisku i tuczeniu ziarnem i miodem – toteż chwyciłem za wiosło i zabrałem się do roboty.

– Szybciej! – rozkazał U-Val. – Szybciej, niewolniku!

Powiedziałem mu, gdzie ma sobie pójść; i nie było to niebo.

– Przydałoby ci się porządne lanie – warknął i ruszył ku mnie z kawałkiem bambusa w garści.

Rzuciłem wiosło i chwyciłem jedną z długich dzid.

– No dalej, U-Valu! – zawołałem. – Chodź i zbij swojego niewolnika!

– Odłóż tę dzidę! – rozkazał. – Niewolnikowi nie wolno się tak zachowywać. Czyżbyś nie wiedział?

– Nie wiem, jak to jest być niewolnikiem – przyznałem. – A przynajmniej nie takiej głupiej szmaty jak ty. Gdybyś miał trochę rozumu, to żaden z nas nie musiałby wiosłować. I czemu teraz nie podchodzisz i nie sprawiasz mi lania? Bardzo bym chciał, żebyś spróbował.

– Odłóż tę dzidę, to spróbuję.

– Wracaj na swoje miejsce i siadaj. Wracaj i siadaj.

Przemyślał sprawę i najwyraźniej uznał, że jeśli chce żywego niewolnika albo żywego pana, to lepiej, żeby nie przeginał. Wrócił na rufę i usiadł. Ja też usiadłem, ale nie wiosłowałem.

Po jakimś czasie podniósł swoje wiosło i zabrał się do roboty, ale go to wyraźnie wkurzało. Nie był zbyt bystry i nie bardzo wiedział, jak powinien

postępować z krnąbrnym niewolnikiem, bo nigdy żadnego nie miał. Lecz najbardziej intrygowały go moje słowa, że to głupie, by którykolwiek z nas wiosłował.

W końcu przerwał milczenie i zapytał:

– Jak można gdziekolwiek dotrzeć bez wiosłowania?

– Żeglując.

Nie wiedział, co miałem na myśli, bo w języku pellucidariańskim nie ma odpowiednika słowa „żeglować”. Jeszcze nie osiągnęli tego szczebla rozwoju. Mieli kamienne narzędzia, nauczyli się rozpalać ogień – lecz ich najtęższe umysły jeszcze nie wymyśliły żeglowania.

Mieliśmy stały wiatr, wiejący w kierunku, w którym wiosłował U-Val. Toteż nie widziałem powodu, byśmy tego nie wykorzystali, bo w końcu wiosłowanie pod słońcem w zenicie to nie przelewki.

– Co to żeglowanie? – zaciekawiał się.

– Pokażę ci. Daj mi trochę tej liny z trawy, którą tam masz.

– Po co?

– Daj mi, a pokażę. Chcesz, żeby kanu sunęło bez wiosłowania, czy wolisz machać wiosłem? Dla mnie to bez różnicy, bo i tak nie zamierzam wiosłować.

– Słuchaj no! – wrzasnął. – Mam tego dość! Nie rozumiesz, że jesteś moim niewolnikiem? Nie rozumiesz, że musisz wiosłować, jeżeli ci każę? Jeśli nie będziesz wiosłować, to podejść do ciebie i znowu cię związę i sprawię ci porządne lanie, bo bardzo ci się przyda.

– Nie będę wiosłować, a ty mnie nie zbijesz. Jeśli się zbliżysz, przebiję cię dzidą. Rzuć tę linę i przestań robić z siebie idiotę. Chcę ci pokazać coś, co oszczędzi ci mnóstwa ciężkiej pracy.

Dalej wiosłował, a jego wściekły grymas zwarzyłby śmietanę. Wiatr się nasilił. Kanu unosiło się i opadało, wpływając na szczyty fal i opadając

po między nie. Słońce prażyło z bezchmurnego nieba. Z U-Vala lał się pot. W końcu odłożył wiosło i bez słowa rzucił mi zwój liny.

Nie było łatwo w pojedynkę zrobić ożaglowanie. Ale w końcu – dzidami, paroma prętami bambusa, liną z trawy i kilkoma liśćmi pangosa – udało mi się zrobić „żagle”, mogące łapać wiatr. Kanu natychmiast wystrzeliło do przodu, tnąc fale w znakomitym stylu.

– Steruj! – zawołałem do U-Vala; a on zaczął wiosłować.

– Nie wiosłuj! – pouczyłem go. – Włóż na rufie wiosło do wody, brzegiem do góry, potem obróć je najpierw w jedną, potem w drugą stronę i sprawdź, co się stanie. Potem będziesz wiedzieć, jak sterować.

Sterował jak należy, ale tak się zdumiał, że kanu płynie bez wiosłowania, że mu się zrobił mętlik w głowie. Mimo to sterował; ale długo się nie odzywał.

Na koniec zapytał:

– A gdyby wiatr wiał z innego kierunku?

– To byś musiał wiosłować. Gdybyś miał odpowiednio zbudowaną łódź, to mógłbyś płynąć niemal pod wiatr.

– Mógłbyś zbudować takie kanu?

– Mógłbym pokazać ci, jak to zrobić.

– Będziesz bardzo cennym niewolnikiem. Pokażesz mi, jak zbudować kanu, co popłynie bez wiosłowania.

– Póki jestem niewolnikiem, niczego cię nie nauczę.

ROZDZIAŁ 23

Nie wiem, jak długo trwała podróż. Spałem wiele razy, ale zmajstrowałem z dzid i lin takie ustrojstwo, że U-Val nie mógł podejść, nie budząc mnie. Wiatr niezmiennie wiał z tego samego kierunku. Kanu sunęło morzem jak żywa istota, a U-Val był taki zadowolony, że się stał niemal sympatyczny. Kilka razy atakowali nas groźni mieszkańcy tego paleolitycznego morza. Lecz wyjąłem swój łuk i strzały spod przykrycia ładunku; a moje strzały i dzidy U-Vala zawsze pomagały uniknąć śmierci w straszliwych paszczach tych przerażających potworów, które nam zagrażały.

Nigdy nie zapomnę monotonii tej podróży. Nawet olbrzymie jaszczury, atakujące nas słabiej na mnie działały niż śmiertelna monotonia bezkresnej, pozbawionej horyzontu wody, rozciągającej się we wszystkich kierunkach, poza granice zasięgu ludzkiego wzroku. Nawet smużki dymu z odległego parowca, bo nie było tu parowców. Ni żagla – bo nie było tu żagli. Jedynie pusty ocean.

A potem, wreszcie, dostrzegłem wprost przed nami ziemię. Początkowo była to tylko mgiełka w oddali, lecz wiedziałem, że to może być tylko ziemia. Pokazałem to U-Valowi; ale chociaż wyteżał wzrok, nie mógł tego dostrzec. Nie za bardzo mnie to zdziwiło, bo już dawno się przekonałem, że mój wzrok jest o wiele bystrzejszy niż Pellucidarian. Być może ten ich cudowny instynkt naprowadzający sprawiał, że nie muszą widzieć na dużą odległość. Nigdy nie musieli wyteżać wzroku, szukając w oddali punktów orientacyjnych. To taka moja teoria. Może błędna. Lecz wiedzcie – ich słuch i węch są o wiele czulsze od moich.

U-Val, nie mogąc dostrzec tego co ja widziałem, upierał się, że niczego nie dostrzegłem. Ludzka natura się nic a nic nie zmieniła od epoki kamienia.

Żeglowaliśmy przed siebie. I chociaż U-Val nie widział żadnego lądu, trzymał kurs prosto na odległą smużkę, powoli przybierającą wyraźniejszy kształt – co mnie upewniło, że to musi być pływająca wyspa Ruva. I znowu, jak tysiące razy wcześniej, podziwiałem ten cudowny instynkt, niepojęty tak dla tych, co go mieli, jak i dla tych, co byli go pozbawieni. Jak można go wytłumaczyć? Nie wymyśliłem żadnej teorii.

W końcu i U-Val dostrzegł ląd przed nami.

– Miałeś rację – przyznał niechętnie. – Przed nami jest ląd. I jest to Ruva, ale nie rozumiem, jak mogłeś ją zobaczyć o tyle wcześniej niż ja.

– Można to łatwo wytłumaczyć – odparłem.

– Jak?

– Widzę dalej niż ty.

– Bzdura! – prychnął. – Nikt nie widzi dalej ode mnie.

Po co się sprzeczać z kimś takim? I tak miałem do omówienia z nim coś ważniejszego. Nasadziłem strzałę na cięciwę.

– Czemu to robisz? – zapytał, pospiesznie się rozglądając. – Nie ma do czego strzelać.

– Ty jesteś.

Przez chwilę nie kojarzył. A kiedy wreszcie do niego dotarło, sięgnął po dzidę.

– Nie dotykaj! – rozkazałem. – Bo przeszyję ci serce strzałą.

Opuścił rękę.

– Nie ośmieliłbyś się – powiedział bez większego przekonania.

– A czemu nie? Widzę przed nami ląd i mogę tam dotrzeć bez twojej pomocy.

– Nic by ci to nie dało. Moi ludzie by cię zabili.

– Może tak, może nie – stwierdziłem. – Powiedziałbym im, że jestem twoim przyjacielem i że wysłałeś mnie na Ruwę po ekipę ratunkową, mającą wyruszyć na kontynent, żeby cię ratować, bo jesteś więźniem. Jeżeli są tak głupi jak ty, to by mi uwierzyli i zabrali ze sobą, żeby ich do ciebie doprowadził. Kiedy byśmy tam dotarli, powiedziałbym, że pójdę samotnie na zwiady w pobliże plemienia, co cię pojmało i już bym nie wrócił. I tyle by mnie widzieli.

– Nie zabijaj mnie, Davidzie – błagał. – Byliśmy przyjaciółmi. Walczyliśmy ramię przy ramieniu. Darowałem ci życie, chociaż mogłem cię zabić.

– Ale kopnąłeś mnie w brzuch, kiedy byłem związany i bezbronny – wypomniałem mu.

– Wybacz! – zaskomlał. – A poza tym wcale cię tak mocno nie kopnąłem. Proszę, nie zabijaj mnie, Davidzie. Pozwól mi żyć, a wszystko dla ciebie zrobię.

– Nie zabiję cię, bo z jakiegoś powodu nie mogę się zmusić do zabicia z zimną krwią bezbronного człowieka, jeśli mogę tego uniknąć nie narażając

na szwank własnego życia. Toteż coś ci zaproponuję. Jeżeli daruję ci życie, to musisz przyrzec, że zaprowadzisz mnie do swoich nie jako niewolnika, a jako przyjaciela, którego będziesz chronił przed innymi członkami twojego plemienia. I przy pierwszej okazji pomożesz mi wrócić na kontynent.

– Przyrzekam – powiedział skwapliwie.

Trochę zbyt skwapliwie, pomyślałem. Powinienem był go wtedy zabić i wiedziałem to, ale nie potrafiłem się zmusić do morderstwa.

– No dobrze, przekonajmy się, czy dotrzymasz przysięgi – powiedziałem i odłożyłem łuk.

Kiedy się zbliżyliśmy do pływającej wyspy Ruva, okazała się niewiele wystającym ponad powierzchnię morza, płaskim spłachetkiem ziemi, gęsto porośniętym drzewami. Pływała, wznosząc się ponad wodę odrobinę więcej niż pięć stóp i nigdzie nie wypatrzyłem śladu wzgórz. Widoczna linia brzegowa była nieregularna, przerywana małymi zatoczkami lub zatokami. W jedną z nich U-Val wprowadził nasz stateczek. Opuściłem żagiel, a on powiosłował do brzegu.

Dobrze było znowu poczuć pod stopami ziemię, przeciągnąć się i pochodzić sobie.

U-Val przywiązał kanu do drzewa i stulając dłonie wydał wysoki, przeszywający okrzyk. Potem nasłuchiwał. Z daleka odpowiedział mu podobny okrzyk.

– Chodź! – powiedział U-Val. – Są przy rybnym stawie.

I ruszył ku wnętrzu wyspy dobrze widoczną ścieżką, wijącą się wśród drzew.

Drzewa, niezbyt wielkie, rosły gęsto. Jeszcze nigdy nie widziałem takich gatunków drzew – były miękkie i gąbczaste, jak niektóre odmiany kaktusów, ale bez cierni czy kolców. To te drzewa nie tylko tworzą Pływające Wyspy, w tym Ruwę, ale i czynią z nich odpowiednie siedlisko

dla ludzi. Ich korzenie, gęsto splecione, nie pozwalają wyspom się rozpaść i tworzą naturalny kosz z ziemią, w której rosną inne rośliny. Dostarczają również wyspiarzom pożywienia i są wyłącznym źródłem słodkiej wody – pozyskuje się ją w dowolnej chwili, odcinając gałąź lub wybijając otwór w pniu. Delikatne młode pędy są jadalne, a owoce są podstawowym pożywieniem. Na wyspach jest niewiele innych roślin i właściwie nie są potrzebne. Wśród drzew rośnie trochę wysokich traw, są też nieliczne pasożytnicze pnącza, przepięknie kwitnące. Na wyspach żyje parę gatunków ptaków, co umożliwia wyspiarzom jako takie urozmaicenie diety, bo jedzą nie tylko ich mięso, ale i jaja.

Przeszliśmy jakąś milę i dotarliśmy do częściowo wykarczowanego terenu. Tu i tam zostawiono parę drzew, pewnie po to, żeby korzeniami spajały ziemię. Pośrodku karczowiska wykopano otwór o średnicy może stu stóp, tworzący niewielki zbiornik. Zebrało się tu z pięćdziesięcioro ludzi obu płci i w różnym wieku. Kilku z nich stało przy zbiorniku z wycelowanymi dzidami, czekając, żeby ryba wpłynęła w pole rażenia. Ryby musiały się z doświadczenia nauczyć, co się im przytrafi, jeżeli podpłyną zbyt blisko do brzegu – bo środek stawu, poza zasięgiem dzid, wręcz kipiał od ryb. Od czasu do czasu jakiś głupi lub nieostrożny osobnik zapuszczał się w niebezpieczne miejsce i wtedy natychmiast nabijano go na pełen zadziórów grot dzidy. Zręczność tych ludzi była wprost niesamowita – nigdy nie chybiali; lecz ryby były tak ostrożne, że niewiele łowili.

Kiedy wraz z U-Valem weszliśmy na karczowisko, mężczyzna, który nas pierwszy zauważył, powiedział:

– U-Val wrócił!

Wtedy wszyscy na nas spojrzeli, lecz nie było entuzjastycznego powitania powracającego syna marnotrawnego.

Podszedł do nas jakiś wielkolud.

– Przywiozłeś niewolnika – powiedział i nie było to pytanie, a stwierdzenie faktu.

– Nie jestem niewolnikiem – stwierdziłem. – Wraz z U-Valem byliśmy więźniami. Razem walczyliśmy. Wspólnie uciekliśmy. Toteż, zgodnie z zasadami honoru, U-Val nie mógł ze mnie zrobić swojego niewolnika.

– Skoro nie jesteś niewolnikiem, to jesteś wrogiem – odparł mężczyzna.
– A wrogów zabijamy.

– Zjawiłem się tu jako przyjaciel – powiedziałem. – Nie ma powodu, żebyśmy byli wrogami. Prawdę mówiąc, mogę być bardzo cennym przyjacielem.

– To znaczy? – zapytał.

– Mogę cię nauczyć budować kanu, płynące bez wiosłowania i mogę pokazać, jak łapać ryby pośrodku stawu, których nie możecie dosięgnąć dzidami.

– Nie wierzę, że potrafisz i jedno i drugie, bo gdyby to było wykonalne, to byśmy to robili. Wiemy wszystko o budowie kanu i łowieniu ryb. Nikt nie może nas nauczyć niczego nowego.

Popatrzyłem na U-Vala.

– Czyż nie sprawiłem, że twoje kanu płynęło bez wiosłowania? – zapytałem.

U-Val potaknął.

– Tak i nawet szybciej płynęło, niż mógłbym wiosłować. Ale mogę im pokazać, jak to zrobić.

– Owszem, ale możesz im pokazać, jak to się robi, kiedy wiatr wieje ci w plecy. Ja zaś mogę ich nauczyć budować kanu, w których będą mogli podróżować bez względu na to, z której strony wieje wiatr. Tego nie potrafisz.

– To prawda, U-Valu? – spytał tamten mężczyzna.

– Tak, Ro-Tai, to prawda – odparł U-Val.

– I potrafić łapać ryby ze środka stawu?

– Tego nie wiem.

Ro-Tai spojrział na mnie.

– Jeżeli potrafisz robić obie te rzeczy, to równie dobrze możesz je robić będąc niewolnikiem.

– Ale nie zrobię tego, będąc niewolnikiem. I nie nauczę was, jak to robić.

– Nauczysz, albo cię zabijemy – warknął Ro-Tai.

– Jeśli mnie zabijecie, to nigdy się nie dowiecie, jak to robić – przypomniałem mu.

Kiedy rozmawialiśmy, zgromadziło się wokół nas sporo mężczyzn, uważnych i zainteresowanych słuchaczy. Teraz odezwał się jeden z nich.

– Powinniśmy potraktować tego człowieka jak przyjaciela, Ro-Tai, pod warunkiem, że nas tego nauczy.

– Tak – wtrącił się inny. – Ul-Van wypowiedział mądre słowa. Nie wierzę, że obcy umie to robić; a jeżeli nie umie, to możemy albo zrobić go niewolnikiem, albo zabić.

Wywiązała się dyskusja, w której każdy z nich miał swój udział. Jedni byli przeciwko przyjmowaniu obcego jak przyjaciela, ale większość zgodziła się z Ul-Vanem, który wyglądał mi na najinteligentniejszego członka całego towarzystwa.

Na koniec ktoś powiedział:

– Ro-Tai jest wodzem. Niech zdecyduje.

– Dobrze, zdecyduję – stwierdził Ro-Tai i zwrócił się do mnie: – Idź i złap rybę ze środka stawu.

– Powinienem się do tego przygotować – odparłem. – Nie mam wszystkiego, co jest mi potrzebne.

– No i widzicie – stwierdził jeden z oponentów – że nie umie tego zrobić. Próbuje zyskać na czasie, żeby uciec.

– Bzdura – powiedział Ul-Van. – Pozwólmy, żeby się przygotował i jeśli wtedy mu się nie uda, to będzie można twierdzić, że tego nie potrafi.

Ro-Tai skinął głową.

– Zgoda, niech się przygotowuje, lecz ty, Ul-Vanie, masz stale być przy nim i pilnować, żeby nie spróbował uciec.

– Jeśli mu się nie uda, to zostanie moim niewolnikiem – stwierdził U-Val – bo to ja go tu przywiozłem.

– Jeśli mu się nie uda, to go zabijemy – rzekł Ro-Tai – za to, że próbował nas oszukać.

Jak tylko przekazano mnie Ul-Vanowi, powiedziałem mu, że potrzebuję ze trzydzieści stóp lekkiej, wytrzymałej liny.

– Chodź ze mną – on na to i poprowadził mnie ścieżką za stawem.

Dotarliśmy do drugiego karczowiska, gdzie były „noclegownie” plemienia. Były to niewielkie, podobne do uli chaty, w całości pokryte dużymi liśćmi. Każda chata miała pojedyncze wejście i w jedno z nich Ul-Van wpełzł i po chwili się stamtąd wydostał ze zwojem plecionej z trawy liny, jaką widziałem na kanu U-Vala. Była o wiele za ciężka do moich celów, lecz zrobiono ją z wielu cieńszych, splecionych razem pasm. Przekonałem się, że rozplatając je uzyskam pojedyncze, potrzebne mi pasmo. Pozwolił mi to zrobić i w końcu miałem lekki sznur, długości jakichś czterdziestu stóp.

Wróciłem z nim nad staw. Tutaj mocno przywiązałem jeden koniec do grubszego końca strzały, a drugi do prawego nadgarstka. Potem podszedłem do stawu i nasadziłem strzałę na cięciwę.

Wszyscy się teraz we mnie wpatrywali. Pośrodku stawu roily się tysiące ryb, czasem wyskakujących ponad wodę – lecz żadna z nich nie zbliżała się do brzegu na długość dzidy.

Starannie zwinąłem luźną linę u stóp, uniosłem łuk i cofnąłem strzałę o całą jej długość. Byłem bardzo zdenerwowany i nic dziwnego, bo jeszcze nigdy tego nie próbowałem i nie wiedziałem, czy strzała udźwignie ciągnącą się za nią linę – a moje życie zależało od sukcesu.

Starannie wycelowałem w miejsce, gdzie ryb było najwięcej. Łuk zadźwięczał i strzała pomknęła wprost do celu. Ryba wyskoczyła w powietrze i zanurzyła się. Lina szybko się rozwijała. Zaparłem się stopami i przygotowałem na szarpnięcie. Kiedy nadeszło, omal nie wpadłem do stawu, ale udało mi się ustać.

Pozwoliłem rybie przez chwilę się szamotać, nie próbowałem jej przyciągać, bo nie bardzo byłem pewien wytrzymałości liny, chociaż wytrzymała pierwsze mocne szarpnięcie. Chciałem, żeby się zmęczyła i ilekroć był niewielki luz, ściągałem linę ku sobie. Na koniec szarpanina ustała i ryba wypłynęła na powierzchnię, brzuchem do góry. Wyciągnąłem ją na brzeg i oddałem Ro-Tai, który natychmiast nakazał, żebym zrobił łuk i strzały każdemu wojownikowi plemienia. I od razu napotkaliśmy przeszkodę. Na Ruvie nie było roślin, nadających się na łuk. No to kazali mi szyc z łuku do ryb.

Ro-Tai musiał przyznać, że czegoś ich nauczyłem i patrzył na mnie nieco łagodniejszym okiem. Za to U-Val wciąż się na mnie boczył. Chciał, żebym był jego niewolnikiem i chciał przypisać sobie moje zasługi. Ul-Van powiedział mi, że U-Val nie cieszył się w plemienu sympatią i że miałem szczęście, iż nie został moim panem.

Oczyścili i uwędzili złowione przeze mnie ryby i kiedy uznali, że mają wystarczające zapasy, Ro-Tai nalegał, żebym im pokazał, jak zbudować

kanu, które popłynę bez wiosłowania.

Natychmiast stanąłem przed przeszkodą nie do pokonania. Ani na Ruvie, ani na żadnej innej pływającej wyspie nie rosły drzewa nadające się na kanu. Wszystkie ich łodzie zbudowano na kontynencie, gdzie można znaleźć odpowiednie drewno. Budowa kanu była ogromnym przedsięwzięciem, wymagającym wyprawy z udziałem dwudziestu lub trzydziestu mężczyzn – na sto lub więcej snów opuszczali Ruvę.

Kanu z grubsza wyciosywano na kontynencie, a potem holowano na Ruvę i tu starannie wykańczano. Takie łodzie przez pokolenia pozostawały w rodzinach. Ul-Van powiedział mi, że jego kanu jest w rodzinie od co najmniej dziesięciu pokoleń. Przechodzą z ojca na najstarszego syna.

Ponieważ kobiety i dzieci rzadko opuszczają wyspy, potrzeba tylko tyle kanu, żeby przetransportować mężczyzn. Nową łódź buduje się tylko wtedy, kiedy liczba mężczyzn w plemienu przewyższy udźwig kanu, które już mają. A to, wedle Ul-Vana, rzadko się zdarza częściej niż parę razy za ludzkiego życia, bo straty wśród wojowników równoważą wskaźnik urodzin chłopców.

ROZDZIAŁ 24

Nie będę was zanudzał szczegółowymi opisami prób przekształcenia jednego z ich kanu w katamaran z żaglem. Po wielu, wielu próbach przekonałem się, że mogę utwardzić drewno tutejszych drzew, ogrzewając je na rozżarzonych węglach i z tego to materiału zrobiłem kil i pływak. Moimi jedynymi narzędziami były muszle o ostrych krawędziach, kamienny nóż, kamienne dłuto i kamienny młotek. Na moje szczęście drewno było bardzo miękkie i nadałem mu kształt przed utwardzeniem. Zrobiłem kil z szeroką płetwą u góry i przymocowałem go do dna kanu utwardzonymi w ogniu drewnianymi kołkami (wiedziałem, że pod wpływem wilgoci napęcznieją). Na maszt przyciąłem do odpowiedniej długości kawałki bambusa i potem trzy z nich powiązałem liną z trawy. Żagiel był największym problemem, ale poradziłem sobie, budując prymitywne krosno i nauczyłem kilka kobiet tkać z wykorzystaniem długich, mocnych traw.

Kiedy tak pracowałem nad łodzią, całkiem nieźle poznałem członków plemienia i ich obyczaje. Na tej wyspie mieszkało jakieś czterdzieści rodzin, liczących plus minus po cztery osoby. Było też ze dwadzieścioro pięcioro do trzydzieściora niewolników – mężczyzn i kobiet białej rasy z kontynentu. Ci niewolnicy wykonywali właściwie wszystkie prace fizyczne; lecz nie mieli ciężkiego życia i przeważnie byli dobrze traktowani.

Tutejsi mężczyźni są monogamiczni i bardzo dumni ze swego rodowodu. W żadnym przypadku nie zwiążą się z białą rasą, bo uważają ją za stojącą o wiele niżej niż ich rasa. Nigdy się nie mogłem przyzwyczaić do tego odwrócenia statusu obu ras; lecz tak naprawdę nie było to takie trudne, jak mogłoby się wydawać, bo muszę przyznać, że czarni byli wobec nas bardziej tolerancyjni, niż my wobec ich ciemnoskórych pobratymców w zewnętrznym świecie. Może pobierałem właśnie lekcję prawdziwej demokracji.

Łódź, nad którą pracowałem, przeciągnięto na brzeg morza, jakieś pół mili od wioski. Zazwyczaj wokół kręciło się kilkoro mieszkańców wioski, przyglądających mi się; Ul-Van stale mi towarzyszył, bo Ro-Tai kazał mu mnie pilnować i w razie czego zapobiec mojej ucieczce.

Kiedy pewnego razu byliśmy sami, zobaczyłem w oddali zbliżające się kanu i pokazałem je Ul-Vanowi. Początkowo go nie widział, ale kiedy się zbliżyło i przekonał się, że to naprawdę łódź, bardzo się zdenerwował.

– To pewnie Ko-Vansi – powiedział. – Najeźdźcy.

– Za tym pierwszym ukazały się w zasięgu wzroku jeszcze trzy Kanu – poinformowałem go.

– Fatalnie – Ul-Van na to. – Musimy natychmiast wrócić do wioski i ostrzec Ro-Tai.

Kiedy Ul-Van powiedział o tym wodzowi, ten wysłał chłopców do rybnego stawu i innych części wyspy, gdzie mogli się znajdować wojownicy. Wkrótce wszyscy zgromadzili się w wiosce.

Kobietom i dzieciom kazano wejść do chat. Zdenerwowani mężczyźni utworzyli bezładny tłum – łatwy cel dla dzid wroga.

– Chyba nie zamierzasz tu zostać? – zapytałem Ro-Tai.

– To nasza wioska. Powinniśmy tu zostać i bronić jej – odparł.

– Czemu nie wyjść im naprzeciw? – spytałem. – Zaskoczylibyście ich. Wyślij zwiadowcę, żeby sprawdził, który szlak wybierają, a potem ukryj wojowników po obu stronach ścieżki. Tamci będą zdumieni i w rozsypce; a ci, których nie zabijecie, uciekną jak najszybciej do swoich łodzi. W ogóle nie musisz pozwolić, żeby dotarli do wioski.

– Całe życie walczyłem, kiedy się pojawiali najeźdźcy – odparł z godnością Ro-Tai. – Tak ja, jak mój ojciec, a przedtem jego ojciec, zawsze gromadziliśmy wojowników w wiosce i czekaliśmy na atak.

– To nie znaczy, że tak trzeba – stwierdziłem. – Prawdę mówiąc, zawsze źle postępowaliście. Daj mi dziesięciu ludzi. Zatrzymam tych Kovansów zanim się zbliżą do waszej wioski.

– Wierzę mu – odezwał się jeden z ważnych ludzi w wiosce. – Jeszcze nas nie oszukał.

– Jego plan jest dobry – dodał Ul-Van.

– No dobrze – zgodził się Ro-Tai. – Weź dziesięciu ludzi i przekonaj się, czy ci się uda powstrzymać Kovansów. Reszta zostanie tutaj, żeby walczyć jeśli zawiedziesz.

– Nie zawiodę – stwierdziłem.

Wybrałem Ul-Vana i dziewięciu innych wojowników i razem ruszyliśmy ku oceanowi. Jednego posłałem przodem, na zwiady i kazałem wrócić do mnie jak tylko zobaczy, którą ścieżkę wybrali Kovansi.

– Pójdą tą ścieżką – stwierdził Ul-Van. – Zawsze tak robią.

– Często na was napadają? – zapytałem.

– Tak – odparł. – Byli tu parę snów przed twoim przybyciem. Zabili kilku naszych wojowników i ukradli kilkoro niewolników. Była wśród nich moja niewolnica. Żałuję, że ją straciłem, bo była bardzo piękna i moja towarzyszka ogromnie ją lubiła. Mówiła, że jest Amozitką i dowiedziałem się od innych niewolników, że kobiety z Amozu uważane są za bardzo urodziwe. Powiedziała mojej kobiecie, że razem ze swoim mężem mieszkała w Sari.

– Jak się nazywała? – zapytałem.

Zanim Ul-Van zdążył odpowiedzieć, przybiegł, zziębnięty, mój zwiadowca.

– Ko-Vansi wylądowali! Nadchodzą tym traktem – poinformował.

– Ilu ich jest? – zapytałem.

– Około dwudziestu – odpowiedział.

Rozstawiłem moich ludzi po obu stronach ścieżki, dobrze ukrytych za drzewami. Każdy z wojowników miał dwie dzidy i kamienny nóż. Powiedziałem im, żeby stali nieruchomo i cicho, póki nie dam sygnału. Wtedy mają ruszyć do walki – każdy ma rzucić jedną dzidą i natychmiast zaatakować z bliska drugą.

Wdrapałem się na drzewo, z którego mogłem nie tylko widzieć moich ludzi, ale i na krótkim odcinku obserwować ścieżkę, którą nadchodzili Ko-Vansi, nieświadomi losu, jaki ich czekał.

Nie musiałem długo czekać, bo w polu widzenia ukazał się ohydnie pomalowany wojownik, a tuż za nim, idąc gęsiego, pozostali. Byli uzbrojeni dokładnie tak samo, jak Ruvansi – dwie dzidy i kamienny nóż – i należeli do tej samej rasy przystojnych czarnoskórych. Od Ruvansów różnili się tylko wojennymi barwami.

Cicho nasadziłem strzałę na łuk i czekałem, aż cały rządę znajdzie się w zasadzce. Pochyliłem łuk i starannie wycelowałem. To była brutalna walka, walka Epoki Kamiennej. Ma się rozumieć, nie mieliśmy trujących gazów i nie mogliśmy zrzucić bomb na kobiety, dzieci i szpitale; ale naszymi prymitywnymi metodami świetnie mogliśmy sobie poradzić. Wypuściłem strzałę i wbiła się głęboko w ciało ostatniego w szeregu człowieka. Dałem Ruvańskim wojownikom sygnał do ataku.

Wstali, wydając dzikie wojenne okrzyki i rzucili dzidami. Wśród całkowicie zaskoczonych Kovansów zapanował chaos, który jeszcze wzmogłem, posyłając – raz za razem – sześć kolejnych strzał w tyłuż wrogów.

W pierwszym ataku padło jedenastu z dwudziestu. Pozostałych dziewięciu zawróciło, żeby uciec – lecz ścieżka była wąska i zablokowana przez zabitych i rannych. Ci, co ocaleli, potykali się i przewracali, usiłując wdrapywać się jeden na drugiego oraz na martwych i umierających towarzyszy w szaleńczej próbie ucieczki – i stali się łatwym łupem wojowników Ruvańskich, którzy zaatakowali ze straszliwymi wrzaskami i wybili ich do nogi.

Kiedy zszedłem z drzewa, przebijali dzidami serca rannych. Nie uciekł żaden Kovan. Nikt z moich ludzi nie miał nawet draśnięcia.

Zwycięscy, wracaliśmy do wioski, niosąc broń pokonanych.

Kiedy mieszkańcy nas zobaczyli, popatrzyli na nas ze zdumieniem.

– Nie było żadnej walki? – zapytał Ro-Tai. – Co się stało z Kovansami? Idą waszym śladem?

– Wszyscy Kovansi nie żyją – powiedział Ul-Van. – Było ich dwudziestu i wszystkich zabiliśmy.

– Zabiliście dwudziestu Kovansów, nie tracąc ani człowieka? – dociekał Ro-Tai. – Jeszcze nigdy tak nie było.

– Możesz podziękować Davidowi – stwierdził Ul-Van. – Zrobiliśmy jedynie to, co nam kazał i zwyciężyliśmy.

Ro-Tai nic nie powiedział. Razem z innymi słuchał opowieści zwycięskich wojowników, którzy nie żalowali sobie pochwał; ale muszę przyznać, że wszyscy doceniali moje zasługi.

Na koniec przemówił Ro-Tai:

– Wojownicy Ruva będą ucztować, świętując zwycięstwo nad Kovansami. Niechaj niewolnicy przygotowują strawę i tumal, żeby wojownicy mogli pić i radować się. Tylko wojownicy Ruva wezmą udział w tej uczcie.

Kilku niewolników wyznaczono do przygotowania jedzenia i zrobienia tumal, dość mocnego napitku. Pozostałych niewolników wysłano, żeby wrzucili martwych Kovansów do morza, dla groźnych mieszkańców głębin.

Kiedy to było możliwe, zapytałem Ul-Vana o imię niewolnicy, którą porwali Kovansi.

– Amar – odparł. – Tak miała na imię.

Sam nie wiem, czy byłem rozczarowany, czy nie. Z jego opisu wynikało, że to mogła być Dian, bo była piękna, urodziła się w Amozie i wiele z nich zostało żonami mężczyzn z Sari; a ponieważ niemal wszystkie Amozytki są piękne, to opis mógł pasować do wielu z nich, nie tylko do Dian. A tak w ogóle, to jak Dian mogłaby się znaleźć na którejś z pływających wysp?

Trzy razy spaliśmy, zanim ucztą była gotowa, bo tumal musiał sfermentować; musiano też przygotować specjalne potrawy, z których wiele długo się warzyło pod ziemią, zawiniętych w liście pangosów i ułożonych na gorących kamieniach.

Wróciłem do swojej pracy nad kanu, a Ul-Van został ze mną. Wciąż rozpierała go radość z naszego zwycięstwa, z którym nie mogło się równać żadne przechowywane w pamięci Ruvanów.

– Nie tylko wszystkich zabiliśmy i zdobyliśmy ich broń, ale i na dodatek zyskaliśmy cztery znakomite kanu. Nigdy przenigdy nie wydarzyło się coś takiego i to twoje dzieło, Davidzie.

ROZDZIAŁ 25

Jak tylko zjawiłem się na Ruvie, zauważyłem, że U-Val kręcił się koło dziewczyny imieniem O-Ra. Zabiegało o nią jeszcze kilku młodych byczków, ale nie wyróżniała żadnego z nich. Myślę, że O-Ra była swego rodzaju paleolityczną naciągaczką. Chciała mężczyzny z niewolnikiem, a żaden z jej adoratorów takowego nie miał. W tej sytuacji U-Val nie nabierał do mnie sympatii. Sądzę, że większość czasu poświęcał na nienawidzenie mnie. Przyłapywałem go, jak rzucał mi gniewne spojrzenia i myślę, że zbierał się na odwagę, żeby na mnie donieść i żądać, żebym został jego niewolnikiem. Jego lęk przede mną był czysto psychologiczny – irracjonalny kompleks – bo w potyczkach z wielkimi jaszczurami, atakującymi nas podczas rejsu z kontynentu na Ruvę udowodnił, że nie jest tchórzem. Sądzę, że wszyscy wiele razy spotkaliśmy się z tym rodzajem tchórzostwa. Znałem ludzi, którzy z zimną krwią spojrzeliby w oczy śmierci, lecz przeraźliwie się bali małej kobietki, o połowę niższej od nich; znałem też bohaterów bojących się myszy.

Członkowie plemienia – może dlatego, że go nie lubili – zrobili sobie z U-Vala i jego nieskutecznych zabiegów o O-Rę cel okrutnych żartów. A muszę przyznać, że żarty w epoce kamienia są często nieprzyzwoite. Jednak większość z nich w niezminionej formie przetrwała milion lat i dotarła do naszego zewnętrznego świata. Rozpoznałem w nich wiele paleolitycznych dowcipasów starych przyjaciół, których poznałem w Hartford w Connecticut.

Na koniec potrawy i tumal na ucztę były prawie gotowe i Ro-Tai nakazał, żeby wojownicy poszli do swoich chat i że po śnie rozpocznie się uczta. Ponieważ Ul-Van miał nade mną czuwać, musiałem iść z nim do jego chaty. A kiedy czekałem aż przyjdzie sen, usłyszałem rozmowę w pobliskiej chacie. Mówił mężczyzna, starając się przekonać kobietę, żeby weszła z nim do chaty – równałoby się to dopełnieniu prostej ślubnej ceremonii Ruvanów; lecz kobieta stanowczo odmawiała.

– Nie – powiedziała. – Nie związę się z mężczyzną, który nie ma niewolnika.

– Mam niewolnika – odparł mężczyzna i rozpoznałem głos U-Vala.

Kobieta zaśmiała się pogardliwie.

– Dobrze ukrywasz swojego niewolnika, U-Valu. To mężczyzna czy kobieta? A może dzielny U-Val porwał małą dziewczynkę?

– Mój niewolnik jest wielkim niewolnikiem – odrzekł U-Val. – Nazywa się David. Czyż nie widziałaś, jak go przywiozłem na wyspę?

– Ale powiedział, że jest twoim przyjacielem, nie niewolnikiem. A ty nie zaprzeczyłaś.

– Nie zaprzeczyłem, bo zagroził, że mnie zabije, jeśli powiem, że jest moim niewolnikiem.

– Kiedy to ogłosisz, związę się z tobą – powiedziała O-Ra. – Bo byłby z niego wartościowy niewolnik.

– Tak – przyznał U-Val, ale bez większego przekonania; miał powody wątpić, bym został posłusznym niewolnikiem.

– Jak już będziesz miał swojego niewolnika, to możesz mnie znowu poprosić – stwierdziła O-Ra i musiała odejść, bo już nic więcej nie usłyszałem i zasnąłem.

Przyszedł chłopak i obudził nas, mówiąc, że Ro-Tai wzywa wojowników na ucztę.

Wyszedłem za Ul-Vanem z chaty i znalazłem miejsce w cieniu drzewa, skąd mogłem wszystko obserwować. Na ziemi ułożono liście, przykrywając pas szerokości jakichś trzech stóp i dwudziestu pięciu stóp długości. To był stół bankietowy; niewolnicy stawiali na nim jedzenie i wielkie kolanka bambusa napełnione tumalem. Wojownicy ustawili się po obu stronach. Ro-Tai, stojący pośrodku jednego boku, rozglądał się, jakby kogoś szukał. Nagle mnie zobaczył i zawołał:

– Chodź, Davidzie! Przyłącz się do uczyty wojowników.

I wtedy przemówił U-Val, w końcu zdobywając się na odwagę.

– Niewolnicy nie jedzą z wojownikami Ruvy, Ro-Taiu.

– Co masz na myśli? – zapytał Ro-Tai.

– To, że ten człowiek, David, jest moim niewolnikiem. Pojmałem go na kontynencie i sprowadziłem na Ruvę. Wystarczająco długo pozwoliłem mu udawać wolnego człowieka. Teraz ogłaszam, że jest moim niewolnikiem.

Rozległ się pomruk dezaprobaty i Ro-Tai powiedział:

– Nawet gdyby David był twoim niewolnikiem, to dzięki swoim czynom zdobył wolność i ja, Ro-Tai, wódz Ruvy, daję mu wolność, do czego mam prawo. Daję mu wolność i mianuję wojownikiem Ruvy.

– Nie będę ucztować z białym niewolnikiem! – zakrzyknął U-Val i odszedł; po paru krokach się zatrzymał i odwrócił. – Jeśli nie dostanę go na niewolnika, to przynajmniej mogę go zabić. I ZABIJĘ.

– Czyżbyś zapomniał, U-Valu, jak jadłeś ze mną ziarno i miód w mrowisku mrówek-olbrzymów?! – przypomniałem mu. – Lepiej wróć i jedz. Zabić mnie możesz później i przyda ci się tumal na odwagę. Lecz pamiętaj, U-Valu, że obiecałem cię zabić.

– Czemu obiecałeś, że go zabijesz? – zapytał Ro-Tai.

– Bo kiedy uważałem go za przyjaciela związałem mi ręce na plecach jak spałem; a kiedy się obudziłem, powiedział, że jestem jego niewolnikiem i kopnął mnie w żebra, kiedy leżałem na ziemi, związany i bezbronny. To z powodu tego kopniaka obiecałem, że go zabiję.

– Możesz go zabić wyłącznie w samoobronie – oznajmił Ro-Tai. – I nie zaczynaj z nim kłótni – dodał. – Nie mam tak wielu wojowników, żebym mógł sobie pozwolić na utratę bez potrzeby choć jednego.

Na znak Ro-Tai wojownicy usiedli na ziemi, krzyżując nogi. Nie było noży ani widelców, bo każdy wojownik miał dwie sprawne ręce i z wprawą się nimi posługiwał. Nie za wiele rozmawiano, bo ucztujący byli zbyt zajęci jedzeniem i piciem.

Kobiety, dzieci i niewolnicy tworzyli krąg wokół nas, pożądliwie patrząc, jak pochłaniamy pokarm. Kiedy się najemy, wykończą to co zostanie.

Wkrótce tumal uderzył ucztującym do głów i zaczęło się robić hałaśliwie. Nie piłem tumala i kiedy zaspokoilem głód wstałem i odszedłem. Jak tylko sobie poszedłem zjawił się U-Val i dołączył do uczy. Obserwując go zauważyłem, że mało co jadł, za to pił sporo trunku. Wiedziałem, że muszę być czujny.

Chciałem wrócić do pracy nad kanu, niemal już gotowym; ale nie mogłem, bo Ul-Van nie poszedłby ze mną. Wszyscy niewolnicy byli zajęci – toteż usiadłem samotnie na uboczu, bo już dawno się nauczyłem, że im mniej ma się do czynienia z kobietami prymitywnych mężczyzn, tym

bardziej jest się lubianym. Wielu z nich mają za złe obcemu nawet rozmowy z ich kobietami. Po chwili zjawiała się O-Ra i usiadła obok mnie. Nie należała do nikogo, ale miała kilku adoratorów, więc rozmowa z nią w cztery oczy nie była bezpiecznym zajęciem. Pocieszało mnie to, że – jak przypuszczałem – U-Val jeszcze bardziej się wścieknie.

– U-Val chce cię zabić. Powiedział mi to, zanim poszedł się zalewać tumalem.

– Czemu mnie ostrzegasz?

– Bo nie lubię U-Vala i liczę, że to ty go zabijesz i już nie będzie mnie zanudzał.

– Ale zostałąbyś jego kobietą, gdyby miał niewolnika. Jak mogłabyś, skoro go nienawidzisz?

– Mógłby nagle umrzeć – uśmiechnęła się. – A wtedy to ja miałabym niewolnika. I mogłabym sobie wziąć mężczyznę, na którym mi zależy. I wtedy miałabym i niewolnika i mojego mężczyznę.

– Zabiłabyś go?

Wzruszyła ramionami.

– Umarłby.

O-Ra wyprzedziła swoje czasy. Urodziła się jakiś milion lat za wcześnie; a przynajmniej po niewłaściwej stronie skorupy ziemskiej. Jak na dziewczynę z epoki kamienia miała bardzo nowoczesne poglądy.

– Cóż, mam nadzieję, O-Ro, że zdobędziesz swojego mężczyznę; ale nie chciałbym być na jego miejscu.

Roześmiała się i wstała. Potem wyszeptała, poruszona:

– Zbliży się U-Val. Chyba zaczekam i zobaczę, co z tego wyniknie.

– Na twoim miejscu też bym zaczekał, bo ktoś tutaj umrze. Ucieszy cię to.

U-Val podszedł, nieco chwiejnie. Jego zwykle wredna mina była jeszcze mroczniejsza.

– Próbujesz ukraść moją kobietę?

– Jest twoją kobietą?

– Powiedziałabym, że nie jestem – wtrąciła się O-Ra.

– Ale będzie. I żaden brudny biały niewolnik nie będzie przy mnie gadał z ruvańską kobietą.

Nie zamierzałem dać się sprowokować do zaatakowania go, bez względu na to, co powie, bo Ro-Tai jasno dał do zrozumienia, że mogę go zabić wyłącznie w samoobronie.

– Czemu nie stajesz do walki, ty nędzny tchórze?! – zawołał.

Przyciągnęliśmy uwagę innych i członkowie plemienia zaczęli nas otaczać kręgiem. Niektórzy mężczyźni byli pijani i szczyli najpierw U-Vala, a potem mnie. Podobnie jak O-Ra, chcieli zobaczyć bójkę i śmierć. Wśród widzów byli Ro-Tai i Ul-Van.

U-Val obrzucał mnie wszystkimi paskudnymi pellucidariańskimi epitetami, jakie zdołał sobie przypomnieć; a przypomniawszy ich sobie mnóstwo i większość z nich była bardzo wulgarna.

– Co jest? – zapytał Ul-Van. – Boisz się go, Davidzie?

– Ro-Tai powiedział, że mogą go zabić wyłącznie w samoobronie, a jeszcze mnie nie zaatakował. Słowa mnie nie zabijają, ale gdybym mógł użyć pięści, to już byłoby coś.

– Możesz użyć pięści – przystał Ro-Tai. – Ale żaden z was nie może wyciągnąć broni.

– Czyli nie obchodzi cię, co mu zrobię, o ile będę walczyć pięściami?

Ro-Tai skinął głową i za jego przyzwoleniem wymierzyłem prawy prosty w nos U-Vala. Krew trysnęła na wszystkie strony i U-Val oszalał z

wściekłości. Padł po tym ciosie, oszołomiony i zamroczony; a kiedy odzyskał zmysły, zaczął podskakiwać niczym pajac na sznurku, waląc się w pierś i wrzeszcząc – a potem zaatakował.

Posłałem go znowu na ziemię ciosem w splot słoneczny. Kiedy się chwiejnie podniósł, był fatalnym stanie, ale kiedy zobaczył, że wszyscy się z niego śmieją, w ogóle przestał nad sobą panować – wyszarpnął kamienny nóż i ruszył na mnie z żądzą mordy w oczach.

Teraz miałem okazję. Mogłem go zabić w zgodzie z zasadami ustalonymi przez Ro-Taia. Lecz kiedy zaatakował, nie dobyłem noża. Chciałem być absolutnie czysty, bo wiedziałem, że gdybym go teraz zabił, to zawsze znalazłby się ktoś, kto by się upierał, że powinienem przyplacić to życiem. Nie podobałoby się im, że żyjący wśród nich biały człowiek zabił czarnego. Mógłby się stać zbyt arogancki.

– Twój nóż! Twój nóż! – zawołał Ul-Van. – Dobądź noża, Davidzie!

Ale jeszcze nie musiałem sięgać po nóż i miałem nadzieję, że w ogóle bez tego się obejdzie. Znałem wiele sztuczek i chwytów jujitsu i wiedziałem, że U-Vala czeka największa w życiu niespodzianka.

Kiedy się zbliżył, rozbroiłem go bardzo prostą sztuczką, a potem wziąłem jego głowę pod pachę i zacząłem kręcić nim młynka. Był zupełnie bezradny. Jego stopy oderwały się od ziemi, a ciało zakreślało w powietrzu krąg. Kręciłem nim coraz szybciej, a potem nagle go puściłem. Przeleciał ponad głowami widzów i ciężko uderzył o ziemię za nimi. Przepchnąłem się przez tłum ku niemu. Leżał z podwiniętą głową, zupełnie bez ruchu. Tłum natychmiast utworzył wokół nas nowy krąg. Przyłożyłem ucho do piersi U-Vala i posłuchałem, potem wstałem i spojrzałem na Ro-Taia.

– Nie żyje – powiedziałem. – Wszyscy jesteście świadkami, że go zabiłem w samoobronie.

– I to gołymi rękami! – wykrzyknął z podziwem Ul-Van.

– Niech niewolnicy zanoszą ciało do oceanu – nakazał Ro-Tai, a potem się odwrócił i odszedł.

Bójka otrzeźwiła większość wojowników. Niektórzy mnie otoczyli i obmacali moje mięśnie.

– Musisz być bardzo silny – powiedział któryś.

– Do tego nie trzeba dużej siły. Po prostu należy wiedzieć, jak to zrobić.

Natychmiast chcieli, żebym ich nauczył, więc pokazałem im parę najprostszych chwytów – jak rozbroić atakującego nożem; jak rzucić napastnikiem; jak kogoś pojmać i zmusić, żeby z wami poszedł, całkiem bezradny i nie mogący wam nic zrobić. Kiedy skończyłem, od razu zaczęli ćwiczyć i wciąż się tym zajmowali, kiedy razem z Ul-Vanem poszliśmy na brzeg morza, pracować nad kanu. Spieszyło mi się, żeby wykończyć łódź, bo liczyłem, że uda mi się pożeglować na kontynent i uciec z Ruwy. Miałem plan, który wyjawiałem Ul-Vanowi, chociaż przemilczałem, że tak naprawdę miał umożliwić ucieczkę.

– Kiedy kanu będzie gotowe, popłyniemy w kilka osób na kontynent po kłode, z której zrobię lepszą łódź – powiedziałem. – Przyholujemy ją na Ruwę i tutaj wykonamy całą robotę.

– To dobry pomysł – odparł Ul-Van. – Ale musimy poczekać, póki z wysp nie będzie widać kontynentu.

– Czemu?

– Bo inaczej nie znajdziemy kontynentu.

– To znaczy, że nie wiecie, w jakim kierunku leży kontynent?

– Bandar Az jest ogromne, a wyspy stale dryfują. Nigdy nie płyniemy na kontynent, o ile go nie widzimy. Potem, rzecz jasna, nie ma znaczenia jak daleko Ruva odpłynie, bo jest naszą ojczyzną i zawsze na nią wrócimy, bez względu na to, gdzie się znajdzie.

– Kiedy znowu zobaczymy kontynent?

– Nie wiem. Bywa, że dzieciaki dorastają, nie widząc kontynentu. Bywa też, że stale go widzimy, przez setki i setki snów.

Szanse na ucieczkę były marne, gdybym musiał czekać dwadzieścia lat czasu zewnętrznego świata, zanim znowu zobaczymy kontynent. Byłem przygnębiony.

Nagle Ul-Van radośnie zakrzyknął:

– Jasne, że możemy dotrzeć do kontynentu! Czemu wcześniej o tym nie pomyśleliśmy? Tam jest twoja ojczyzna. Musiałbyś tylko trzymać kurs na dom.

Potrząsnąłem głową.

– Tego nie potrafię. Bo widzisz, nie jestem Pellucidarianinem. Jestem z innego świata i nie mógłbym trzymać kursu na dom, jak potraficie wy, Pellucidarianie.

To się wydało Ul-Vanowi bardzo dziwne. Przekraczało jego pojmowanie.

Kolejna nadzieja przepadła! Zdawało się, że jestem skazany na życie na wygnaniu na tym pływającym skrawku ziemi. Mógłbym już nigdy nie zobaczyć mojego ukochanego Sari, nigdy nie podjąć poszukiwań Dian Pięknej.

Pracowałem w milczeniu nad kanu. Ul-Van pomagał mi najlepiej jak potrafił, bo wojownik mógł wykonywać taką pracę. Jakiś czas nie rozmawialiśmy, kiedy nagle powiedział:

– Davidzie, ta niewolnica, o której ci mówiłem, miała inaczej na imię. Amar nazwała ją moja żona. Tak naprawdę nazywała się Dian.

ROZDZIAŁ 26

Od razu inaczej spojrzałem na życie. Dokładnie wiedziałem, gdzie jest Dian. Byłem pewien, że żyje i miałem powody wierzyć, że jest względnie bezpieczna wśród Ko-vansów, bo Ul-Van mnie zapewnił, że dobrze traktują niewolników. Ale jak miałem ją uratować? Najpierw musiałbym dotrzeć na Kova, ale nie mogłem tego zrobić sam, bo nie było jej widać z Ruvy. Ul-Van powiedział, że zwykle wyspy są w zasięgu wzroku, ale rozdzielił je jakiś prąd czy wiatr. Kiedyś znowu będą płynąć razem. Czasami nawet się stykały. Najpierw stale walczone, kiedy tak się działo, lecz ciągła wojna tak przetrzebiła oba plemiona, że od wielu pokoleń zawierano rozejm, ilekroć obie wyspy zbliżyły się na odległość rzutu dzidą.

Wreszcie ułożyłem plan i kiedy wróciliśmy do wioski, żeby zjeść, poszedłem prosto do Ro-Taia.

– Mam pomysł, dzięki któremu będziecie mogli z sukcesem najeżdżać na Kova. Strata dwudziestu wojowników, których zabiliśmy, osłabiła ich możliwości bojowe i jeżeli pozwolisz mi pomóc w planowaniu ataku, to

powinno się nam udać odzyskać wszystkich niewolników, których wam zabrali oraz uprowadzić ich własnych.

Ro-Tai był bardzo zainteresowany. Uznał, że plan jest znakomity i powiedział, że wyprawa wyruszy po następnym śnie.

Kiedy potem omawiałem sprawę przyszła mi do głowy niepokojąca myśl.

– Jak znajdziecie Kova, skoro jej nie widzicie? Przecież nie możecie znaleźć kontynentu, jeśli znika z oczu. Kova nie jest waszą ojczyzną.

– Niektóre z naszych kobiet urodziły się na Ko-va, a my je porwaliśmy. Weźmiemy jedną z nich do któregoś kanu i poprowadzi nas.

– A jak Kovansi, którzy najechali Ruvę znaleźli wyspę?

– Bez wątpienia co najmniej jeden z nich urodził się na Ruvie i został porwany, będąc małym chłopcem. Często porywamy chłopców Kovansów i wychowujemy wśród nas na wojowników. Tak się składa, że dwaj ostatni zginęli w najnowszej napaści. Ale mamy kilka kobiet Kovanek.

Wydawało mi się, że minęła wieczność, zanim wyprawa mogła wyruszyć. Ale w końcu była gotowa i pięćdziesięciu wojowników prowadziło pięć kanu, w tym to, które przekształciłem w łódź z łacińskim żaglem. Płynęli nim wraz ze mną wódz Ro-Tai i Ul-Van; a także kobieta, urodzona na Kova, mająca wskazywać drogę.

Niepokoilem się o powodzenie mojej wyprawy. Chciałem wypróbować mój stateczek, zanim wyruszymy w tę długą podróż, ale Ro-Tai nie chciał nawet o tym słyszeć. Wszystko już było gotowe i chciał wyruszać bez dalszej zwłoki.

Nie wiedziałem, jaką szybkość osiągnę i chodziło też o to, czy napędzane wiosłami kanu mogłyby nas zostawić w tyle. Nie byłem też całkiem pewien zdatności do żeglugi mojego stateczku. Bałem się, że silny podmuch wiatru mógłby go wywrócić, bo miał duży żagiel.

Ruvanie dalej nie dowierzali, że można zbudować kanu płynące bez pomocy wiosł. Kiedy postawiłem żagiel i zasiadłem przy sterze, wpatrywało się we mnie pięćdziesiąt par oczu. Łódź powoli ruszyła, popychana rześkim wiatrem. Wojownicy w pozostałych kanu zabrali się do wiosłowania i mała armada wyruszyła.

– Płynie! – wykrzyknął z podziwem Ro-Tai.

– Wyprzedza inne kanu – powiedział Ul-Van.

– Oby cuda nigdy się nie skończyły! – zawołał jeden ze starszych mężczyzn. – Co jeszcze wymyślą? Pomyśleć, że dożyłem czegoś takiego!

Wojownicy w pozostałych kanu szaleńczo wiosłowali, ale nadal ich wyprzedzaliśmy. Żeglowałem, od czasu do czasu oglądając się i sprawdzając pozycję innych łodzi; kiedy uznałem, że jesteśmy od nich zbyt daleko, ustawiłem kanu pod wiatr i zczekałem.

Byliśmy grupą dzikusów, bo Ruvanie pomalowali się w barwy wojenne i byli ohydnie przyozdobieni. Uparli się, żeby i mnie pomalować; a kiedy Ul-Van skończył swoje dzieło, mógłbym ujść za Rovana pełnej krwi, bo udało mu się pomalować każdy cal mojego ciała pigmentami w najrozmaitszych barwach. Kanu były wyposażone dzidami – każdy wojownik zabrał po trzy. Przygotowałem dla siebie dodatkowy zapas strzał i jedną z tych krótkich, przypominających oszczep dzid, które wolę.

Omawiałem z Ro-Tai jego plan ataku, kiedy wylądujemy na Kova. Powiedział, że zrobią tak jak zawsze – marsz całą grupą do wioski, położonej pośrodku wyspy. Jeżeli Kovansom uda się nas zauważyć, to będą gotowi na nasze przybycie. Jeśli nie, to ich zaskoczemy. Wcale mi się ten plan nie podobał i wreszcie udało mi się go przekonać, żeby się zgodził na inny, moim zdaniem zapewniający większy sukces; szczegółowo mu to wytłumaczyłem. Zgodził się z oporami i tylko dlatego, że tak mi się powiodło w potyczce z Kovansami, którzy najechali Ruwę.

Pierwszy zobaczyłem wyspę, całkiem podobną do Ruvy, tyle że nieco większą. Kiedy się zbliżaliśmy, nie zobaczyliśmy żadnych oznak życia i miałem nadzieję, że nam uda się zaskoczyć wioskę, bo w takim przypadku mój plan lepiej by się powiódł.

Podpłynąłem blisko do wyspy i zaczekałem na resztę kanu. Razem z Ul-Vanem opuściliśmy żagiel, a wojownicy wzięli wiosła. Kiedy dogoniły nas pozostałe łodzie, razem ruszyliśmy ku brzegowi.

Kiedy wysiedliśmy z kanu Ro-Tai poprosił, żebym wszystkim przedstawił mój plan ataku. Kiedy to zrobiłem, weszliśmy w las długą, wąską ścieżką, stopniowo się poszerzającą w miarę jak się zbliżaliśmy do wioski. Zająłem pozycję pośrodku linii; Ro-Tai znalazł się pośrodku lewego skrzydła, a Ul-Van na prawym skrzydle. Ustawiliśmy ludzi na tyle blisko siebie, żeby mogli widzieć i przekazywać sygnały dawane rękami – bardzo proste, objaśniłem je im. Wysłałem do wioski zwiadowcę z dokładnymi instrukcjami, co ma robić.

Szliśmy w całkowitej ciszy i kiedy przeszliśmy jakieś dwie mile wrócił mój zwiadowca. Powiedział, że wioska jest już niedaleko przed nami; że dotarł na skraj polany, skąd zobaczył przed chatami tylko kobiety, dzieci i niewolników – jego zdaniem świadczyło to o tym, że wojownicy albo śpią, albo gdzieś wyruszyli.

Dałem sygnał, żeby zacząć manewr oskrzydający i przekazano go znakami tak w lewo, jak i w prawo. Środek linii poruszał się teraz bardzo powoli, a skrzydła szybciej i wyginały się – chodziło o to, żeby otoczyć wioskę przed atakiem.

Kiedy środek linii znalazł się w punkcie, skąd było widać polanę, wojownicy położyli się i ukryli, ale nie tracąc z oczu najbliższego towarzysza. Na koniec nadszedł sygnał, na który czekałem. Oznaczał, że oba skrzydła się połączyły po drugiej stronie wioski.

Jak dotąd żaden Kovans się nie zorientował, że na wyspie znajduje się nieprzyjaciel.

Dałem sygnał do ataku. Był to okrzyk wojenny, podjęty przez wszystkich ruvańskich wojowników. Rzuciliśmy się ku wiosce. Przerazone kobiety i dzieci zaczęły biegać w różne strony, ale zawsze natrafiały na blokujących im drogę ruvańskich wojowników.

Z chat zaczęli wypelzać zaspani kovańscy wojownicy. Całkowicie zaskoczeni, byli łatwym łupem dla naszych włóczników. Zaledwie paru z nich padło, a reszta się poddała.

Spodziewałem się bezlitosnej rzezi, ale tak się nie stało. Ro-Tai wyjaśnił mi potem, że gdyby zabili wszystkich Kovansów, to nie mieliby na kogo się wyprawiać po kobiety i niewolników. Nawet teraz, zwycięski, zadowolił się niewielką daniną. Zażądał niewolników, zabranych z Ruvy i tyle samo kovańskich niewolników, jak również trzech chłopców, którzy zostaną wychowani na Ruvanów.

Poszukałem Dian, ale nie było jej wśród niewolników w wiosce. Wypytałem wodza – powiedział mi, że niewolnik ukradł kanu i uciekł, zabierając ze sobą Dian.

– Był z Suvi – dodał wódz. – Nie pamiętam, jak miał na imię.

– Może Do-gad? – zapytałem.

– Tak. Nazywał się Do-gad.

Ponownie rozwiała się moja nadzieja; teraz moje poszukiwania wydawały się daremne i dręczyła mnie myśl, że Dian znowu była zdana na łaskę losu. Co miałem robić? Miałem żaglówkę, ale sam nie znajdę kontynentu; nie było też nikogo, kto by mnie tam doprowadził.

Wpadłem na pewien pomysł i zacząłem wypytywać kovańskich niewolników, z jakiej krainy pochodzą i wreszcie trafiłem na dziewczynę z Suvi.

– Są tutaj jeszcze inni suwiańscy niewolnicy? – zapytałem.

– Nie; od kiedy Do-gad uciekł nie ma już nikogo.

Poszedłem do wodza Ruvian.

– Ro-Tai, starałem się dobrze ci służyć. Nauczyłem was łapać ryby ze środka stawu. Pokazałem, jak możecie zrobić kanu płynące bez wiosłowania i pomogłem wygrać dwie walki i wziąć wielu niewolników.

– Owszem, zrobiłeś to wszystko, Davidzie. Jesteś dobrym wojownikiem.

– Chcę cię o coś prosić.

– A o cóż?

– Chcę, żebyś obiecał, że pozwolisz mi wrócić na kontynent, do mojej krainy, kiedy tylko będę mógł.

Potrząsnął głową.

– Nie mogę tego zrobić, Davidzie. Jesteś teraz ruvańskim wojownikiem, a żaden Ruvianin nie może odejść, by zamieszkać w innej krainie.

– To poproszę o coś innego, co łatwo będziesz mógł zagwarantować.

– Cóż to takiego?

– Chciałbym mieć niewolnika.

– Oczywiście – zgodził się. – Jak tylko wrócimy na Ruwę, będziesz mógł sobie wybrać kogoś spośród niewolników, których dzisiaj wzięliśmy.

– Nie chcę żadnego z tych, których wybraliście. Chcę tamtą dziewczynę – i pokazałem dziewczynę z Suvi.

Ro-Tai uniósł brwi i wahał się przez chwilę, a potem powiedział:

– Czemu nie? Obydwoje jesteście biali. Powinieneś mieć kobietę, a nie możesz się połączyć z Ruvanką.

Cóż, niech sobie myśli co chce, o ile dostanę niewolnicę z Suvi.

Podszedłem do dziewczyny.

– Jesteś moją niewolnicą. Chodź ze mną. Jak się nazywasz?

– Lu-Bra – odparła. – Ale nie chcę być twoją niewolnicą. Nie chcę iść z tobą. Należę do jednej z tutejszych kobiet, a ona jest dla mnie dobra.

– Też będę dla ciebie dobry. Nie musisz się mnie bać.

– I tak nie chcę iść z tobą. Wolałabym umrzeć.

– Tak czy owak idziesz ze mną i wcale nie umrzesz, nie spotka cię też żadna krzywda. Możesz mi wierzyć, że będziesz bardzo zadowolona, że cię wybrałem.

Cóż, musiała ze mną pójść. Nic nie mogła na to poradzić; ale nie była uszczęśliwiona. Nie chciałem jej zdradzić swoich zamiarów, bo powodzenie mojego planu zależało wyłącznie od tego, czy zdołam go przeprowadzić w tajemnicy.

Wojownicy Ruva posilali się w wiosce Kovansów, gdzie byli niechcianymi gośćmi, a potem wróciliśmy nad ocean z naszymi niewolnikami i wyruszyliśmy na Ruvę; Lu-Bra, niewolnica z Suvi, była ze mną.

Od naszego wylądowania na Kovie podniósł się wiatr i teraz silnie wiało, a morze zaczynało się burzyć. Wydawało mi się ryzykowne wyruszać w taką paskudną pogodę, ale Ruvanie wyraźnie się tym nie przejmowali. Wiatr nie tylko zrobił się chłodniejszy, ale i zmienił kierunek, tak że teraz mogłem płynąć z wiatrem i nasze kanu wprost frunęło nad wodą. Tym razem nie musieliśmy czekać na innych i prędko stali się punkcikami za rufą. Wojownicy, których wybrano na załogę naszej łodzi byli zachwyceni. Jeszcze nigdy nie płynęli tak szybko i w dodatku bez solidnego wysiłku. Teraz sobie po prostu siedzieli, zadowoleni i beczynni i patrzyli, jak śmigamy po falach.

Lecz ja nie byłem zadowolony. Mój prowizoryczny maszt i olinowanie były wystawione na ciężką próbę. Trzeszczenie i skrzypienie budziły we

mnie lęk; zaś morze i wicher były coraz groźniejsze. Możecie mi wierzyć, że westchnąłem z ulgą, kiedy dostrzegłem w oddali Ruwę; chociaż było jeszcze mnóstwo czasu na to, żeby spotkało nas nieszczęście zanim wpłyniemy do jednej z zacisznych zatoczek.

Niebo zasłaniały ciemne, złowieszcze chmury. Powietrze wokół nas wypełniały bryzgi fal. Wicher wył i zawodził niczym złowrogie demony, chcące najpierw zastraszyć tych, których zaraz zniszczą. Fale były jak góry. Popatrzyłem na moich towarzyszy i uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy okazują niepokój. Sam byłem mocno zaniepokojony, bo nie wiedziałem, czy ten kruchy stateczek przetrwa furię sztormu. Nie mogłem uwierzyć, że mój żagiel i maszt nie zostały dotąd zmiecione; mocno się trzymały. Ogromne fale nas nie zalały i szybko się zbliżaliśmy do brzegu.

Kiedy byliśmy bliżej, zobaczyłem coś dziwnego i przerażającego. Cała wyspa – jak daleko sięgałem wzrokiem – unosiła się i opadała, niczym w nieustannym, strasznym trzęsieniu ziemi. Olbrzymie fale załamywały się na niskim brzegu, zalewając las tonami wody. Fragmenty wyspy się odłamywały i rozpadały. Jak mogliśmy mieć nadzieję, że wylądujemy w takich warunkach? Ro-Tai potwierdził moje wątpliwości.

– Nie możemy tu dobić do brzegu – powiedział. – Musimy się dostać na zawietrzną część wyspy.

Wiedziałem, że to będzie niemożliwe. Zmiana kursu rzuciłaby nas na łup ogromnych fal i stateczek niemal natychmiast przewróciłby się dnem do góry. Była tylko jedna jedyna maleńka szansa i trzymałem kurs prosto na to rozedrgane wybrzeże.

Byliśmy tuż tuż. Wstrzymałem oddech; i sędzę, że wszyscy Rovanie zrobili to samo. Znaleźliśmy się na szczycie olbrzymiej fali. Kamiennym nożem odciąłem żagiel i odleciał, łopocząc na wicherze. Ledwie parę jardów dzieliło nas od brzegu, ku któremu pędziliśmy z prędkością ekspresu; na

parę sekund, koniecznych dla powodzenia mojego szaleńczego planu, kanu przywarło do grzbietu ogromnej fali i poniosło nas w głąb lądu i cisnęło pomiędzy drzewa lasu.

Wciąż nie mam pojęcia, czemu nikt z nas nie zginął. Niektórzy zostali ranni; ale pozostałym udało się nie dopuścić, żeby cofająca się woda zabrała kanu na morze.

Zanim runęła na nas kolejna ogromna fala, powlekliśmy się głębiej w las. Ziemia się trzęsła i stale się przewracaliśmy; niekiedy dosięgała nas fala – ale nieszkodliwa, rozbita przez drzewa lasu.

Wreszcie dotarliśmy do wioski. Większość chat się zawaliła; Ruvanie, którzy nie popłynęli na wyprawę i niewolnicy leżeli plackiem, przerażeni, na polanie.

Bąłem się, że cała wyspa się rozpadnie. Nie wiedziałem, jak mogłaby wytrzymać straszliwe siły, które nią szarpały, potrząsały i kołysały. Zapytałem Ul-Vana, jakie jego zdaniem mamy szanse.

– W swoim życiu widziałem tylko jeden taki sztorm. Odłamały się wtedy fragmenty, lecz główna część wyspy wytrzymała najgorsze działania wichru i morza. Myślę, że jesteśmy bezpieczni, o ile sztorm nie potrwa zbyt długo.

– A co z ludźmi w pozostałych kanu?

Ul-Van wzruszył ramionami.

– Niektórym może się uda dotrzeć na brzeg, lecz bardziej prawdopodobne, że żaden nie zdoła. To twój żagiel nas uratował, Davidzie.

ROZDZIAŁ 27

Ten sztorm miał dla mnie większe znaczenie niż zniszczenie Ruvy czy zagrożenie mojego własnego życia, bo wiedziałem, że gdzieś tam, wśród olbrzymich fal, w kruchym kanu była Dian. Wydawało mi się, że nie ma najmniejszych szans ujęcia z życiem. Starłem się wyrzucić z myśli te destrukcyjne lęki i częściowo mi się udało, kiedy sztorm przycichł. A nadzieja znowu odżyła, kiedy do wioski powrócili wojownicy, których uznaliśmy za straconych. Nie przepadło żadne kanu, żaden człowiek. To był majstersztyk sztuki żeglarskiej.

Ruvanie najpierw się zabrali za odbudowę wioski; wszyscy brali w tym udział, także kobiety i dzieci. Kiedy skończyliśmy, powiedziałem Ro-Tai, że zamierzam naprawić szkody wyrządzone kanu z żaglem. Zapytał, czy potrzebna mi pomoc, ale odrzekłem, że wystarczy mi moja niewolnica Lu-Bra. Nie nalegał, żebym wziął jeszcze kogoś, tym razem nie kazał mnie pilnować. Najwyraźniej zaakceptował mnie jako pełnoprawnego członka plemienia. I tak razem z Lu-Bra poszliśmy na wybrzeże i zaczęliśmy pracę.

Dziewczyna nabrała otuchy, stwierdziwszy, że nie zamierzam jej skrzywdzić i wydawała się całkiem zadowolona i szczęśliwa.

Kiedy pracowałem nad kanu, kazałem jej zgromadzić i przygotować jedzenie. Zebrała też zapas wody z drzew, napełniając nią bambusowe pojemniki. Ukryłem to wszystko w lesie, w pobliżu naprawianego kanu.

Zrobiłem jej trochę kościanych haczyków na ryby i nauczyłem łowić w spokojnych wodach wąskiej zatoczki. Złowione ryby uwędziła i wysuszyła i dołączyła do zapasów.

Nie opowiedziałem jej o swoich zamiarach, ale musiałem trochę jej zaufać, co było konieczne, żeby nie opowiadała o naszych zapasach żywności i wody. Nie zadawała żadnych pytań i to był dobry znak – bo ten, kto nie pyta, zwykle trzyma język za zębami.

Długo była uwięziona u Kovansów, prawdopodobnie wiele lat naszego ziemskiego czasu. Była tam, kiedy z kontynentu przywieziono Dian i Dogada. Zaznajomiła się z Dian, która jej powiedziała, że po ucieczce od ludożerczych olbrzymów z Azar uciekła i Dogadowi; lecz on ją dalej ścigał i w tej samej chwili, kiedy ją dogonił, zostali porwani przez Ruvanów.

Drżałem na myśl o tym wszystkim, co musiała przeżyć moja śliczna Dian, którą miłość do mnie zmusiła do poszukiwań. To, że mogła zginąć nie wiedząc, iż jestem względnie bezpieczny, wydawało się okrutnym ciosem losu. Mogła nawet nie wiedzieć, że uciekłem od Jukanów, po tym jak zostawiłem ją w jaskini i wróciłem ratować Zora i Kleeto.

Praca nad kanu szła dobrze, ale z największą niecierpliwością wyczekiwałem chwili, kiedy będę mógł zacząć działać. Jedynym zagrożeniem było to, że jakiś Ruvanin mógł się natknąć na nasze zapasy żywności i wody. Wszystko by się wydało i trudno byłoby się wytłumaczyć.

W końcu robota była skończona i kiedy wracaliśmy do wioski ostrzegłem Lu-Bra, żeby o tym nie wspominała.

– Jasne, że nie. Uważasz, że chcę zdradzić nasz plan?

Nasz plan.

– Czemu nazywasz to naszym planem? Nawet nie wiesz, co mam na myśli.

– Ależ wiem. I to jest nasz plan, bo pracowałam i pomagałam ci.

– To prawda. I jaki by to nie był plan, jest wspólny. Zrealizujemy go razem i nikomu o nim nie powiemy. Tak?

– Z całą pewnością.

– Jak myślisz, co to za plan?

– Chcesz wrócić na kontynent tym kanu, co płynie bez wiosła i zabierasz mnie ze sobą, żebym wskazała kierunek Suvi, bo sam tego nie potrafisz. Dlatego mnie wybrałeś spośród wszystkich niewolników Kovan. Nie jestem głupia, Davidzie. Nie miałam co do tego wątpliwości i nie musisz się bać, że komukolwiek zdradzę nasz sekret.

Spodobało mi się, że użyła słowa „nasz”. To niemal gwarantowało jej lojalność, bez względu na to, co jeszcze powiedziała.

– Miałem wielkie szczęście.

– To znaczy?

– Że wybrałem ciebie, a nie inną kovańską niewolnicę. Jesteś inteligentna i lojalna i wiesz, co jest dla ciebie korzystne. Ale skąd wiesz, że bez czyjejś pomocy nie znalazłbym drogi na kontynent?

– Któż w Suvi nie wie o Davidzie, imperatorze Pellucidaru? Kto nie wie, że jest z innego świata, że niemal wszystko robi lepiej niż my, Pellucidarianie, ale jeżeli straci z oczu znajome punkty orientacyjne, to nigdy nie odnajdzie drogi do domu? Dla nas, Pellucidarian, jest to coś

osobliwego, coś, czego nie potrafimy zrozumieć. Świat, w którym żyłeś, musi być bardzo dziwny – nikt nie ośmiela się za daleko oddalić od domu, wiedząc, że nigdy by go już nie odnalazł.

– Ależ zawsze znajdujemy drogę i to lepiej niż Pellucidarianie, bo nie tylko potrafimy odnaleźć drogę do domu, ale i do każdego innego miejsca w naszym świecie.

– To jest zupełnie niezrozumiałe.

Pracowałem nad kanu bez przerwy, ale ponieważ nie było jak zmierzyć czasu, nie mam pojęcia jak długo nie było nas w wiosce. Mieliśmy swoją żywność, więc od czasu do czasu jedliśmy, ale żadne z nas nie spało. To, że nam obydwójgu bardzo się chciało spać, powinno nas było ostrzec, że nie było nas bardzo długo. I tak musiało być, bo kiedy wróciliśmy, przekonaliśmy się, że niemal zakończono przygotowania do wielkiej uczy dla uczczenia naszego zwycięstwa nad Kovanami. Wszyscy byli tym ogromnie podekscytowani, lecz my z Lu-Bra chcieliśmy tylko iść do swoich chat i spać.

O-Ra, często szukająca mojego towarzystwa, kiedy byłem w wiosce, zapytała, co u licha robimy z Lu-Bra, że nas tak długo nie ma.

– Pracujemy nad kanu płynącym bez wiosł.

– Pójdę z wami następnym razem, bo nigdy go nie widziałam.

Akurat tego nie chciałem, bo zaplanowałem, że kiedy razem z Lu-Bra pójdziemy znowu do kanu, to już nigdy nie wrócimy. Tym razem wróciliśmy tylko dlatego, żeby się porządnie wyspać przed podróżą. Ale powiedziałem:

– Byłoby dobrze, O-Ra, ale może zaczekałabyś, aż je skończę?

– Wtedy też przyjdę i mnie przewieziesz. Wiesz, Davidzie, żałuję, że jesteś biały. Nie potrafię sobie wyobrazić lepszego niż ty męża. Chyba

poproszę Ro-Tai, żeby zrobił dla ciebie wyjątek i żebyś mógł zostać moim mężczyzną.

– Bo mam niewolnicę? – zaśmiałem się.

– Nie. Pozbyłabym się Lu-Bra, bo uważam, że za bardzo ją lubisz. Nie chciałabym mieć rywalki.

Młoda dama była szczerą. Te paleolityczne pannice czasami takie są; ale nie zawsze. Dian była ich przeciwieństwem.

– Możesz sobie kogoś wybrać na świetnego partnera, ale nie mnie. Już mam swoją panią.

O-Ra wzruszyła ramionami.

– Nigdy jej już nie zobaczysz. Będziesz tu musiał spędzić resztę życia i mógłbyś mieć kobietę.

– Opuść sobie, O-Ra i wybierz silnego mężczyznę ze swojej rasy.

– Czy to znaczy, że mnie nie chcesz? – zapytała gniewnie.

– Nie chodzi o to, czy cię chcę czy nie. Rzecz w tym, że jak ci już mówiłem, mam swoją kobietę i w moim kraju zawsze mamy tylko jedną.

– To żaden powód – prychnęła. – Zakochałeś się w Lu-Bra. Dlatego zawsze razem gdzieś chodzicie. Każdy głupi to widzi.

– Myśl sobie co chcesz, O-Ra. Teraz zamierzam się przespać – odwróciłem się i zostawiłem ją.

Obudziłem się doskonale wypoczęty; krótko po mnie obudziła się Lu-Bra. Kiedy wyszliśmy z chaty, zobaczyliśmy, że już się schodzą na ucztę. Byłem przeraźliwie głodny i chciałem jeść i wiedziałem, że Lu-Bra na pewno też. Uczta dawała nam doskonałą okazję, żeby uciec niepostrzeżenie – bo wszyscy członkowie plemienia będą ucztować w wiosce i mało prawdopodobne, aby ktoś zauważył jak ładujemy zapasy do kanu i odpływamy. Zapropnowałem to Lu-Bra.

– Myślę, że moglibyśmy teraz niepostrzeżenie zniknąć. Uznają, że wciąż śpimy w naszej chacie, o ile za nami zatęsknią, w co wątpię.

– Dobrze. Postaramy się, żeby oddzielały nas od nich chaty póki nie wejdziemy w las.

I tak pożegnaliśmy wioskę Ruvan, licząc, że robimy to po raz ostatni.

Pospieszyliśmy do kanu i wspólnym wysiłkiem ściągnęliśmy je na wodę; wtedy zabraliśmy się za ładowanie naszych zapasów. Właśnie kończyliśmy robotę, kiedy zobaczyłem, że ktoś nadchodzi przez las od strony wioski. Było za późno, żeby ukryć co robimy i wiedziałem, że kto by to nie był zorientuje się w naszych zamiarach, kiedy zobaczy, jak ładujemy do kanu żywność i wodę.

Lu-Bra wracała z kryjówki z naręczem zapasów, a ja zawracałem po kolejny ładunek, kiedy na scenę weszła O-Ra.

– A więc to robicie – wybuchnęła gniewnie. – Chcesz uciec i zabrać ze sobą tę białą twarz.

– Od razu się domyśliłaś, O-Ra – powiedziałem.

– Nie zrobisz tego, już ja się o to postaram – burknęła. – Ale jeśli chcesz uciec z Ruvy, popłynę z tobą zamiast tej dziewczyny. Jeżeli się nie zgodzisz, narobię krzyku i zaalarmuję wszystkich.

– Muszę zabrać Lu-Bra. Inaczej nigdy nie znajdę kontynentu – pomyślałem, że może to wyjaśnienie ją zmiękczy. – Sama wiesz, O-Ra, że nie mogłabyś mnie pokierować na kontynent.

– No to ją zabierz jako przewodniczkę. A ja popłynę jako twoja kobieta.

– Nie, O-Ra. Wybacz, ale nic z tego.

– Nie zabierzesz mnie?

– Nie.

Przez chwilę jej oczy pały gniewem, a potem się odwróciła i wróciła do lasu. Wydawało mi się, że za łatwo dała za wygraną.

Razem z Lu-Bra najszybciej jak się dało załadowaliśmy do kanu resztę zapasów. Musieliśmy zabrać wszystko, co zgromadziliśmy, bo nie mieliśmy pojęcia, jak długo będziemy na morzu zanim dotrzemy na kontynent. Załadowaliśmy ostatnią porcję i Lu-Bra wsiadła do kanu, kiedy usłyszałem zbliżających się ludzi – wiedziałem, że O-Ra wróciła do wioski i doniosła, co odkryła. Odepchnąłem łódź i wiosłowałem od brzegu, kiedy czterdziestu lub pięćdziesięciu ruvańskich wojowników wypadło na brzeg. Prowadził ich Ro-Tai; zawołał do mnie, żebym wracał. Ale zwróciłem już dziób łodzi ku otwartemu morzu i zacząłem stawiać żagiel. Wiał lekki wiatr od lądu i chyba upłynęła cała wieczność, zanim żagiel złapał wiatr. Obydwoje z Lu-Bra wiosłowaliśmy jak szaleni; ale jeśli nie złapiemy więcej wiatru, to nigdy nie uciekniemy Ruvanom, wsiadającym właśnie do swoich łodzi, żeby zacząć pościg.

Pierwsze kanu pomknęło od brzegu; ale byliśmy już na tyle daleko, że łapaliśmy więcej wiatru i płynęliśmy szybciej. Mimo to nas doganiali, a Ro-Tai cały czas wołał, żebym wracał, a jego kanu się zbliżało.

Znaleźli się z zasięgu rzutu dzidą, ale teraz ciągnęliśmy równo. Ro-Tai stanął w swoim kanu z dzidą gotową do rzutu.

– Wracaj, bo umrzesz!

Lu-Bra przyplłynęła z Kova w tej łodzi i potem zadawała wiele pytań o obchodzenie się z nią. Nie wiedziałem, czy potrafiłaby sterować, ale musiałem zaryzykować. Przywołałem ją i kazałem chwycić za wiosło sterowe. Potem nasadziłem strzałę na cięciwę i wstałem.

– Nie chcę cię zabić, Ro-Tai, ale będę musiał, jeśli nie odłożysz dzidy.

Wahał się przez chwilę. Powiew wiatru wydał nasz żagiel i kanu skoczyło do przodu akurat wtedy, kiedy Ro-Tai rzucił dzidę. Wiedziałem,

że broń nie doleci i dlatego go nie zastrzeliłem, bo lubiłem wodza, który był dla mnie miły.

– Pamiętaj, Ro-Tai'u, że mogłem cię zabić, ale tego nie zrobiłem. Jestem twoim przyjacielem, ale chcę wrócić do mojej krainy.

Szybko się od nich oddalaliśmy. Przez jakiś czas płynęli za nami, lecz widząc daremność dalszego pościgu w końcu zawrócili.

ROZDZIAŁ 28

Jeden Bóg wie, ile trwała ta podróż. Mnóstwo razy atakowały nas wielkie, nienazwane potwory. Trzy razy trafiliśmy na sztorm, który mógł zakończyć i nasz rejs i nasze życie, ale jakoś uszliśmy cało. Wreszcie dotarło do nas, że nasze zapasy pożywienia i wody wkrótce się skończą.

Lu-Bra okazała się wspaniałą dziewczyną. Była odważna, nie uskarżała się. Bardzo mi jej było żal.

– Lepiej by ci było na Ruvie, Lu-Bra. Coraz bardziej wygląda na to, że doprowadzę cię do śmierci, nie do wolności.

– Jestem zadowolona, co by się nie stało, Davidzie. Wolałabym umrzeć niż być niewolnicą.

– Dziwny traf, że jesteś ze mną, Lu-Bra. Nie wspominałem o tym przedtem, ale inna dziewczyna z Suvi miała mnie poprowadzić do Sari. Obydwoje byliśmy więzieni przez Jukanów, a potem przez ludożerczych olbrzymów z Azaru. Nie wiem, czy tam umarła, czy im uciekła.

– Jak się nazywała?

– Kleeto.

– Znałam ją. Obie byłyśmy dziećmi zanim mnie porwano.

Żeglowaliśmy, a Lu-Bra, mój żywy kompas, wskazywała drogę. Podzieliliśmy żywność na tak małe porcje, że ledwo podtrzymywały nas przy życiu; piliśmy tylko dwa lub trzy łyki wody dziennie. Obydwoje byliśmy słabi i wycieńczeni. Mieliśmy pecha przy łowieniu ryb; pewnie dlatego, że żadne z nas nie pochodziło z nadmorskiego ludu. Na lądzie przynosiłbym mnóstwo upolowanych zwierząt; lecz na wodzie, choć się w niej roiło od życia, nie mogłem celnie trafić. Nie wiem, dlaczego tak było, bo stałem się doskonałym łucznikiem.

Kiedy zjedliśmy ostatnią porcję żywności, złowiliśmy coś na jeden z moich kościanych haczyków. Mała rybka, długości plus minus stopy. Przecieliśmy ją na pół i pochłonęliśmy na surowo. Wkrótce potem skończyły się nasze zapasy wody. Modliłem się o kolejną burzę z deszczem; lecz niebo pozostawało czyste i prażyło nas bezlitosne, stojące w zenicie słońce. Na całym obszarze nieprzyjaznego oceanu nie było śladu lądu.

Lu-Bra leżała pod osłoną na dnie kanu. Odezwała się słabym głosem:

– Davidzie, boisz się umrzeć?

– Nie chcę umierać, ale się tego nie boję. Być może jest to kolejna wspaniała przygoda, kiedy to przejdziemy do nowej krainy i spotkamy nowych ludzi oraz wielu dawnych przyjaciół, którzy odeszli przed nami; i po jakimś czasie wszyscy się tam znajdziemy.

– Liczę na to, Davidzie, bo ja umieram. Z przykrością cię opuszczam, Davidzie, bo została nam teraz tylko wspólna obecność. Kiedy odejdę zostaniesz sam, a nie jest dobrze umierać w samotności.

Odwrociłem głowę, żeby ukryć napływające do oczu łzy i wtedy zobaczyłem coś, co wywołało pełen zdumienia i niedowierzania okrzyk.

TO BYŁ ŻAGIEL!

Co żagiel robił na oceanie, gdzie nie powinno być żagli? A potem mnie olśniło.

– Lu-Bra! Nie umrzesz. Jesteśmy uratowani.

– Co masz na myśli, Davidzie? Łąd?

– Nie, żagiel. A jeśli to jest Lural Az, jak mi mówiłaś, to może być tylko przyjazny żagiel.

Zmieniłem kurs i popłynąłem ku dziwnemu okrętowi, który – jak się wkrótce przekonałem – płynął ku nam. Też musieli nas zobaczyć. Kiedy się zbliżyliśmy, rozpoznałem jeden ze statków, które Perry zaprojektował i zbudował po swojej pierwszej katastrofalnej próbie zbudowania okrętu wojennego. Omal się nie rozplakałem z radości.

Opuściłem żagiel i czekałem. Niewielki statek znalazł się obok nas i rzucono mi linę. A kiedy spojrzałem w twarz, spoglądające na mnie z góry, rozpoznałem Ja Mezopa, który dowodził jednym z pierwszych okrętów naszej floty.

– David! – zawołał. – To ty?! Ze sto snów temu uznaliśmy cię za zmarłego.

Lu-Bra była za słaba, żeby się wdrapać na statek Ja. Mogła tylko usiąść; a ja byłem za słaby, żeby jej pomóc. Lecz chętne i pomocne ręce wkrótce wciągnęły nas obydwoje na pokład. A kiedy się tam znalazłem, podbiegła do mnie kobieta i objęła mnie. To była Dian Piękna.

Kiedy nas nakarmili i napoili i nabraliśmy sił, Dian opowiedziała mi, co się z nią działo.

Pomogła Do-gadowi uciec z Kova, kiedy jej przyrzekł, że będzie ją szanować i pomoże wrócić do Sari. Lecz złamał przysięgę i zabiła go. Takie są piękne córki Amozu.

Potem wiosłowała ku kontynentowi, prowadzona nieomylnym zmysłem orientacji. Najwyraźniej nie znalazła się na drodze ogromnego sztormu, który – jak się obawiałem – przypieczętowałby jej los. Lecz bezpiecznie przetrwała trzy burze, które napotkaliśmy z Lu-Bra.

Jesteśmy z powrotem w Sari, zadowoleni i szczęśliwi. Lu-Bra wróciła do Suvi; a wojownicy, którzy ją eskortowali, przynieśli wiadomość, która mnie jeszcze bardziej uszczęśliwiła i jednocześnie dała mi wskazówki co do tego, jak długo byłem więźniem na Ruvie. Powiedzieli, że Zor i Kleeto dotarli bezpiecznie do Suvi, pobrali się i mają małego synka.

PELLUCIDAR II

Edgar Rice Burroughs

KRAINA GROZY

